



De. II 1.

Epikureizm i altruizm.

ROZPRAWA ETYCZNA.

I. Z a ł o ż e n i e.

Zasadnicze zagadnienie etyki, jako nauki krytycznej o powinnościach człowieka, czyli o zasadach należytego postępowania, w odróżnieniu od etyki opisowej, zaznaczającej poprostu tylko rzeczywisty stan postępowania ludzkiego, sprowadza się do rozwiązania kwestyi: czy ostatecznym motywem oraz celem mego działania, wogóle życia mego, ma być moje własne dobro, czy też dobro innych, mego otoczenia? A że bezwzględna jednostronność w jednym lub drugim kierunku jest niemożliwą z powodu bezpośredniej łączności jednostki z szerszym ogółem, przeto owo zagadnienie zasadnicze daje się najwłaściwiej sformułować w pytaniach: czy *głównym* motywem i celem mego działania ma być moje własne dobro, czy też dobro innych? i w jakim stosunku do siebie pozostawać winny te dwa zasadnicze kierunki postępowania?

Bezwzględna dbałość wyłącznie o własne dobro okazuje się niemożliwą już dla tego, że moje osobiste zadowolenie zależy bardzo często od stanu, w jakim się znajduje me otoczenie, a więc zmuszony jestem nieraz mieć na oku dobro innych, aby osiągnąć własne dobro. Narzuca się tedy pytanie: czy mam dbać o dobro innych tylko o tyle, o ile tego wymaga me własne dobro, czy też, w razie potrzeby, własne dobro mam przynieść w ofierze dla dobra innych?

Z drugiej strony, nie można i dobra innych uznać za jedyny i wyłączny motyw oraz cel postępowania etycznego, gdyż nie mo-

ę się przyczynić do dobra innych, nie wyrobiwszy się odpowiednio w tym względzie, nie przyswoiwszy sobie niezbędnych do tego środków. Człowiek, nie troszczący się o swą ezerstwość fizyczną, o swe zdrowie, lub zaniedbujący uzdolnienia swej duszy, przy najlepszej chęci nie może innym służyć należycie. Podobnie rozrzutnik niegospodarny pozbawia się środków robienia dobrze innym w sposób właściwy. Więc znowu nasuwa się pytanie: czy mam dbać o siebie tylko w celu, aby się wyrobić do służenia innym? czy też mam myśleć o sobie przedewszystkiem, a dobro innych usunąć na plan dalszy?

Różne szkoly w dziejach etyki dochodzą do różnych, nawet do wprost przeciwnych, odpowiedzi na powyższe pytania zasadnicze. Te przeciwległe odpowiedzi oznaczam tutaj mianem *epikureizmu* i *altruizmu*, przyczem jednak nie mam na oku ściśle historycznego znaczenia tych nazw, lecz, w celu rozbioru i krytycznej oceny odnośnych zasad etycznych, nadaję tym nazwom znaczenie przeważnie praktyczne, odpowiadające bardziej życiowemu rozwojowi owych zasad, aniżeli ich teoretycznemu urobieniu.

Teoria etyczna, uznająca za główny motyw i cel postępowania ludzkiego, dobro jednostki działającej, nosi zazwyczaj miano *egoizmu*. Znalazła ona zwolenników już w czasach najdawniejszych, a mianowicie wśród filozofów greckich. Sofiści, Cynicy, Epikurejczycy i inni bronili tej teorii. Atoli jej najbardziej konsekwentny wytwór napotykam u *Maxa Stirnera*, który wprost powiedział („Jedyny i jego własność,“ 1845, wyd. 3-cie 1900), że jednostka niema zgoła żadnych obowiązków ani względem jakiejś Istoty wyższej, ani względem jakichś idei, ani wreszcie względem innych ludzi, lecz z natury rzeczy ma na oku wyłącznie samą siebie, gdyż wszystko na świecie po to tylko istnieje, aby służyło celom jednostki, jaźni.

W życiu praktycznym egoiści nie kierują się jednak abstrakcyjnymi teoryjami, lecz dążą do pewnych, określonych celów, wśród których naczelné miejsce zajmuje osobiste zadowolenie. *Epikur* określił też ten cel bliżej jako *rozkosz*, przyczem atoli nie myślał wyłącznie o zadowoleniu zmysłów, lecz mówił zarazem o rozkoszach *duchowych*, którym nawet oddawał pierwszeństwo przed zmysłowemi. Czynił to wszakże zawsze z punktu widzenia egoizmu, dowodząc, że rozkosze duchowe powodują większą przyjemność niż zmysłowe. Więc do nich się zwracał nie dla ich wyższej, wewnętrznej wartości, lecz tylko dla tego, że były mu przyjemniejsze. Nie dziw, że wobec takiej zasady w ocenie różnych rozkoszy, każdy epikurejczyk miał prawo wybrać sobie rozkosze,

które mu sprawiały największą przyjemność, bez względu na ich znaczenie etyczne. Wskutek tego w rozwoju szkoły epikurejskiej z czasem pierwsze miejsce zajęli zwolennicy rozkoszy zmysłowych i zdyskredytowali pierwotną naukę mistrza.

W późniejszych czasach, a mianowicie pod koniec 18-go wieku *Jer. Bentham* nadał zasadzie epikurejskiej charakter socyalny, dowodząc, że celem ludzkiego postępowania powinno być możliwie największe szczęście (rozkosz, zadowolenie) możliwie największej liczby ludzi. Przytem opierał się również na motywach egoistycznych, dowodził bowiem, że dążąc do zaznaczonego celu, jednostka dba najlepiej o swe własne szczęście (zob. jego „Deontologię,” wydanie pośmiertne, 1834).

Termin *altruizm* dosłownie oznacza oddanie się innym (od *alter* = inny, drugi). *Auguste Comte* nadał mu prawo obywatelstwa w nowszej literaturze etycznej. Ale zasada, oznaczona tem mianem, znana jest oddawna. Znalazła ona swój wyraz najwznioślejszy w miłości braterskiej pierwszych chrześcijan oraz w ich śmierci męczeńskiej za wiarę. Ze stanowiska teologicznego rozwinięli też tę zasadę wyrzeczenia się siebie dla innych, dla Boga i bliźnich, zarówno pierwsi autorzy i Ojcowie kościoła chrześcijańskiego, jak i liczny zastęp jego przedstawicieli aż po nasze czasy.

Na polu etyki filozoficznej podnosili tę zasadę już angielscy moralisci 17 i 18-go wieku, szczególnie *A. Smith*, *A. Shaftesbury* i inni, wykazując znaczenie etyczne uczuć sympatycznych. Nawet *Dawid Hume* oraz późniejsi utylitaryści, uznający użytek za najwyższy cel postępowania ludzkiego, uwzględniają doniosłość etyczną uczuć sympatycznych, jako podstawy dla oceny, co jest pożytecznem dla innych.

Najdobitniejszą atoli formę teoretyczną altruizmu przedstawia w nowszych czasach etyka *J. G. Fichtego*, który domaga się, aby jednostka życiem swoim przynosiła siebie w ofierze dla dobra ogółu. On to powiedział: „Jedna tylko jest cnota, a nią jest zapomnienie o sobie, jako osobie, i jeden tylko jest występki, a nim jest myślenie o sobie” (zob. jego „Zarysy współczesnego wieku,” 1806). Jestto zasada wprost przeciwna Stirnerowskiej, choć Stirner, wynosząc do najwyższej potęgi jaźń i nadając jej znaczenie bezwzględne, znajdował się pod wpływem subiektywizmu Fichtego, tylko, że ten miał na myśli jaźń powszechną, wszystko obejmującą, Stirner natomiast sprowadzał wszystko do jaźni jednostkowej i nie uznawał po za nią żadnego ogółu. Za nim poszedł *Fr. Nietzsche*.

W niniejszej rozprawie pragnę z jednej strony dać charakterystykę, o ile można życiową, powyższych zasadniczych kierunków etyki, a z drugiej strony ocenić krytycznie ich porównawcze znaczenie dla prawidłowego rozwoju działalności ludzkiej.

2. Charakterystyka epikureizmu.

Znam dobrze osobistość, która może służyć za typ epikureizmu w szlachetniejszym pojęciu jego zasad egoistycznych. Wniknięcie w psychologię tej osobistości zapoznało mnie bliżej i głębiej z tym kierunkiem etycznym, aniżeli to uczynić mogły rozprawy teoretyczne znakomitych przedstawicieli zasady osobistego zadowolenia, jako ostatecznego celu postępowania. Prawda, że zasada ta uwydatnia się życiowo w sposób rozmaity, zależnie od przyrodzonego i nabytego usposobienia różnych osobistości. To też osobistość, o której mówię, posiada również odcień indywidualny w swej dążności do zadowolenia; ale ten odcień staje się żywym wyrazem owego nastroju epikurejskiego, który korzysta z czynników wyższej, intelektualnej kultury, nie tracąc przez to nic na swym charakterze egoistycznym. Z tego stanowiska mój dobry znajomy jest okazem ciekawym, budzącym szczególne zajęcie przy charakterystyce epikureizmu życiowego.

Pan N. jest człowiekiem poważnym, ale o nastroju dość lekkim, czasem nawet wesołym. Nie widziałem go nigdy głębiej stroskanym, nawet i wtedy nie, gdy mi opowiadał o swych kłopotach finansowych. A są one często bardzo dotkliwe. Jako przemysłowiec ma wiele rozmaitych zobowiązań, a interesa jego znajdowały się nieraz w stanie krytycznym. Długi atoli mało go niepokoją. Powtarza on przy danej sposobności żartobliwie słowa owego dłużnika, który zagadnięty, czy może spać spokojnie, mając tyle długów, odpowiedział: „Ja sypiam spokojnie, ale dziwię się, że moi wierzyciele nie cierpią na bezsenność.“ Bo też w samej rzeczy żadne zobowiązania finansowe nie skłaniają pana N. do zmiany w czemkolwiek swego zwykłego a wygodnego trybu życia, do wyrzeczenia się choćby jednego kieliszka wina, które musi mieć codziennie przy obiedzie i to w gatunku wyborowym.

Stosunki rodzinne pana N. także nie są różowe. Ma syna i córkę. Syn z zacięciem modernistycznym lekceważy ojca, a przytem domaga się naturczywie środków do życia hulaszczego nad stan. Każdy inny ojciec wobec takiego syna miałby codziennie

powód do gniewu i zgryzot. Pan N natomiast nie irytuje się nigdy; robi, co uważa za konieczne, bez naruszenia swych interesów i swego spokoju, a nie wdaje się z synem w żadne dyskusje nieprzyjemne.

Córka również nie wyrobiła się według życzeń ojcowskich. Jest artystką-malarką i przy danej sposobności zaręczyła się za plecami rodziców z artystą-malarzem, nie będącym w możności założenia własnego domostwa. Matka boleje nad tym stosunkiem; pełna jest obaw o los ukochanego dziecka i ma poważne do tego powody. Ojciec natomiast bez wszelkich wzruszeń oświadczył, że nie może łożyć na przyzwoite utrzymanie dwóch rodzin, i już więcej o tę sprawę się nie kłopotuje. Wszelkie perswazyje matki i córki puszcza mimo ucha, nie tracąc ani na humorze, ani na apetycie, a ten ma zawsze dobry i zaspakaja w sposób wybredny, choć nie razi swem smakostwem.

Żonę kocha, bo jest dobrą dla niego, dba bez szemrania o jego rozliczne potrzeby, bardzo zresztą wygórowane, nadto szanuje jego zdrowy sąd o rzeczach, jego spokojne usposobienie i zawsze się stosuje do jego życzeń. Z jego strony natomiast nie spostrzegłem nigdy najmniejszego dowodu wdzięczności lub uznania, a tem mniej jakiejkolwiek usłużności dla żony. Wszystko przyjmuje od niej dobrodusznie, jako przynależną powinność, za którą odplaca się jedynie najzwyczajniejszą monetą konwencyjonalnej grzeczności.

Takim też jest w stosunku do znajomych i przyjaciół, a ma ich dużo, bo swą miłą jowialnością jedna sobie ludzi. Dla każdego jest uprzejmym, z nikim o nic się nie spiera, nikomu się nie narzuca swoją wyższością, choć jest zakochany w sobie. Lubi dobre towarzystwo, uczęszcza chętnie na zebrania gościnne, ale u siebie sprowadza je do niezbędnego minimum. Grywa w oznaczony dzień tygodniowo w winta w kółku zaufanych; pali wyborne cygara, umie zająć towarzystwo opowiadaniem bądź przygód własnych i obcych, bądź anektod, dowcipów, dykteryjek zabawnych. Przytem unika jednak starannie wszystkiego, co może budzić czyjekolwiek niezadowolenie, gdyż celem jego jest zawsze przypodobać się słuchaczom i zjednać sobie ich uznanie. Dla tego też nie dotyka nigdy kwestyj drażliwych, religijnych, politycznych, filozoficznych, mogących wywołać sprzecznosci, choć posiada wyższe wykształcenie i czytuje z zajęciem książki poważne. Mówiąc płynnie, z zacięciem retorycznym, lubi słyszeć samego siebie, a na przemówienia innych nie zwraca zbytnej uwagi.

Z najbliższymi przyjaciółmi mówi głównie, i to zazwyczaj drobniostkowo, o samym sobie, o swem zdrowiu, swych interesach, swych planach na przyszłość i t. p. Wynurzenia natomiast przyjaciół co do ich spraw nie zajmują go wcale; znudzony przerywa je też prędko słowami uspakajającymi, traktując wszystko, co ich dotyczy, jako bagatele, nad którymi nie warto łamać sobie głowy.

Usługi, mniejsze lub większe, często bardzo doniosłe, przyjmuje od każdego chętnie, ale się nigdy nie zdradza z tem, że mają dla niego wagę istotną; załatwia je też zawsze kilkoma uprzejmymi frazesami, gdyż wywdzięczenie się podobnemi usługami wcale mu nawet na myśl nie przychodzi.

W sztuce wyłudzenia, w razie potrzeby, tego rodzaju usług, przy pomocy retoryki i zręcznego pochlebstwa, jest mistrzem wielkim. Gdy wszelako, wskutek zbyt częstego przyjmowania grzeczności, lub nawet dobrodziejstw, czuje się zobowiązanym do pewnego rewanżu, wynajduje zawsze jakiś mały, niekosztowny prezencik, który budzi zajęcie osoby interesowanej i zadawała ją, zwłaszcza wobec wytwornej uprzejmości dawcy, podnoszącej wartość najskromniejszych upominków. Wogóle pięknemi słówkami i dobrym tonem wynagradza gdzie tylko może to, co mu inni wyświadczają, nawet poniesione dla niego nieraz bardzo dotkliwe ofiary materyalne. Estetyka odpowiada jego usposobieniu, schlebia jego miłości własnej, więc rad jest, że przy jej pomocy może sobie oszczędzić wydatki na innych, nieuszczuplając środków dla możliwie pełnego zaspokojenia wymagań przyjemnego dobrobytu.

Jako członek społeczeństwa, p. N. cieszy się dość szerokiem uznaniem. Należy do grona dobrze wykształconych przemysłowców, przyswoił sobie z łatwością znajomość zarówno techniczną, jak i handlową swego przedsiębiorstwa, a to go utrzymuje na wysokości i nadaje mu poważane stanowisko w kole współtowarzyszów pracy. Pomimo to nie trudzi się nigdy nad siły, lecz umie zręcznie dobrać sobie ludzi, pracujących za niego i wyzyskać ich zdolności możliwie tanim kosztem. To też sprawami swego zawodu zajmuje się tylko o tyle, o ile to nie narusza jego spokoju i nie zmusza do odstępiania od miłych nawyków.

Z tego też powodu nie przyjmował nigdy żadnego stanowiska społecznego, choć go niejednokrotnie wybierano na członka tej lub owej komisji lub na rzeczownika spraw zawodowych. Zawsze się tłumaczył skromnie brakiem odpowiedniego uzdolnienia oraz czasu.

Wszelkich stowarzyszeń dobroczynnych, składek i t. p. unika skrętnie. W wypadkach żądań natarczywych w tym kierun-

ku, oświadcza znowu z całą grzecznością, że jest zwolennikiem teoryj ekonomicznych, potępiających działalność filantropijną, jako podkopującą samodzielność ludzką i zachęcającą do próżniactwa. Samopomoc i praca, oto według tych teoryj jedyne środki, zdolne zapobiedz nędzy klas ubogich. „Przecież i my, przemysłowcy, mówił, sami sobie radzić musimy we wszelkich kłopotach, i my się obchodzimy bez towarzystw dobroczynnych i obcej pomocy.“

W stosunku do swych oficyalistów i młodszej braci robotniczej p. N. jest wogóle, jak to nazywają: „dobrym,“ t. j. nigdy nie dopuszcza się żadnej względem nich szorstkości, niepokojącej bez celu obie strony. Z tem wszystkiem trzyma się i tutaj zaznaczonych zasad ekonomicznych, wielce wygodnych. Przedewszystkiem dalekim jest od najmniejszej nawet ofiarności na rzecz kościoła, szpitali, szkół lub innych instytucyj społecznych. Do obowiązkowych w tym względzie podatków nie dodaje nigdy ani szeląga. Podobnie nie myśli o przyłożeniu rąk do podniesienia dobrobytu i oświaty czy to włościan, należących do jego folwarku, czy to robotników, pracujących w jego zakładach przemysłowych. Wszystko, co w tym względzie robi, sprowadza się do pięknych słów, któremi przy danej sposobności zachęca przedstawicieli tych niższych warstw społeczeństwa do samopomocy, domagając się, aby przecie sami wzięli się do roboty w tym kierunku.

Gdy się przekonywa, że urzędnik lub robotnik nie przynosi mu należytej korzyści, wszystko jedno, czy z powodu niedbalstwa, czy też z powodu słabości zdrowia, oddala go z całą życzliwością pod pozorem, że musi robić oszczędności lub też pod jakimkolwiek innym pretekstem, niewskazującym właściwej przyczyny: często nawet poleca takich ludzi na inne miejsca, dowodząc, że przy zmienionych warunkach będzie im lepiej. A że nadto, z obawy utraty dobrego oficyalisty lub robotnika dla zbyt skromnego wynagrodzenia, sam, w razie potrzeby, podwyższa im płacę, przeto budzi nawet tu i owdzie szczerą wdzięczność dla siebie. W ten sposób z wielką umiejętnością, dbając o swój interes, nie naraża się na nieczyją niechęć. To też uchodzi zazwyczaj wśród klas robotniczych za lepszego chlebodawcę, aniżeli wielu innych, ponoszących nieraz wielkie ofiary na korzyść ogółu robotników.

Pan N. jest wreszcie i dobrym patriotą... w słowach. Ładnie mówi o ojczyźnie i jej przyszłości. W gruncie rzeczy jednak sądzi, że i ona sama sobie radzić musi bez jego czynnego udziału. Cóż też mógłby dla niej zrobić? Do jakiegokolwiek służby publicznej nie wdrożył się nigdy, więc ma słuszność, że się od

niej wymawia brakiem wyrobienia. Ale i czasu niema, bo przywykł każdą chwilę, wolną od niezbędnych zajęć w swoim interesie, poświęcić myśleniu o sobie i swej wygodzie.

Nadto wszelka służba publiczna na korzyść ogółu, społeczeństwa, ojczyzny, pociąga za sobą ofiary moralne i materialne; ofiarę ze spokoju i codziennych nawyków; ofiarę w nagłych wypadkach z dobrobytu, zdrowia i życia nawet. Tymczasem on od bardzo dawna, a mianowicie od chwili samodzielnego zastanowienia się nad sobą, postanowił o nikogo i o nic się nie troszczyć, tylko wyłącznie o swój spokój i swoją przyjemność, i to mu się w wymienienie udawało przez całe życie bez narażenia się komukolwiek. Skądże teraz miałby się puścić na burzliwe morze polityki, przyłączyć się do jakiejś partii, stać się z jednej strony przedmiotem nienawiści i pogardy przeciwników, a z drugiej przeciwdziałać im z nadzwyczajnym wysiłkiem energii w celu urzeczywistnienia pewnego ideału politycznego, zdobycia dla ojczyzny dóbr, niezbędnych dla jej bytu i rozwoju? To wszystko w samej rzeczy przekracza uzdolnienie i wyrobienie takiego szanownego męża, jakim jest pan N., więc nie dziw, że to wszystko uważa dla siebie za niemożliwe i że nikt też czegoś podobnego od niego wymagać nie myśli.

Była chwila w życiu pana N., w której miałem sposobność wniknąć w podkład filozoficzny jego postępowania. Gdy pewnego razu bronił zaznaczonych zasad ekonomicznych, żądałem od niego otwartego wyznania, czy się kieruje w swym stosunku do ludzi pewną teorią etyczną, czy też zadawała się w tym względzie instynktem, bezpośrednio pocuciem oraz zdrowym rozsądkiem? Otóż wtedy powiedział mi, że niegdyś z jakiejś historii filozofii zapoznał się w ogólnych zarysach z zasadami etyki Epikura i Bentham'a i że te tak przemawiały do jego przekonania, iż przyjął je za podstawę swego postępowania w życiu. „Bo też, dodał, w samej rzeczy, gdy każdy dbać będzie o swoje dobro i swe zadowolenie, nie tracąc niepotrzebnie ani sił, ani czasu na staranność o innych, wtedy wszystkim lepiej będzie.“

Zarzuciłem, że przecież często człowiek sam sobie radzić nie może przy najlepszej chęci, np. gdy jest chory, lub kaleka, lub gdy nie stoi na odpowiedniej stopie kultury. Czyż w takich razach nie należy przyjść mu z pomocą, jak to czynimy z dziećmi, póki nie staną na własnych nogach?

„Co do dzieci, odpowiedział, to racya, że zmarniałyby bez pomocy matek, które też od natury obdarzone są przywiązaniem do potomstwa i dla niego robią, co mogą. Ale co do dojrzałych

ludzi, to muszą sami sobie radzić, bo troska o nich doprowadziła-by zdrowych, normalnych do zaniedbania własnego dobra, a przez to stan ogólny ludzkości pogorszyłby się tylko. Natura powinna być w tym względzie naszą mistrzynią. Ileż to kwiatów ginie na drzewie bez celu, a te, w którychli się owoc zawiązuje, czyż wszystkie dojrzewają? Moc ich opada, inne robak toczy, psują się, gniją, i ostatecznie tylko mała cząstka dojrzewa zdrowo i przynosi pożytek człowiekowi. Z jakiej racji mielibyśmy się opiekować kwiatem opadłym, wogóle tem, co ani sobie, ani nikomu żadnego pożytku przynieść nie może? Co zdrowe i warte istnienia, samo zwalcza wszelkie przeszkody i dobija się własnymi siłami dobrobytu, szczęścia. W świecie ludzkim nie może być inaczej, i tutaj panują te same prawa rozwoju, postępu, życia.“

Zagadnięty, czy jest zwolennikiem naturalizmu, skoro z natury czerpie wzory dla swego postępowania, dla etyki? czy nie uznaje żadnego bytu wyższego ponad byt zmysłowy, fizyczny przyrody? odpowiedział, że niegdyś wierzył wprawdzie w Boga, a gdy się zajmował historią filozofii, przypuszczał, że musi istnieć we wszechbycie jakiś czynnik duchowy, odpowiadający naszej samowiedzy i naszemu rozumowi. Wkrótce atoli „nauka współczesna“ doprowadziła go do przekonania, że innego bytu nad byt przyrody niema, że wszelkie poglądy, uznające jakiś byt wyższy, czy to w samej przyrodzie, czy to poza przyrodą, są wytworem „nienaukowej metafizyki,“ a więc nie zasługują na wiarę. „Zresztą, dodał, niech się o to filozofowie i metafizycy ze sobą spierają. Dla mnie wszystko jedno, do jakich ostatecznie dojdą wyników. Wiem niewątpliwie, że raz tylko tu na ziemi żyję i że nie mam żadnego racjonalnego powodu nie dążyć do możliwie przyjemnego przepędzenia życia, do zadowolenia samego siebie pod każdym względem, a więc nie mam też powodu ponosić jakiegokolwiek ofiary ze swego dobrobytu na korzyść innych. Tej też zasady trzymam się w swym stosunku do ludzi. Nie ubliżam nikomu, nikomu nie szkodzę, ale też o nikogo się nie troszczę, a urządzam się tak, aby mnie było zawsze możliwie dobrze.“

Na dalsze pytanie, czy taki stosunek do otoczenia, wogóle do świata, zadawała go, czyni go istotnie szczęśliwym, przyznał się otwarcie, że im bardziej postępuje w lata, tembardziej przejmuje się marnością istnienia, dochodzi do przesytu wszelkimi rozkoszami życia, staje się pesymistą. „Bo przecież, dodał, ostatecznie całe to życie z pogonią za tak zwanem szczęściem do niczego nie prowadzi i nic zgoła nie warte. Natura jest niełitościwą; jednostka żyje i ginie bez celu—oto wszystko...!“

Po takich wyjaśnieniach już go dalej nie indagowałem. Widzę, że jego etyka pozostaje w ścisłym związku z jego ogólnym, naturalistycznym poglądem na świat, a od tego poglądu, przy danych warunkach, nie podejmuję się go odprowadzić. Zresztą pan N. nie chce się wcale wdawać w dalszą dyskusję co do zasad swego ogólnego na świat poglądu. Na argument, że ściśle wyniki nauk przyrodniczych nie zgoła nie orzekają o pochodzeniu „ducha“, a więc świadomej siebie myśli, rozumu z czynników fizycznych, stanowiących jedyną podstawę przyrodoznawstwa—daje wymijającą odpowiedź, że w szczególności wchodzić nie może, bo nie jest specjalistą. Zresztą rozbiór tej kwestyi nudzi go widocznie, gdyż wymaga natężenia umysłu, przekraczającego zwykłe jego nawyknięcie. To też w ostateczności zasłania się ciągle na nowo „współczesną nauką“, której „wyniki“ przyjmuje po dyletancku, bez rozbioru krytycznego ani zasad samej „nauki“, ani treści owych rzekomych „wyników.“

3. Charakterystyka altruizmu.

Przedstawicielei ściśle przeprowadzonego altruizmu nie tak łatwo napotkać w życiu codziennem, jak praktycznych egoistów i epikurejczyków. Dążność nie tylko do samozachowania, ale i do samozadowolenia jest w samej rzeczy przyrodzoną człowiekowi, jak i zwierzętom, a wyrzeczenie się tej dążności na korzyść innych, jest objawem wyjątkowym i świadczy zawsze o przewyżczeniu pewnych bezpośrednich popędów natury.

Prawda, że człowiekowi, podobnie jak zwierzętom, właściwe są i pewne uczucia sympatyczne, stanowiące przyrodzony podkład altruizmu. Miłość macierzyńska jest w tym względzie objawem najwybitniejszym. Pozostaje ona w ścisłym związku z celem przyrody zachowania gatunku, jako dopełnienie indywidualnego samozachowania. Z tem wszystkiem samozachowanie i popędy egoistyczne są u większości istot niewątpliwie silniejsze od zwykłego rozwoju uczuć sympatycznych. Dla tego też najwyższe objawy altruizmu, w szczególności ofiara z życia na rzecz innych, należą do rzadkości i są wytworem kultury etycznej, opartej na przeświadczeniu, że jednostka nie jest ostatecznym celem swej działalności, lecz tylko środkiem dla urzeczywistnienia celów, mających wartość wyższą, ogólniejszą. Rzadkością są również i ludzie, którzy choć nie ponoszą śmierci dla innych, jednak zapomi-

nają o tyle o sobie i swem zadowoleniu, że w całym swem życiu czyni są głównie dla dobra innych. Przypatrzmy się bliżej jednemu z takich okazów etycznych.

Pan X. jest człowiekiem skromnym; niczego od nikogo dla siebie nie wymaga. Nawet w stosunku do podwładnych i służby, woli nieraz sam zrobić ich robotę, aniżeli wystąpić z przykrymi dla nich zarzutami lub zapędzać ich do pracy. Zawsze znajduje dla nich jakieś usprawiedliwienie, zawsze jest wyrozumiałym, pobłażliwym, delikatnym, choć ich niedbałość sprawia mu często przykrość wielką. Ale niema o to długo urazy; zapomina wogóle łatwo złe doznawane od innych, gdyż o sobie mało myśli.

Równie skromnym i niewymagającym jest w całym sposobie życia. Smakoszostwa nie rozumie; wina i innych trunków nie używa, nie pali też cygar, ani w karty nie grywa. Puszczanie grosza z dymem, wydanie go na drogie śniadanka lub inne zbytki, wreszcie marnowanie czasu na bezcelowe rozrywki—miałyby sobie za grzech wobec tylu niezaspokojonych potrzeb innych ludzi i wogóle społeczeństwa.

Nie jest jednak p. X. ascetą nietowarzyskim, zamkniętym w sobie lub jakimś odludkiem, mizantropem. Przeciwnie, jest filantropem w całym znaczeniu tego słowa, szczerym, serdecznym. Nie szczędzi grosza na cele dobroczynne, a nadto z niekłamaną życzliwością przyjmuje każdego, kto się do niego zgłasza, czy to w interesie jakim, czy o radę lub w potrzebie, i to bez względu na stan osób. Dla ubogich i maluczkich jest nawet zazwyczaj bardziej uprzejmym, niż dla bogatych i wysokich. To też niema prawie dnia, w którymby go nie nachodzono z jakimiś postronkami sprawami, często zupełnie osobistymi, szukając jego pomocy lub wskazówek. Nigdy nie jest niecierpliwym z tego powodu; dla każdego okazuje się uczynnym; niemal nikomu spełnienia prośby odmówić nie może. Sprawia mu to dużo kłopotów i niepokoju, ale zajmuje się obojętnie sprawami, jak swemi, bez różnicy.

Na zwykłe zabawy towarzyskie p. X. nie uczęszcza wprawdzie zbyt chętnie, ale lubi natomiast zebrania poważne, na których dyskutować można nad dobrem bądź narodu wogóle, bądź ludu, robotników i innych warstw społecznych. Sam często zaprasza do siebie grono dobrych znajomych w celu narady nad palącymi kwestyami chwili. Studjował w swoim czasie gruntownie nauki społeczne, zapoznał się też w Niemczech, Francji i Anglii z warunkami prawidłowego rozwoju różnych instytucji publicznych, a zajmując obecnie wyższe stanowisko w jednej z takich

instytucyj krajowych, czynny jest energicznie w kierunku przeprowadzenia niezbędnych reform dla dobra tej instytucji. Zarazem bierze gdzie i jak może życzliwy udział i w innych instytucjach, wspierając ich kierowników swą radą i doświadczeniem bez wszelkiej zawiści. Wybierany często na różne urzędy honorowe do towarzystw dobroczynnych i instytucyj społecznych, spełnia swe obowiązki z rzadką sumiennością, nie mniej ściśle i skrupulatnie, aniżeli obowiązki wynagradzane przez chlebobawców. Przyczynia się też przez to niemało do postępu odnośnych spraw publicznych.

Rodzina i warunki jej bytu żywo go zajmują. Jest czułym mężem i troskliwym ojcem. Najlżejsza słabość jednego z członków rodziny, niepokoi go bardzo. Zwykle w takich wypadkach sam idzie do doktora, żeby go objaśnić, co do stanu chorego i zaprosić, aby przybył. Wychowanie dzieci, ich nauka, los i przyszłość leżą mu na sercu bezustannie. Nie brak mu z tego powodu trosk i zgryzot poważnych. A że i w urzędowaniu oraz służbie społecznej doznaje również nieraz przykrych przejść wskutek ściśłości, z jaką wykonywa swe obowiązki, przeto prawie nigdy zobaczyć go niemożna w usposobieniu wesołym, ze swobodną myślą. Zawsze coś go koreci, choćby nawet sprzeczka uliczników, w której dopatruje się braku kultury społecznej; zawsze ma powód do narzekania na coś, to na samowolę władz, to na brak poszanowania nawet dla takich praw, które instytucje społeczne lub różne towarzystwa same sobie nadają; to na te lub owe nieprawidłowości w życiu codziennem, to wreszcie na tak częste odstępstwa od normalnego i rozumnego postępu spraw ludzkich.

Podstawą jednak wszelkich tego rodzaju utyskiwań i skarg jest dla niego pewien ideał etyczny stosunków społecznych, którego urzeczywistnienie uznaje za warunek wszelkiego postępu. Przyczynienie się zaś do tego postępu wedle możliwości ma za swój najwyższy obowiązek. Nie szczędzi też ofiar, ani czasu i sił, aby obowiązek ten spełnić zawsze i wszędzie zgodnie ze swem przekonaniem.

W odradzającym się życiu politycznem kraju p. X. uczestniczy z wielką energią. Przy każdej sposobności wygłasza poglądy swoje na potrzeby kraju i niezbędne środki ich zaspokojenia. Tu swoboda i samorząd są jego ideałami. Choć nie jest literatem z powołania, chwyta jednak za pióro, aby jasno i dobitnie uzasadnić swe zapatrywania i usprawiedliwić je nawet w oczach przeciwników, których mu nie brak wobec stanowczości, z jaką występuje w obronie swej partyi.

Przeciwników jednak nigdy nie dotyka osobiście, nie hańbi ich, lecz rozbiera wszechstronnie jedynie ich zasady i zbija je dowodami rzeczowemi. Z polemiki jego przeziara zawsze duch pojednawczy oraz optymistyczna nadzieja, że wobec wspólnej miłości ojczyzny, argumenty jego zdołają przekonać najzawziętszych nawet wrogów. Sam do tego stopnia przejęty jest prawością swych przekonań, do tego stopnia zajęty rzeczą, o którą mu idzie, bez wszelkich względów osobistych, że wcale nie przypuszcza, aby przeciwnicy mogli w najgorętszym nawet sporze zajmować inne stanowisko.

Rzecz naturalna, że taka łatwowierność bywa zazwyczaj zawiedziona, ale żadne rozczarowanie nie zmieniło jego taktyki polemicznej, ani nie zdołało podkopać jego zaufania do dobrej woli przeciwników, aż w końcu nowe usiłowania w kierunku obopólnej zgody na gruncie rzeczowym wywołały uśmiech szyderyczy nawet wśród jego własnego obozu.

Powyższy obraz działalności pana X. należy dopełnić stunkiem do osobistego zadowolenia, jakie mu przynosiła. Otóż rzadko doznawał on zupełnego zadowolenia, nieznanącej przyjemności, bo rzadko urzeczywistniały się w sposób pożądaný jego najlepsze usiłowania dla dobra czy to narodu, społeczeństwa, czy to tej lub owej instytucji, czy to wreszcie tej lub owej jednostki. Zawsze czegoś brak było do pełnego osiągnięcia jego zamiarów i pragnień. Raz stawał na przeszkodzie niedostatek środków materialnych, innym razem niechęć i zła wola ludzi — a to go gryzie boleśnie, bo wszelkie zawiedzione oczekiwania bierze żywo do serca.

W pewnych kołach społecznych ma wprawdzie p. X. wielkie wzięcie; uznano szczerze jego wyrzeczenie się siebie dla służby publicznej i podnoszono jego wielkie zasługi na tem polu. Ale to nie może mu sprawiać zbyt wielkiego, osobistego zadowolenia, gdyż z drugiej strony jest przedmiotem tem zawziętszej nienawiści i wzgardy licznych nieprzyjaciół, zazdrosnych o każde jego powodzenie. Więc nigdy nie doświadcza spokoju, nie zapomina o swych zajęciach i związanych z nimi kłopotach, nie oddaje się swobodnie przyjemnościom życia w rodzinie lub towarzystwie. Ciągłe coś ma na głowie, coś go niepokoi, bądź własne interesa, bądź sprawy domowe, społeczne, polityczne, lub nawet prywatne znajomych i przyjaciół.

Jeden z najbliższych powierników pana X., obeznany dobrze z jego działalnością, dowodził mu niejednokrotnie, że napróżno

się męczy i dręczy, napróżno przynosi w ofierze samego siebie, całe swe życie, swój spokój, nawet dobrobyt i zdrowie.

— Przecież, mówił, człowiek ma też obowiązki względem samego siebie, a spokój, wypoczynek, wywczas należą mu się po natężonej pracy obowiązkowej. Ty zaś pracujesz i w czasie wolnym od zajęć obowiązkowych; ciągle bez należytego wytchnienia czynny jesteś; prawda, że poświęcasz się dla dobra innych, ale nad siły swoje, z wyrzeczeniem się tego wszystkiego, co nadaje życiu wartość prawdziwą, co jest niezbędnem, aby się czuć zadowolonym, szczęśliwym.

— Nasze pojęcie obowiązku, odparł, różni się, jak widzę, zasadniczo. Co ty nazywasz czynnością nadobowiązkową, moją działalność społeczną i polityczną, mam troskę o sprawy innych, szukających mej pomocy — ja mam za najprostszy obowiązek mego istnienia. Czyż obowiązki nasze sprowadzają się tylko do pracy, wynagradzanej pieniądze bądź przez państwo, bądź przez naszych chlebobawców? Według mego przekonania samo istnienie nasze wśród pewnego otoczenia nakłada na nas obowiązek przyczyniania się, według możliwości, do rozwoju i dobrobytu tego otoczenia. Jesteśmy jego członkami, tworzymy wraz z niem jedną całość, ustrój; a jak w organizmie każdy narząd spełnia pewną funkcję na korzyść całości, tak też każdy członek rodziny, społeczeństwa, narodu, ludzkości, czynnym być winien, według swych sił i swego uzdolnienia, dla dobra szerszego ogółu, gdyż tylko w takim razie spodziewać się można prawidłowego rozwoju oraz postępu spraw ludzkich. Wartość istotna bytu i życia każdej jednostki nie polega na jej własnem zadowoleniu, lecz na tem, czy działalnością swoją przyczynia się do dobrobytu całości, w której skład wchodzi. Z takiego punktu widzenia czynię tylko to, co do mnie należy, nie więcej, a że przytem nie mam spokoju i wyrzekam się tak zwanych przyjemności życia, to jest rzeczą naturalną i inaczej być nie może, bo gdybym o sobie myślał głównie, wtedy zaniedbałbym najprostszych swych obowiązków względem innych.

— Wszystko to dobrze, odrzekł przyjaciel, ale przecież z drugiej strony życie, pozbawione zadowolenia, nie jest normalnem i pociąga za sobą osłabienie sił do wytrwałej, twórczej pracy, więc o swoje zadowolenie zawsze dbać potrzeba, choćby dla tego, że bez niego służba dla dobra innych nie może się rozwinąć w sposób należyty.

— Masz słuszność, mój drogi, ale zapominasz, że nie brak mi tego zadowolenia, o którym mówisz, nie brak nawet wielkich, prawdziwych rozkoszy. Zwycięstwo prawdy nad fałszem, porządku nad nieładem, dobra powszechnego nad egoizmem jednostek

i stronnictw — oto źródło mych rozkoszy. Prawda, że źródło to nie płynie zbyt obficie, ale wystarcza, aby pokrzepić me siły bardziej, niż wszelkie inne przyjemności życia, nadto podtrzymuje ono mą wiarę w postęć i w ostateczne urzeczywistnienie ideałów rodu ludzkiego.

Na dalszy zarzut przyjaciela, że dobro społeczeństwa, narodu, ojczyzny jest pojęciem zbyt ogólnikowem, rozumianem różnie przez różnych ludzi, że zatem cele naszej działalności powinny mieć charakter bardziej konkretny, szczegółowy, odpowiada p. X., że właśnie takimi konkretnymi sprawami się zajmuje, że ma zawsze na oku pewne, szczegółowe zadania odnośnie do tej lub owej kwestyi politycznej, tej lub owej instytucyi społecznej, tych lub owych potrzeb różnych jednostek. Jak odpowiedni narząd organizmu spełnia zawsze pewną, szczegółową funkcję, a my tylko szereg takich funkcyj uogólniamy, sprowadzając go do wspólnego mianownika, tak również i działanie człowieka w stosunku do otoczenia ma za przedmiot zawsze pewne, szczegółowe potrzeby tego otoczenia i dąży do ich możliwie pełnego zaspokojenia. Ogólników tu niema żadnych, lecz jest życie realne w całej mnogości i różnaitości swych składowych czynników. Należyte uwzględnienie każdego z nich i ich organiczne zespolenie w rozwoju społeczeństwa — oto cel, którego urzeczywistnienie powinna mieć na oku każda jednostka, stojąca na wysokości kultury etycznej.

Zwracano panu X. też niejednokrotnie uwagę na to, że wyrzeczenie się siebie dla innych nie jest wcale logicznie uzasadnionem, bo przecież jednostki są sobie równe, a więc dbałość każdej o własne dobro ma zasadniczo toż samo znaczenie, co dbałość o dobro innych, a jest nadto umotywowaną przyrodzonym popędem istot żyjących.

Takim argumentom przeciwstawia znowu swój, jak mawiał, organiczny pogląd na zasady etyki. Przeznaczeniem jednostki, dowodził, jako organu otoczenia, ogółu, jest służenie temu ogółowi, a z tego wynika obowiązek wdrażania się w tę służbę, wyrobienia się w tym kierunku. Etyczna doskonałość jednostki polega właśnie na tem, aby swoją służbę dla ogółu pełniła ochoczo z możliwie wszechstronnem rozumieniem swych zadań. Jej własne zadowolenie nie może, ani też nie powinno być *motywem* jej działania, lecz może być conajwięcej jego *skutkiem, wynikiem*. Ale tego skutku nikt niema prawa oczekiwać po każdym, poszczególnym czynie dla dobra ogółu, lecz może go się spodziewać jedynie, gdy osiągnie doskonałość w swej działalności na korzyść in-

nych, gdy urzeczywistni swe właściwe przeznaczenie, jako cząstki odpowiedniej całości. Wtedy, gdy całość, ogół, dzięki pracy i poświęceniu jednostek, stanie się ustrojem wzorowym, prawidłowo rozwijającym się, natenczas jednostka, jako cząstka takiej całości, znajdzie zaspokojenie należyte wszystkich swoich potrzeb oraz zupełne zadowolenie osobiste w wykonywaniu swych funkcyj. Będzie to skutek zjednoczonej pracy wszystkich na korzyść ogółu.

Inaczej się rzecz przedstawia przy egoistycznych, a cóż dopiero epikurejskich dążnościach jednostek. Jeżeli każda jednostka dba tylko o siebie i sobą tylko jest zajęta, natenczas wywiązuje się nieodzownie rozprzężenie całości, zjawia się walka wszystkich przeciwko wszystkim, podkopująca prawdziwe zadowolenie każdej z osobna. Jest to stan pierwotny, wynikający z braku kultury etycznej, z panowania surowych popędów egoizmu nad rozwojem uczuć sympatycznych. Wraz atoli z postępem życia społecznego i kultury etycznej, jednostka dochodzi do zrozumienia swych zadań w ustroju otoczenia i poświęcając się tym zadaniom z wyrzeczeniem się egoizmu, doskonali, uszlachetnia samą siebie i osiąga, jako dar ogólnego porządku rzeczy, to, czego żadną egoistyczną działalnością osiągnąć nie może — zadowolenie wewnętrzne z udoskonalenia samej siebie oraz ogółu, do którego należy.

Jako podstawę tych zapatrywań, wyznawał p. X. pewien religijno-filozoficzny pogląd na świat, z którym łączyła się ściśle etyka, kierująca jego postępowaniem w życiu. Rozumiał on dobrze, że gdyby istnienie człowieka ograniczało się wyłącznie życiem zmysłowym; gdyby nie było we wszechbycie żadnego czynnika rozumnego, przewyższającego siły fizyczne przyrody, natenczas łączność jednostki z ogółem, pozbawiona podkładu moralnego, byłaby bardzo luźną, a dążność do udoskonalenia etycznego jednostki, oraz wyrzeczenia się egoizmu na korzyść ogółu, nie miałyby racji bytu. Wszelkie ideały etyczne sprowadzałyby się w takim razie do częściej frazeologii, rozchodzącej się z realnemi siłami fizycznej przyrody, jako jedyne go czynnika wszechbytu. Siły te zapanowałyby ostatecznie nad życiem tak jednostki, jak i ogółu ludzkości, i obróciłyby w niwecz wszelkie dążności duchowego wyrobienia człowieka, a więc i jego kultury etycznej.

Pogląd ten rozwijał bardziej szczegółowo w sposób następujący.

Etyka, mówił, wraz z logiką i estetyką są objawami umysłowego życia człowieka, przewyższającemi na każdym kroku czynniki czysto fizyczne przyrody zmysłowej. Jak zasad logiki lub estetyki nie możemy zaczerpać ze zmysłowych danych, doty-

czących myślenia ludzkiego i sztuki,—gdyż faktyczny stan nie odpowiada zazwyczaj owym normom, które człowiek uznaje za obowiązujące dla swego prawidłowego działania,—tak również i etyka nie zadawała się bezpośrednio popędami zmysłowemi, lecz kieruje się wymaganiami rozumu; nie ogranicza się tem, co *jest*, lecz ma na oku to, co być *powinno*.

Ludzie popełniają co chwila sprzeczności logiczne, ale z tego nie wynika, abyśmy pomimo to nie mieli wymagać wyłączenia wszelkich sprzeczności z naszego myślenia, aby nauka nie dążyła do zjednoczenia swych badań w całość bezsprzeczną.

Z tej wyższości racjonalnych czynników nad sensualistycznymi wypływa ów krytycyzm rozumu ludzkiego, który rozbiera własne swoje czynności i ocenia je nie ze zmysłowego (sensualistycznego), lecz z rozumowego (racjonalnego) punktu widzenia. Ten zaś punkt widzenia może mieć istotne znaczenie dla nas i daje się usprawiedliwić jedynie na podstawie uznania samoistności naszego życia umysłowego, wogóle pierwiastku duchowego w świecie. Tylko jeżeli wśród świata zmysłowego istnieje świat umysłowy, świat wyższy, w stosunku do którego przyroda jest jedynie środkiem pomocniczym dla urzeczywistnienia celów rozumu, tkwiącego we wszechbycie; to znaczy, jeżeli byłby fizyczny nie jest pierwiastkiem górującym i bezwzględnie panującym nad duchem, lecz zależnym od niego—tylko wtedy dążności życia umysłowego, a więc i udoskonalenie etyczne człowieka, mają podkład realny, mogą być uznane za zgodne z faktycznym porządkiem świata. W przeciwnym zaś razie, bez samoistnego istnienia czynników racjonalnych w świecie, wszelkie dążności umysłu ludzkiego do piękna, prawdy i dobra, wszelki idealizm ducha, a więc i usiłowania na polu etyki, wszelkie służenie ogółowi z wyrzeczeniem się popędów egoistycznych — miałyby charakter utopij, niedających się urzeczywistnić, bo sprzecznych z realnym porządkiem rzeczy o charakterze wyłącznie fizycznym.

W jaki sposób pojmować będziemy tę zasadę samoistnego życia umysłowego we wszechbycie, dowodził dalej p. X.: czy ją sprowadzimy do istnienia Boga, Twórcy świata; czy też przyjmujemy ją za Rozum powszechny świata, kierujący jego rozwojem; czy wreszcie dojdziemy w tym względzie do jakiegokolwiek innego poglądu idealistycznego—są to odrębne kwestye, domagające się osobnych dociekań. Dla należytego usprawiedliwienia etyki o charakterze racjonalnym, przewyższającym bezpośrednio dane zmysłowego bytu człowieka, wystarcza uznanie wogóle samoistnej, rozumowej zasady wszechbytu, górującej nad bytem fi-

zycznym przyrody. Jedynie wiara w rozum wszechświata, w panowanie duchowych jego czynników, oraz w ich bezpośrednią łączność z bytem i rozwojem umysłowym człowieka, zdolna jest podtrzymać jego energię etyczną w walce z egoizmem i wpoić w niego poczucie obowiązku względem prawdziwego dobra swego otoczenia.

Solidarność jednostki z otoczeniem, praca i ofiarność dla jego dobra, jest wytworem moralnego rozwoju osobistości ludzkiej, opartego na przeświadczeniu o rozumowych czynnikach bytu i życia. W przeciwstawieniu do takiej osobistości, człowiek, jako jednostka fizyczna, ma na oku wyłącznie samego siebie i nie poczuwa się do żadnej ofiarności na korzyść innych. To też wszyscy altruści, którzy poświęcają się dla dobra swego otoczenia, przynosząc w ofierze dla niego swój egoizm, oddając się dążnościom bezinteresownym do poznania prawdy, urzeczywistnienia piękna i dobra, a przytem trzymają się jednak naturalistycznych poglądów na świat z zaprzeczeniem wyższych, rozumowych czynników bytu — wszyscy oni podlegają rażącej sprzeczności między swoją praktyką życiową a swemi teoretycznymi zapatrywaniami. Oni działają w duchu wiary w istotną wartość dóbr idealnych, któremi pragną obdarzyć ludzkość; tymczasem, według ich naturalistycznego poglądu na świat, owe dobra, dla których przynoszą ofiarę z samych siebie, pozbawione są właściwie wartości, gdyż nie są ugruntowane w realnym porządku świata. Z punktu widzenia tego naturalistycznego porządku, osobnik niema żadnego powodu wyrzekać się przyjemności zmysłowego życia dla dóbr utopijnych, niemających podstawy w danym stanie rzeczy.

Altruści tego rodzaju, kończył p. X., są lepsi w praktyce życiowej, niż ich teorie. Ich postępowanie na korzyść innych można tylko wytłómaczyć, jako wynik czy to dobrego wychowania moralnego w duchu idealistycznym, czy to odziedziczonego rozwoju uczuć sympatycznych, urobionych pod wpływem poglądu na świat, uznającego samoistne znaczenie życia umysłowego tak w człowieku, jak we wszechbycie wogóle. Zawsze altruizm, jako zasada etyczna, wiąże się wewnętrznie jaknajściślej z uznaniem moralnego porządku świata, przewyższającego jego porządek fizyczny.

4. Ocena porównawcza epikureizmu i altruizmu.

Charakterystyka ogólna dwóch przeciwległych zasad postępowania w życiu, obejmuje najgłówniejsze dane do porównawczej oceny odnośnych kierunków etycznych. Zabierając się jednak do tej oceny, musimy sobie przedewszystkiem zdać jasną sprawę z punktu widzenia, z którego oceny tej dokonać mamy. Rzecz naturalna, że nie możemy z góry stanąć na stanowisku ani jednej, ani drugiej z tych zasad, gdyż w takim razie wyprzedzilibyśmy wyniki oceny krytycznej przed jej rozpoczęciem. Więc jakie stanowisko zająć powinniśmy, aby oceny dokonać możliwie ściśle, krytycznie i naukowo?

Wszelki rozbiór bezstronny przeciwległych poglądów, podobnie jak i uznania lub zaprzeczenia jednej i tej samej zasady — musi mieć za podstawę pewne wspólne czynniki, wchodzące w skład każdej ze stron porównywanych ze sobą. Bez takiego „tertium comparationis,” każda strona byłaby do tego stopnia wyodrębnioną, że porównanie stałoby się zasadniczo niemożliwem. Cnoty np. i barwy zielonej wcale ze sobą porównać nie możemy, a więc okazałyby się i bezsensowną ich porównawcza ocena krytyczna. Jakże tedy czynniki stanowią wspólną podstawę zaznaczonych, przeciwległych kierunków postępowania etycznego i mogą nam służyć za punkt wyjścia dla ich porównawczej oceny?

Pytanie to obejmuje ostateczne zasady wszelkiego wogóle postępowania etycznego i nagli do głębszego wniknięcia w te zasady, jako wspólne wszelkim bez wyjątku kierunkom etycznym. Musimy tedy przedewszystkiem bliżej określić te zasady ogólne bez względu na ich szczegółowe urobienie w tym lub owym poglądzie.

Wszelkie postępowanie człowieka jest objawem jego życia umysłowego, a mianowicie najprzód pewnego bezpośredniego nastroju duszy, pewnych *uczuc*, budzących rozliczne potrzeby oraz popędy do ich zaspokojenia; następnie świadomego ujęcia tych potrzeb, przy pomocy *myślenia*, jako celów postępowania; wreszcie pewnej energii życiowej, czyli *woli*, dążącej do urzeczywistnienia owych celów w sposób odpowiedni.

Jako taki objaw życia umysłowego, postępowanie etyczne podlega z jednej strony ogólnym prawom życia i jego rozwoju, a z drugiej przedstawia pewne szczegółowe cechy, któremi postępowanie etyczne wyróżnia się od wszelkiego innego postępowania.

Te kwestye musimy tu wyjaśnić choć w najogólniejszych zarysach, aby z ich punktu widzenia dojść do porównawczej oceny owych dwóch przeciwległych kierunków postępowania.

Charakter *etyczny* postępowania polega zasadniczo na zastosowaniu działania do pewnych norm, uznanych przez działającego za obowiązujące dla siebie. Gdzie niema takich norm, ani poczucia zależności od nich, tam postępowanie ma charakter bezpośredni i dokonywa się, że tak powiem, samo przez się bez właściwej samodzielności ze strony działającego, a więc bez cech etycznych.

Z tego okazuje się, że postępowanie etyczne jest wynikiem rozwoju umysłowego w dwóch kierunkach: raz w kierunku uświadomienia norm czyli zasad obowiązujących człowieka, a następnie w kierunku zastosowania woli i działania do tych norm. W obydwóch tych kierunkach ujawnia się też dalszy rozwój etyczny, pociągający za sobą coraz wyższy stopień kultury etycznej. Z jednej strony człowiek dochodzi do coraz samodzielniejszego uświadomienia zasad swego postępowania, a z drugiej przywyka do coraz ściślejszego zastosowania swych działań do tych zasad. Wraz z rozwojem umysłowym człowieka rozwijają się też te czynniki etyczne jego postępowania i nadają życiu ludzkiemu coraz większą wartość.

Tu narzuca się jednak pytanie dalsze: na czym polega sam ten rozwój tak życia umysłowego wogóle, jak i szczegółowo zaznaczonych współczynników etycznych?

Poglądy myślicieli na istotę rozwoju są bardzo rozmaite, zdaje się atoli, że wszystkie dają się sprowadzić do zdania, że rozwój wogóle polega na przejściu od pierwotnych, prostych związków i stosunków w stan bardziej złożony, zawikłany, wogóle na rozszerzeniu, pomnożeniu oraz różniczkowaniu tak warunków, jak objawów życia przez jego łączność z coraz nowemi i odmieniami czynnikami. W ten sposób i rozwój życia umysłowego wydatnia się w zbogaceniu jego treści i w wytworzeniu coraz bardziej urozmaiconych związków życiowych. Im to bogactwo treści jest większe, im związki i stosunki bardziej złożone i urozmaicone, tem życie umysłowe znajduje się na wyższej stopie rozwoju. Mamy tedy tutaj ścisłą zasadę do porównania różnych objawów i do orzeczenia, który z nich przedstawia wyższy stopień rozwoju, a zatem ma i odpowiednie wyższe znaczenie w ogólnym postępie spraw ludzkich. Z tego też stanowiska zabieram się do porównawczej oceny *epikureizmu* i *altruizmu*.

Na podstawie podanej charakterystyki nie trudno się przekonać, który z owych kierunków jest prostszy, uboższy, ciasniejszy pod względem treści życiowej.

Epikureizm jest wprawdzie objawem wyższym, bogatszym, bardziej złożonym, niż prosty egoizm pierwotnego człowieka. Ale w gruncie rzeczy jego zasada postępowania jest równie ciasną i ubogą. Epikurejczyk zna wprawdzie i rozkosze wyższej kultury, życia rodzinnego, towarzyskiego, literatury, sztuki i t. p. Z tem wszystkim jednak te wyższe objawy nie zajmują go same przez się, lecz tylko o tyle, o ile mu przynoszą przyjemność, o ile są mu osobiście miłe i nie wymagają zbyt dużego nateżenia sił umysłowych. Nie oddaje się im tedy dla ich wewnętrznej wartości, lecz ceni je wyłącznie, gdy przy ich sposobności osiąga zadowolenie. Środek ciężkości jego działania sprowadza się zawsze tylko do jego jednostkowego bytu; tylko w nim widzi ostateczny cel swego postępowania, więc też nie przynosi żadnych ofiar na korzyść rozwoju owych wyższych objawów życia, lecz posiłkuje się nimi wyłącznie z egoistycznego punktu widzenia.

Poznanie prawdy, ukształtowanie piękna, urzeczywistnienie tego, co sam uznaje za dobre—są to cele „idealne,“ które go nie skłaniają do wyrzeczenia się zwykłych przyjemności życia. Oddanie się tym celom bez wszelkich względów osobistych, jest mu zupełnie obcem, niezrozumiałem. Wyrzeka się też spokojnie wszystkich tych celów, gdy pociągają za sobą jakiegokolwiek niedogodności lub wymagają ofiary z miłych nawyknień. Jazń swoją stawia ponad wszelkie „ideały“ i zajmuje się ich treścią jedynie o tyle, o ile sprawiają mu pewną przyjemność. Bezinteresowność zaś w jakimkolwiek kierunku, uznanie jakiegokolwiek treści idealnej dla niej samej, przekracza jego nastrój osobisty i nie powoduje jego działania. Zakres tedy motywów, zaprzętających jego umysł, jest nader szczupły i sprowadza się jedynie do jego jednostkowego bytu.

Taż sama ciasnota umysłowa ujawnia się w stosunkach epikurejczyka do innych ludzi, oraz do rodziny, społeczeństwa, narodu, państwa. I w tych stosunkach nie może się wznieść na stanowisko bezinteresownego zajęcia się swoim otoczeniem dla niego samego, lecz we wszystkim, co go otacza, widzi jedynie środek dla zaspokojenia swych osobistych dążeń. To też świat wszechludzki jest mu w gruncie rzeczy obojętny, chyba, że daje mu powód do niemiłych poruszeń—a wtedy go nienawidzi—albo że z niego zaczerpać może podniety do zaspokojenia swych pragnień—co go robi łaskawszym dla niego.

Nawet w zakresie stosunków rodzinnych nie pielęgnuje uczuć sympatycznych. W rodzinie widzi jedynie instytucję, mającą na celu jego osobistą wygodę i nic więcej. Zajmuje się nią tylko z konieczności; najmniejsza dla niej ofiara jest mu ciężarem nieznośnym, natomiast żywi przekonanie, że obowiązkiem jej członków jest służenie i dogadzanie jemu wedle możliwości.

W sprawach społecznych, politycznych, dobroczynnych, religijnych, wymagających zazwyczaj pewnej ofiary z osobistych wygod i przyjemności, nie bierze czynnego udziału. Zajęcie się nimi nadweręża jego spokój, więc niema powodu im się poświęcić. Wskutek tego żyje wprawdzie w społeczeństwie, ale nie ze społeczeństwem, wśród narodu, ale nie dla narodu. Wyzyskuje kulturę, postęp wszelkiego rodzaju na swoją korzyść, ale nie przyczynia się do podniesienia kultury, do postępu na jakimkolwiek polu ludzkiej działalności. Jest tedy pasożytem na ciele ludzkości, wysysającym jej soki żywotne, nie przykładając się w zamian za to niczem do przyspożenia jej zasobów.

Z powyższego okazuje się, że w każdym epikurejczyku, postępującym konsekwentnie według swych zasad, ujawniają się dwie wady organiczne pod względem umysłowym, wynikające z braku rozwoju i kultury odnośnych czynników psychicznych.

Pierwsza wada wypływa z braku rozwoju i kultury uczuć sympatycznych.

Współczucie jest jednym z najszlachetniejszych objawów duszy. Rozwinięte w sposób należyty, staje się łącznikiem moralnym między jednostką i otoczeniem, a przez to bogaci umysł całym szeregiem wzruszeń, stosownie do stanu, w jakim się to otoczenie znajduje. Epikurejczyk zaś przytłumia w sobie najpierwotniejsze nawet zarodki współczucia, zamiast je rozwijać i pielęgnować. Wskutek tego ogranicza swe życie umysłowe głównie poczuciem samego siebie i myślą o sobie. Nic nie porusza głębiej jego stwardniałego serca; nic go nie wyprowadza z sobokostwa w szerszy świat, nie robi z niego uczestnika doli i niedoli innych. Zakres jego zajęć staje się coraz mniejszym i ogranicza się w końcu tylko kalkulacjami osobistymi. Zamiast tedy postępowego rozwoju uczucia przy pomocy poruszeń sympatycznych, widzimy w nim coraz większy zanik tego rodzaju poruszeń, a wskutek tego przerywa się też coraz więcej jego związek moralny z otoczeniem.

Drugą wadą, łączącą się z powyższym zanikiem uczuć sympatycznych, jest osłabienie zmysłu dla rzeczowego rozpatrywania jakiegokolwiek sprawy, dla przedmiotowej rozwagi. Będąc zajęty

tylko sobą, zadowoleniem swoich rozlicznych pragnień i zachcianek, epikurejczyk wdraża się stopniowo do bezwzględnego subiektywizmu i w końcu traci zupełnie zdolność traktowania jakiegokolwiek przedmiotu niezależnie od swych spraw osobistych, z obiektywnego punktu widzenia. Dzięki temu i myślenie jego staje się jednostronnem, połowicznem, nie wnika w rzecz samą w sobie, co wymaga natężonej uwagi oraz oderwania się od samego siebie, lecz przesuwają się tylko po powierzchni przedmiotów, a ocenia je jedynie w związku ze swymi rachubami osobistymi.

Z tego wynika, że miłość prawdy dla prawdy jest mu zupełnie obcą. Ponieważ zaś wszelkie badanie prawdy, wszelki postęp nauki, zależy od wyrobienia przedmiotowych czynników myśli ludzkiej, właśnie od miłości prawdy dla prawdy, przeto epikurejczyk nie zdobywa się na poważną pracę w tym kierunku, lecz zadawała się zazwyczaj lekkim deklamatorstwem nad najpoważniejszymi kwestyami i to zazwyczaj z tendencją dogodzenia swym osobistym zachciankom.

Wada ta występuje też na jaw jaknajwyraźniej w naturalistycznym poglądzie na świat epikureizmu. Ciasnota tego poglądu pozostaje w ścisłym związku z brakiem prawidłowego rozwoju dodatnich czynników życia umysłowego. Wskutek jednostronnego wywyższenia nad miarę własnego jednostkowego bytu, nie dziw, że dla epikureizmu niema w całym świecie nic wyższego nad ten byt jednostkowy. On tylko posiada świadomość i rozum, przejmując się swymi stanami, pozostały zaś świat jest głuchy i niemy, sprowadza się jedynie do gry ciemnych sił fizycznych, stanowiących jego istotę, a działających naturalnie bez rozumu i celu.

Zależności swojej od jakiegokolwiek wyższego duchowego pierwiastku wszechbytu, oraz związku z nim, epikurejczyk nie uznaje, bo to sprzeciwiałoby się jego sobkostwu, nakładałoby na niego obowiązek stosowania się do porządku rzeczy, od niego niezależnego, a więc ograniczenia swej dążności dogadzania wyłącznie samemu sobie. Jego ciasny indywidualizm nie może się wznieść na stanowisko ogólniejsze, uniwersalne, uznające ducha powszechnego, jako źródła bytu jednostek, jako czynnika, żyjącego w nich i domagającego się ich zjednoczenia z celami wszechświatowemi, przekraczającymi nieskończenie szczyły zakres indywidualnych potrzeb i dążności. To wszystko są wymagania, nie licujące z egoistycznym nastrojem epikurejczyka. Więc woli temu wszystkiemu zaprzeczyć, albo przynajmniej wszystkie te „trudne,” „metafizyczne” kwestye pozostawić w zawieszeniu i postępować w życiu tak, jakgdyby on był najwyższym czynnikiem

bytu, bez żadnych obowiązków dla kogokolwiek, prócz dla samego siebie.

Pod względem etycznym, taki nastrój epikurejski jest również objawem wstecznym. Zamiast głębszego uświadomienia sobie norm postępowania, co jest wynikiem prawidłowego rozwoju kultury etycznej, epikurejczyk dochodzi konsekwentnie do zaprzeczenia wszelkich norm, domagających się w czemkolwiek ograniczenia jego osobistego zadowolenia na korzyść celów ogólniejszych. Stosuje się on do zwyczajów rodzinnych i towarzyskich, uwzględnia wymagania społeczne, podlega prawom obowiązującym, nie z poszanowania dla nich, z powodu ich istotnej wartości, lecz wyłącznie dla tego, że odstępstwo od nich pociągałoby dla niego złe skutki. To nie są tedy dla niego normy, do których stosować się winien dla ich doniosłości etycznej, lecz tylko konieczne ograniczenia jego swobody, którym nolens volens poddać się musi, jak to czynić musi również i odnośnie do porządku fizycznego świata. Właściwą zaś normę, regulującą jego postępowanie, uznaje wyłącznie w dogadzaniu samemu sobie i w posiłkowaniu się całym swem otoczeniem, jako środkiem do osiągnięcia tego celu. Norma etyczna sprowadza się tu do minimum, a więc też z tego stanowiska mowy być nie może o dalszym postępowym rozwoju etycznym.

Jakże odmiennie przedstawia się altruizm pod wszystkimi powyższymi względami!...

Zaznaczono już powyżej, że altruizm, jako zasada postępowania etycznego, jest objawem rozwoju uczuć sympatycznych, będących główną podstawą moralnej łączności jednostki z jej otoczeniem. A choć całej etyki ze stanowiska psychologicznego oprzec niepodobna wyłącznie na tych uczuciach, jak to czynił *Adam Smith* w swej „Teoryi uczuć moralnych,” 1759, gdyż niezależnie od osobistej sympatyi uznanie obowiązujących norm działania jest niezbędnym warunkiem nastroju etycznego—co w sposób niezbity dowiódł *Kant* w swej „Krytyce rozumu praktycznego,” 1788—to jednak nie ulega wątpliwości, że rozwój uczuć sympatycznych jest jednym z najpotężniejszych współczynników kultury etycznej.

Rygor prawa moralnego, podobnie jak i praw logicznych, ma charakter obiektywny, narówni z prawami przyrody, gdyż tkwi w samej organizacji psychicznej człowieka, a więc nie zależy od sympatyi lub antypatyi jednostki. Wymagania jego atoli tracą na swej surowości i urzeczywistniają się w sposób etyczny, gdy jednostka przeniknięta jest duchem sympatyi dla przedmiotu

działania i wykonywa ochoczo, z własnego popędu, owe wymagania prawa moralnego. To też bliższe wniknięcie w istotę uczuć sympatycznych, a więc i altruizmu, w przeciwstawieniu do egoistycznego epikureizmu, stanowi jedno z najważniejszych zadań etyki naukowej. Dotkniemy tego zadania tutaj w najogólniejszych zarysach.

Psychologia zajmuje się w nowszych czasach nie mało uczuciami sympatycznymi; pomimo to nie doszła do ostatecznych wyników, określających ściśle istotę tych uczuć. Sądzę, że punktem wyjścia w tym względzie powinna być analiza najprostszych objawów, jakie napotykamy w stosunkach małżeńskich i rodzinnych.

Miłość wzajemna mężczyzny i kobiety jest wprawdzie pierwotkowo popędem fizyologicznym, wspólnym człowiekowi i zwierzętom. Ale popęd ten jest właśnie sam przez się wyrazem braku zadowolenia każdej strony z samej siebie i szukania dopełnienia w obopólnym zjednoczeniu. Tu już tedy czynnik jednostkowy, egoistyczny ustępuje bezpośrednio pierwszeństwa czynnikowi altruistycznemu, a to służy za punkt wyjścia do dalszego rozwoju tego ostatniego, a nawet często do jego zupełnego zapanowania nad egoizmem. Dla tego też miłość małżeńska, wraz z rozwojem psychicznym, przybiera w człowieku odcień idealny i staje się często oddaniem się jednej strony na korzyść drugiej, dla niej samej, bez wszelkiej egoistycznej rachuby, z ponoszeniem często bardzo dotkliwych ofiar z osobistego dobrobytu, z życia nawet.

Toż samo widzimy i w miłości macierzyńskiej. Fizyologicznie tkwi ona niewątpliwie w zupełnym zjednoczeniu matki z dzieckiem przed jego wydaniem na świat. Przywykły do tego zjednoczenia, matka i po narodzinach dziecka nie odrywa się od niego, nie przeciwstawia się jemu, lecz odczuwa bezpośrednio swoją łączność z niem; żyje nie dla siebie, ale dla niego. Też same czynniki działają i odnośnie do stosunku dziecka do matki. Jego przyleganie do niej, a następnie przywiązanie jest również wynikiem pierwotnego, życiowego zjednoczenia dziecka z matką. W tym wypadku, jak i w poprzednich, dążność altruistyczna wytwarza nowe ukształtowanie się stosunków etycznych, jakim jest *rodzina*.

Już z tych kilku przykładów okazuje się, że altruizm polega zasadniczo najprzód na poczuciu pewnych niedostatków odosobnionego, jednostkowego bytu, jako cząstki szerszej całości, nie całości w sobie, a następnie na szukaniu odpowiedniego dopełnienia w otoczeniu i oddaniu się jemu dla niego samego bez rachuby

samolubnej, w celu brania udziału w życiu i rozwoju szerszej, doskonalszej całości.

Jasną jest rzeczą, że te czynniki altruizmu bogacą umysł całym szeregiem nowych motywów i rozszerzają coraz bardziej zakres działania osobnika po za jego byt jednostkowy. Ujawnia się tedy tutaj źródło odśrodkowego postępu w nieskończoność. Najrozlicniejsze przedmioty, treścią swoją, same przez się, budzą w tym kierunku zajęcie osobnika i rozwijają coraz bardziej zdolność jego do wyrzeczenia się siebie dla tych przedmiotów, uznania ich wyższości, oddania się im na usługi i przyczynienia się przez to do dobra szerszych zakresów otoczenia.

Prócz rodziny zawdzięczają tym czynnikom altruistycznym swe istnienie i coraz pełniejszy rozwój najrozlicniejsze formacje towarzyskie, społeczne, państwowe, ogólnie ludzkie, humanitarne. I religia, uznanie i oddanie się Istocie Najwyższej, wypływa z tego źródła. Żywotność wszystkich tych objawów opiera się nie na rachubach egoistycznych, ani na „umowach,“ ani na gwałcie lub bojaźni, lecz na owych dążnościach altruistycznych, dzięki którym osobnik oddaje się bezinteresownie ogólniejszym, wyższym formom życia, jako cząstka większej całości, jako członek pełniejszego ustroju.

Ze tak jest istotnie, że tylko technienie prawdziwego, szczerogo altruizmu podtrzymuje i rozwija owe wyższe objawy, a dążności egoistyczne, jednostkowe pociągają za sobą ich rozstrój, upadek—o tem, niestety, świadczy w sposób przerażający przeżywany przez nas straszny stan anarchii, w którym jednostkowa samowola wyrzeka się wszelkich szlachetniejszych poruszeń altruistycznych, a ma na oku wyłącznie samą siebie.

A gdy z drugiej strony widzimy, że tylko chętne i zarazem ofiarne zrzeszenie się jednostek w imię wyższych zadań, przeciwdziała skutecznie takiemu rozstrojowi i zaszczenia w społeczeństwie nowe życie — natenczas wątpić nie można o twórczej sile altruizmu w przeciwstawieniu do destrukcyjnych czynników egoizmu. Smutne przejścia chwili obecnej i oparte na nich doświadczenie powinnyby raz przecie przekonać o tem zwolenników doktryn egoistycznych. Ale, niestety, przejmując się swemi teoriami, przesadnym indywidualizmem, egoiści nie chcą zrozumieć, że systemat kopernikański ma swe zastosowanie i w etyce, że świat nie obraca się około człowieka, że jednostka nie jest punktem środkowym ruchu powszechnego, lecz przeciwnie, że człowiek, jednostka ciąży ku wyższemu światu i w ruchu około niego spełniają swe przeznaczenie.

Wspólnie z odśrodkowym kierunkiem dążności altruistycznych rozwija się w umyśle ludzkim i zmysł przedmiotowy, ograniczający nadmierny rozwój subiektywizmu. W miejsce poglądu wyłącznie podmiotowego na sprawy ludzkie i świat wogóle, ustala się w osobniku coraz bardziej obiektywny punkt widzenia, wyzwalający się z drobnostkowych względów indywidualnych, a mający na oku, wedle możliwości, rzecz samą w sobie, niezależnie od tendencji, upodobań i niechęci osobistych. Piękno dla piękna (sztuka dla sztuki), prawda dla prawdy (nauka dla nauki), dobro dla dobra (cnota dla cnoty)—oto wyniki nastroju altruistycznego, w którym osobnik zużytkowyywa swe siły i zdolności, jako środki dla urzeczywistnienia celów, uznanych za bardziej wartościowe, niż przyjemności bytu indywidualnego.

Na tem stanowisku jednostka poczuwa się jako przynależna do wyższego świata ducha i z własnego popędu, bez zewnętrznego nacisku, często wśród trudnych lub niebezpiecznych warunków, z narażeniem swego dobrobytu, życia nawet, wyrzeka się osobistych celów, aby wedle możliwości swojej przyczynić się do urzeczywistnienia najwyższych ideałów doskonałości. A chociaż pełne ich osiągnięcie wśród danych warunków życia jest niewątpliwie utopią, to jednak praca w tym kierunku podnosi ducha ludzkiego na coraz wyższy szczebel rozwoju i daje rękojmię dalszego, nieskończonego postępu.

W ten sposób dążności altruistyczne łączą się ściśle z szerokim poglądem na świat, jako ustroju, w którym osobnik jednostkowy stanowi cząstkę składową, organ, żyjący życiem całości, przeniknięty jej duchem i pełniący w niej pewne funkcje dla dobra ustroju powszechnego. W tym też związku z całością tkwią zasadnicze normy postępowania osobnika, normy etyczne, do których zastosować się musi, jeżeli chce stanąć na wysokości swych zadań życiowych i urzeczywistnić cel swego istnienia.

Z powyższych danych okazuje się, że altruizm zawiera w sobie daleko więcej zasobów żywotnych, niż egoizm; że kierunek odśrodkowy postępowania, dążący do celów, leżących poza bytem jednostkowym, ma przed sobą daleko szersze pole działania, daleko bogatszą w czynniki etyczne przyszłość, niż egoistyczny kierunek dośrodkowy, choćby nawet urozmaicony najwytworniejszym epikureizmem. Altruizm, jak słońce, promienieje na wszystkie strony w nieskończoność, przed nim stoi otworem świat cały; w najdalsze i najciemniejsze jego zakątki wnosi on światło, ciepło i życie. Egoizm, natomiast, jako zwrot osobnika ku samemu sobie, kurczy i ścieśnia coraz bardziej pole działania człowieka;

nikomu niczem nie służy, pozostawia w ciemności i zimnie swe otoczenie. Pod jego wpływem marnieją bezpłodnie największe zdolności jednostkowego bytu, bo ześrodkowując swą działalność w kierunku zwrotnym, czysto subiektywnym, słabną w monotonii tego kierunku.

Tak tedy porównawcza ocena owych dwóch przeciwnych kierunków postępowania ludzkiego, wypada stanowczo na korzyść altruizmu. Na podstawie tej oceny nie można wprawdzie potępić bezwzględnie dążności, mających na celu samozachowanie oraz dobro, zadowolenie osobnika działającego. Zwolennicy teorii egoistycznych, jak np. *Herbert Spencer* („Zasady etyki,“ przekład polski, 1884), wykazali jasno, nawet do przesady, doniosłość egoizmu, jako czynnika przyczyniającego się do wszechstronnego rozwoju jednostki ludzkiej, jako jednostki. Ma też słuszność ten myśliciel, gdy mówi, że „troskliwość o samego siebie, powodująca zdrowie i wesoły nastrój umysłu, jest dobrodziejstwem dla drugich, gdyż szczęście i smutek są zaraźliwe.“ Ale zasadnicza kwestya etyczna w tej sprawie nie polega na wykazaniu doniosłości życiowej jednego i drugiego z powyższych kierunków postępowania, w ich odosobnieniu od siebie, lecz na tem, który z tych kierunków ma mieć przewagę w postępowaniu, t. j. jakim duchem człowiek przejąc się winien w swej działalności? czy altruizm, czy też egoizm i epikureizm mają być jego przewodnikami na drodze życia?

Rozwiązanie tej kwestyi na korzyść altruizmu, jako czynnika, będącego z jednej strony wytworem wyższej kultury etycznej, a zawierającego z drugiej strony daleko bogatsze zasoby rozwoju na przyszłość, nie pociąga za sobą bynajmniej wymagania, aby osobnik przejmował się ascetyzmem i wyrzekał się wszelkiej dbałości o zaspokojenie swych potrzeb i osiągnięcie możliwie pełnego zadowolenia ze swego życia i działania. Tu idzie o nastrój zasadniczy, który przeniknąć winien nawet tego rodzaju dążności; idzie o to, czy ze stanowiska etycznego mogą one być uznane za górujące i ostateczne, czy też żądać należy, aby się podporządkowały pod wyższe dążności altruizmu i w ich duchu rozwijały własne swe zasoby?

Tu właśnie dochodzimy do określenia wzajemnego do siebie stosunku owych dwóch przeciwnych kierunków postępowania ze zaznaczonego już powyżej stanowiska *organicznego*. Osobnik jest organem, narządem w ustroju otoczenia, członkiem jego. Ażeby mógł spełnić swe funkcyje w sposób należyty, musi się rozwinąć wszechstronnie i ześrodkować w sobie odpowiedni zasób sił fizy-

cznych i moralnych. Cel zaś ten osiągnąć może tylko dbałością o zachowanie życia i jego prawidłowy rozwój, oraz o zaspokojenie swych rozlicznych potrzeb, zarówno fizycznych, jak moralnych. Ma tedy każdy osobnik i pewne obowiązki względem samego siebie, które sumiennie spełniać winien.

Będąc atoli tylko narządem szerszego ustroju, a nie samoistnym pełnym ustrojem, osobnik nie może i nie powinien mieć na myśli zaspokojenia swych potrzeb, jako jedynego i najwyższego celu swej działalności. Wartość i znaczenie organu polega na funkcji, jaką spełnia w organizmie, więc też zaspokojenie potrzeb osobnika służyć winno tylko za środek, podniecający jego żywotność, dodający mu sił i świeżości do wykonania czynności, jakie wynikają z jego cząstkowego stanowiska w ustroju otoczenia, jako całości.

Nad wszelkimi tedy dążnościami jednostkowemi, nad zadowoleniem i przyjemnościami osobnika, górować winna w nastroju jego dbałość o dobro wyższe, ogólniejsze, owej całości, w której skład wchodzi. Tylko ta dbałość stanowi o jego istotnej wartości w ustroju czy to rodziny, czy społeczeństwa, narodu, państwa, ludzkości, wreszcie bytu w ogóle; tylko ochocze i prawidłowe spełnianie ciężących na nim czynności w tym ustroju, a więc *obowiązków*, nadaje jego działaniu charakter etyczny i wynosi go wysoko ponad marność bytu jednostkowego, jako oderwanego od szerszej całości.

Organ sam w sobie wzięty nie ma racji bytu; tylko w ustroju organicznym nabiera odpowiedniego znaczenia. Podobnie i jednostka, żyjąca tylko w sobie i dla siebie, nie posiada rzetelnej wartości, jest nikłą cząsteczką, pyłkiem, rozdmuchiwanym na wszystkie strony przez huragan czasu, bo nie ma oparcia o byt stały, niezmienny w swej istocie, postępujący naprzód ku celom życia powszechnego. Tylko, wdrażając się w służbę tych celów powszechnych, jednostka wrasta w ustrój swego otoczenia, bytu w ogóle, staje się jego członkiem, a przez to przyswaja sobie czynniki jego nieskończonego rozwoju, bierze udział w tym rozwoju i spełnia przez to swe właściwe przeznaczenie.

W miarę coraz ściślejszego zjednoczenia się z ustrojem powszechnym i coraz sprawniejszej działalności na korzyść jego postępu, jednostka dosięga zarazem i coraz większego zadowolenia z siebie, coraz pełniejszej szczęśliwości. Ale taki wynik jej altruizmu nie jest bynajmniej objawem przez nią przewidywanym i nie dla niego poświęca się ona dobru powszechnemu. Ona czyni co do niej należy, spełnia swą funkcję bezinteresownie, bez

względu na swój własny dobrobyt, w przeświadczeniu, że służba około szerszych zakresów bytu jest obowiązkiem, wpływającym z jej istnienia, z jej sił żywotnych i zdolności. Jedyne dzięki porządkowi moralnemu świata, działalność w tym kierunku pociąga za sobą ostatecznie dla jednostki działającej zadowolenie wewnętrzne, z góry jednak przez nią nie zamierzone, lecz wynikające z poczucia coraz ściślejszej łączności z szerszemi kręgami bytu, wreszcie z samą jego Istotą. To poczucie przynależenia do większej całości, do ustroju o niewyczerpanych siłach żywotnych podnosi osobnika, odnawia ciągle zasoby jego indywidualnego bytu i dodaje odwagi do coraz większego poświęcenia rachub egoistycznych na korzyść dobra innych, powszechnego. Przeciwstawia się to poczuciu nędzy moralnej i przesytu, jakie z natury rzeczy jest udziałem egoisty, nawet przy największej wybredności epikurejskiej.

Wiadomo, że teorie egoistyczne usiłują wyprowadzić i najwyższe objawy altruistycznego poświęcenia z czynników samolubstwa, a mianowicie z zadowolenia, jakie działającemu sprawiają takie czyny poświęcenia. Więc dowodzą, że mając na oku to własne zadowolenie, altruista oddaje się przedmiotowi swej miłości, pieści go, pracuje dla niego, przynosi mu nawet, w razie potrzeby, w ofierze życie swoje.

Wszelkie atoli tego rodzaju wywody altruizmu z czynników egoistycznych polegają na pomieszaniu właściwych motywów altruistycznego działania z jego wynikami, jego przyczyn ze skutkami.

Osiągnięcie celu jakiegokolwiek czynu pociąga za sobą z natury rzeczy uczucie zadowolenia bez względu na motywa czynu. Bandyta czuje zadowolenie, gdy uchodzi bezkarnie ze zdobyczą swoją, ale motywem jego czynu nie było osiągnięcie tego zadowolenia, lecz osiągnięcie samej zdobyczy, naturalnie, o ile można, bez wszelkiego dla siebie niebezpieczeństwa. W podobny sposób i czyn poświęcenia, gdy cel swój osiąga, ma za skutek uczucie zadowolenia. Czyż ratujący tonącego nie ma być zadowolonym, gdy mu się uda wyrwać wodzie ofiarę? Czyż koniecznie musi czuć niezadowolenie z powodu swego czynu, aby egoista nie pisał go, iż zaryzykował życie swoje dla uratowania życia bliźniego, nie z miłości ku niemu, lecz jedynie dla tego, że mu czyn taki przyjemność sprawia? Przecież jasną jest rzeczą, że nie miał nawet czasu na tego rodzaju kalkulacje; to też one nie mogły być wcale przedwstępnym motywem jego czynu. Widział, że człowiek tonie i wskoczył do wody, mając na myśli jego uratowanie i nic zgoła innego. Udało mu się cel osiągnąć, więc się

naturalnie z tego raduje, ale nie w przewidywaniu tej radości wskoczył do wody.

Nie mogąc, wobec takich objawów, zaprzeczyć faktyczności bezinteresownego czynu altruistycznego, teorie egoistyczne usiłują takowy wyprowadzić z czynników samolubnych przy pomocy przystosowania się do warunków bytu, nawyknięcia, dziedziczności i innych współczynników rozwoju. Dziś, mówią, człowiek etycznie wychowany uznaje swoją łączność z innymi osobami oraz przynależność do szerszego ogółu i poświęca się im często bez rachuby egoistycznej. Ale stało się to możliwem tylko wskutek kultury społecznej, która rozszerzyła widnokrąg umysłowy osobnika i wpoila w niego przekonanie, że dobro innych i ogółu jest warunkiem jego własnego dobra. Więc według tego altruizm w gruncie rzeczy nie może się wyrzec swej genezy egoistycznej; sprowadza się on z tego stanowiska do tak zwanej „kooperacji egoizmów.“

W tym duchu mówi Spencer (l. c.): „Dla osiągnięcia największej sumy szczęścia, każdy powinien być więcej egoistą niż altruistą.“ Ale z biegiem rozwoju społecznego, altruizm staje się „rozkoszą współzuciową, która doświadczonego jej nie kosztuje, a jest bezpłatnym dodatkiem do jego przyjemności egoistycznych“... „Dopóki przewyższają cierpienia, mówi dalej, dopóty nie jest rzeczą pożądaną, aby każdy człowiek gorący brał udział w świadomości innych; lecz ze wzrostem przewagi przyjemności, uczestniczenie w świadomości bliźnich stanie się zyskiem rozkoszy dla wszystkich.“

Nie trudno spostrzedz, że taki *epikurejski* altruizm, dążący do powiększenia własnej przyjemności przejęciem się przyjemnościami innych, jest w gruncie rzeczy najprostszym egoizmem i nie daje się urzeczywistnić na tym „padole płaczu,“ gdyż pomimo najświetniejszego postępu stosunków społecznych, zawsze cierpienia różnego rodzaju i śmierć, ze swemi smutnymi skutkami istnieć będą na ziemi. Nadto, skoro nie jest „rzeczą pożądaną“ brać udział w *cierpieniach* bliźnich, natenczas byłoby logiczniej nie mówić wcale o altruizmie, aniżeli odraczać jego działalność aż do owego nieprawdopodobnego czasu, gdy rozkosz powszechna zapana na ziemi.

Wreszcie, taki egoistyczny charakter altruizmu nie daje się wcale pogodzić z jego pierwotną samoistną naturą, różną zasadniczo od egoizmu. Sam Spencer wyznaje, że „własna ofiara nie mniej jest pierwotną od samozachowania.“ Więc jest rzeczą naturalną, że altruizm rozwija się wraz z kulturą etyczną, że tak powiem, z własnych zasobów, a nie w zależności od czynników egoizmu.

Można i należy uznać, że w człowieku obok altruizmu ujawnia się i egoizm; można nawet zaznaczyć, że dotąd dążności egoistyczne przeważają faktycznie u większości ludzi; ale pomimo to nie ma żadnych danych do wyprowadzenia altruizmu z motywów egoistycznych. Z egoizmu może się wskutek rozwoju wywiązać tylko coraz bardziej wyrafinowany egoizm, jak o tem świadczy epikureizm. Ale z niego nigdy powstać nie może altruizm, jako kierunek postępowania o motywach i dążnościach wprost przeciwnych. Egoizm jest kierunkiem psychicznym dośrodkowym; altruizm—odśrodkowym; niepodobna ich tedy sprowadzić do wspólnego mianownika. Tylko ciasny sposób myślenia egoisty podkłada altruizmowi swoje małostkowe motywy, bo nie może się przejąć jego nastrojem, ani wnieść na stanowisko, uznające zasadniczy związek jednostkowego bytu ze swem otoczeniem, ze światem w ogóle, jako wielkim ustrojem wszechbytu.

HENRYK STRUVE.

POBYT KOŚCIUSZKI i NIEMCEWICZA

w Ameryce ¹⁾

(w latach 1797 i 1798).

Poszukiwania w zbiorach rękopisów w Stanach Zjednoczonych dostarczyły mi szeregu dat, dotyczących powtórnej podróży Kościuszki do Ameryki, odbytej w towarzystwie Niemcewicza, po uwolnieniu obu z więzień petersburskich. Daty te, chociaż ściśle i niewątpliwej autentyczności, dawały tylko wytyczne punkta do zobrazowania usposobienia Kościuszki, jego zamiarów, przyjęcia, jakiego doznał od ludzi rozmaitych stronnictw, i wrażenia, jakie wywierał.

Obecność przy nim tak pilnego pamiętnikarza, jakim był Niemcewicz, stanowiłaby wyjątkowo pożądaną dla biografy Kościuszki okoliczność, gdyby nie smutne oświadczenie samego Niemcewicza, że obszernie notatki do pamiętnika, spisywane przez niego podczas podróży morskiej i pobytu w Ameryce, oddane komuś na przechowanie, zginęły bezpowrotnie ²⁾.

Jakaż była radość piszącego, gdy nie zrażony tem oświadczeniem, po długich poszukiwaniach, w rozmaitych księgozbiorach krajowych i zagranicznych, natrafił nareszcie w jednej z bibliotek na rękopis, który, mylnie zaetykietowany w katalogu, okazał się właśnie owemi opłakanemi przez Niemcewicza notatkami

¹⁾ Z niewydanych dokumentów.

²⁾ Podróż przez Szwecję i pobyt w Anglii są, jak wiadomo, wydrukowane. Również i druga podróż po Ameryce, w latach 1807—8, odbyta przez samego Niemcewicza.

z pierwszej podróży po Ameryce. Niestety, brakowało w nim pierwszego zeszytu, obejmującego podróż morską, a paroletnie poszukiwania jego dotąd nie odniosły skutku. Mamy więc tu lukę pomiędzy „Podróżą do Szwecyi i Anglii“ a pobytem w Filadelfii (w kilka dni po przyjeździe), od którego zaczyna się znaleziony rękopis. Lukę tę częściowo zapełniamy z innych źródeł; również i opowieść Niemcewicza uzupełniamy niektórymi ze znalezionych w Ameryce dokumentów.

Z obszernego pamiętnika Niemcewicza (pisanego w przeważnej części po francuzku, gdzieniegdzie tylko pod koniec zwracającego się ku polszczyźnie) dajemy zaledwie szereg wyciągów i to z pierwszej jego części, obejmującej wspólny pobyt z Kościuszką, a zamykamy ustępy te wyjazdem Kościuszki. To, co zostaje jeszcze, stanowi materiał pośrednio tylko interesujący biografę Kościuszki (jako obraz miejsc, gdzie był czynnym i portrety ludzi, z którymi miał do czynienia), lecz bardzo jeszcze ciekawy tak dla życiopisu Niemcewicza, jako też i ze względu na zawarty w nim obraz rodzącego się nowego państwa i narodu, tak dziś wybitne stanowisko zajmującego w cywilizacyi Zachodu. Mamy nadzieję wydać w swoim czasie cały ten pamiętnik, a może, jeśli los przyjazny pozwoli, z odnalezionym pierwszym zeszytem.

Niemcewicz nie był ani głębokim myślicielem, ani w ogóle człowiekiem zdolnym do zrozumienia psychologii takiej duszy, jak kościuszkowska. To też wiadomości, bezpośrednio dotyczące Naczelnika, są nad wyraz szczupłe, jak na człowieka, który nieodstępował go niemal na chwilę. Znajomość charakteru Kościuszki pozwala domyślać się, że, prócz rosnącego odosobnienia między nim a Niemcewiczem, przyczyną tej powściągliwości mógł być formalny zakaz wznianek o nim, wydany przez Naczelnika, zakaz wytłomaczony ujawnioną wielokrotnie podejrzliwością ówczesnego rządu amerykańskiego względem ludzi demokratycznych przekonań¹⁾. Natomiast, jako obserwator chciwy nowych wrażeń i skrupulatnie, niemal drobiazgowo je notujący, daje Niemcewicz bogate

¹⁾ W *Życiu Jeffersona* przez Randall'a czytamy: „On (Kościuszko) dzielnie służył Stanom Zjednoczonym podczas ich walki rewolucyjnej a doznał gorącego uznania ze strony Waszyngtona; lecz nie zabezpieczyło to go od obrażających napaści ze strony przeciwników republikanizmu, a zwłaszcza zgnióstego (foul-mouthed) Cobbeta. Sądono nawet, że był jednym z tych, przeciw którym skierowane było „prawo o cudzoziemcach.“ (Randall. *Life of Jefferson*, 1858. T. III, str. 445).

tło, na którym biograf-psycholog może już rozwijać uczucia i myśli, z jakimi przyjmować mógł Kościuszko wrażenia, odbijające się w duszy Niemcewicza, jak w płytkiej i gładkiej szybie wodnej; kreśli miejsca, ludzi i drobne wypadki, wśród których wypadło żyć obu, a między owymi ludźmi byli i tacy, z którymi blisko i długo żył Kościuszko w czasie swej służby amerykańskiej. Dlatego też nie wahamy się zaliczyć świeżo odkrytych pamiątek Niemcewicza do najciekawszych z tych, jakie po sobie zostawił.

*

*

*

Nie mamy — jak rzekliśmy — szczegółów, dotyczących podróży morskiej. Zastąpić je winniśmy kilku listami, zaznaczającymi pożegnanie z Anglią i polecenia do Ameryki.

Posłem amerykańskim w Londynie był wówczas Rufus King; o jego życzliwym udziale w ułatwieniu wyjazdu Kościuszki do Ameryki świadczą dwa następujące listy Kościuszki: jeden urzędowy, pisany po francusku w Londynie, do osoby posła, drugi przyjacielski, po angielsku, do Kinga, jako dobrego znajomego, datowany z Bristolu, które niżej przytaczamy:

KOŚCIUSZKO DO R. KINGA.

„Le Général Kosciuszko a l'honneur de remercier Son Excellence Monsieur l'Envoyé des États Unis de l'Amérique de toutes les peines qu'il a eu la bonté de se donner pour lui procurer un bâtiment faisant voile pour l'Amérique. Son ami, M. Niemcewicz, aura l'honneur de faire sa cour à Son Excellence demain vers le midi; il sera l'interprète des sentiments de reconnaissance et de vénération que le Général Kosciuszko lui a voués pour la vie.“

*Le 3 juin 1797.*¹⁾

¹⁾ General Kościuszko ma zaszczyt dziękować Jego Ekscelencyi p. Posłowi Stanów Zjednoczonych Ameryki za wszystkie trudy, które łaskawie podjął dla dostarczenia mu statku, płynącego do Ameryki. Przyjaciel jego,

KOŚCIUSZKO DO R. KINGA.

Bristol, 16 czerwca 1797.

„Panie!

Z wielkiem zadowoleniem odpowiadam na ostatni list pański, będąc w stanie przy tej sposobności wyrazić gorące podziękowania za wszystkie kłopoty, które przedsięwziąłeś podczas mego pobytu w Londynie. Twoje wspaniałomyślne serce nie zakresliło sobie granic i nie przestałeś się opiekować mną w Bristolu i w Ameryce¹⁾. Zostaję więc jak najserdeczniej Ci obowiązany, a to tem bardziej, iż na to nie zasłużyłem. Bądź przekonany o mej wiecznie trwałej wdzięczności dla Ciebie i o zaszczycie, do jakiego będę się zawsze poczuwał, kreśląc się z wielkim szacunkiem i przywiązaniem Twym powolnym sługą.“

T. Kościuszko.

„P. S. Byłem specjalnie proszony przez p. Van der Horst, konsula amerykańskiego i jego uprzejmą rodzinę, abym przyjął mieszkanie w ich domu, gdzie traktowano mię czulej, niż gdybym był członkiem ich rodziny. Nie możesz, Panie, wyobrazić sobie, jaką troskliwość i przyjacielską staranność okazywano mi. Martwi mię bardzo, iż nie jestem w stanie wykazać im stopnia wdzięczności, odpowiadającego moim uczuciom z tego powodu i dorównywającego ich czułości dla mnie. Bądź tak łaskaw podziękować im za mnie.

Będę miał zaszczyt pisać do Ciebie z Filadelfii, dokąd udaję się z kapitanem Lee, ze względu na to, że statek jego jest dogodniejszy dla człowieka w mojem położeniu²⁾. Pójdę za Twą radą i będę czynił wszystko, cokolwiek mi nakazesz.

Przyjmij jeszcze raz moje szczere i pełne szacunku dzięki³⁾.

p. Niemcewicz, będzie miał zaszczyt złożyć szacunek Jego Ekscelencyi jutro około południa; będzie on tłumaczem uczuć wdzięczności i czci, które General Kościuszko żywić dla niego nie przestanie przez całe życie.

3 czerwca 1797.

¹⁾ Posyłając mu listy polecające do osób, o których niżej będzie mowa.

²⁾ Nie potrzebujemy przypominać czytelnikom, że wskutek ciężkich i niezaleczonych ran z pod Maciejowie, Kościuszko nie mógł wcale chodzić.

³⁾ *Life and Correspondence of Rufus King* by Charles King. N. York. 1895. T. III, str. 188—189.

List ten był odpowiedzią na przesłany przez Kinga list polecający do Jana Jay'a, gubernatora w Nowym Yorku. List ten znaleźliśmy w innym zbiorze korespondencyj. Brzmi on tak:

RUFUS KING DO J. JAY'A.

Londyn, 10 czerwca 1797.

„Drogi Panie!

Mam zaszczyt przedstawić Ci Generała Kościuszkę. Spędzi on pewien czas w N. Yorku, a mając wszelkie tytuły do szacunku i poważania, doświadczy, nie wątpię o tem, wszelkich objawów życzliwości i troskliwości, jakie tylko mogą mu być okazane.

Generałowi towarzyszą dwaj jego współrodacy i przyjaciele z których jeden, p. Julian Niemcewicz, jest prawdopodobnie jego krewnym. Pozwalam sobie polecić jego i ich Twemu szacunkowi i Twej przyjaźni, oraz pozostają z zupełnym szacunkiem,

Drogi Panie,

Twym powolnym i wiernym sługą,

*Rufus King*¹⁾.

O entuzjazmie, z jakim przyjmował Kościuszkę lud amerykański, świadczy następująca krótka relacya, którą znaleźliśmy w rzadkich bardzo egzemplarzach dzienników ówczesnych.

„Następującą ważną wiadomość przedrukujemy z dziennika filadelfijskiego pod datą 19 b. m.:

„Na statku Adriana, pod kapitanem Lee, przybyłym tu wczoraj z Bristolu, przyjechał jako pasażer ów słynny Obrońca Praw Ludzkości, odważny lecz nieszczęśliwy Kościuszek, Generał polski, w towarzystwie dwóch polskich panów (gentlemen). Gdy statek przybił do portu, dowódca garnizonu, będąc poinformowany, że generał-weteran znajduje się na nim, powitał go salwą federalną²⁾; gdy zaś spuszczone kotwice, dowódca fregaty spuścił szalupę, kierowaną przez 8 dowódców statków i podjechał, aby przyjąć generała i odwiedzić go na ląd. Przy wylądowaniu powitano go potrójnym wiwatem a składając dalsze dowody szacunku po-

¹⁾ *The correspondance and Public Papers of John Jay.* Putnam and Sons N. York, 1893. T. IV.

²⁾ T. j. tyle strzałów armatnich, ile jest stanów w Związku (jak wówczas — 16). Salwa federalna jest jedyną prerogatywą prezydenta Związku.

wszecznego dla tego wielkiego charakteru, obywatele obstawali przy tem, by zawieźć go własnoręcznie do jego mieszkania...“ ¹⁾

Nie probujemy oddawać uczuć, z jakimi Kościuszko przyjmował to przywitanie według form przepisanych dla osób stojących na czele narodów, te objawy czci i sympatyji ludu, witającego w nim nie tylko i nie tyle szermierza o jego niepodległość, ile obrońcę „Praw Ludzkości.“

Z dwóch towarzyszków Kościuszki, jeden, Libiszewski, jako muzyk, znalazł niebawem zajęcie w orkiestrze teatralnej w Filadelfii z opłatą 10 dolarów tygodniowo (jak dowiadujemy się z pamiętnika Niemcewicza) i prawdopodobnie zaraz zamieszkał osobno; nie wspomina bowiem o nim później Niemcewicz, a z listów Kościuszki, które niżej przytoczymy, widać, że nie odbywał z nim podróży do White'a i Gates'a.

Wśród osób, które znalazł Kościuszko w Filadelfii, znajdował się doktor Benjamin Rush, osobistość bardzo wybitna i znana w owym czasie, z którą prawdopodobnie spotykał się Kościuszko podczas wojny o niepodległość. Pod jego to kierunkiem młodzież ówczesna ćwiczyła się w szpitalach do zawodu lekarskiego; on był organizatorem pomocy lekarskiej podczas wojny, był także i gorącym patriotą i szczerym republikaninem, przyjacielem Gates'a i stałym jego korespondentem. On to namówił Kościuszkę do opuszczenia Filadelfii wobec grasującej tam żółtej febry. Jako powaga lekarska, obejrzał rany Kościuszki i dał stwierdzoną przez następujące wypadki prognozę w liście do Gates'a, datowanym z Filadelfii 3 września, którego ustęp odnośny przytaczamy.

D-r RUSH DO GATES'A.

Filadelfia, 3 września 1797.

„Mój drogi przyjacielu!

Ślawny nasz przyjaciel, Kościuszko, opuścił to miasto przed kilkoma dniami. Jest on obecnie mile i gościnnie ulokowany u generała White'a w Brunswicku. Wszystkie rany jego są uleczone. Jedna z nich w okolicy lędźwiowej pozostawiła w stanie paralitycznym biodro i nogę. *Czas przyczynił się cokolwiek do przywró-*

¹⁾ „The Daily Advertiser“ New York. Niedziela, 21 sierpnia, 1797 r. W Bibliotece publicznej w Bostonie. Tłum istotnie wyprzągł konie z powozu Kościuszki i pociągnął go przez miasto.

*cenia ruchów. Nie tracę nadziei, iż jest już zdolnym do chodzenia*¹⁾. Będzie jednak zawsze kulął—to i cóż? Posługując się starą grą wyrazów, rzecz można, że „każdy krok, który uczyni, będzie mu przypominał o jego patriotyzmie i odwadze.“

Nie wątpię, iż złożysz mu szacunek w Brunswick. Jakbym rad był widzieć wasze pierwsze spotkanie! Dusza jego pełna żywych drgnień dla przyjaźni. Kocha nawet imię Twoje...“

Namowy Rusha, zaproszenia White'a i Gates'a — dawnych przyjaciół i towarzyszywoj boju—skłoniły Kościuszkę do opuszczenia zakazanej przez żółtą febrę i wyludnionej Filadelfii. Pamiętnik Niemcewicza zaczyna się od ostatnich dni pobytu w tem mieście. Jemu też oddajemy głos dla dalszej opowieści.

Z PAMIĘTNIKA NIEMCEWICZA.

29 sierpnia.

„Przed opuszczeniem Filadelfii miałem przyjemność ujrzeć jej ciało prawodawcze zgromadzone. O 11-ej zrana gubernator udał się do lokalu senatu, gdzie połączone były obie izby. Zająwszy miejsce prezydującego senatu, wygłosił mowę, w której zdał sprawę z położenia rzeczypospolitej w Pensylwanii, jej finansów, środków zabezpieczających, które przedsięwzięto przeciw zarazie, wówczas panującej. Przytoczył powody, dla których nie dał zgody swej na ostatni dekret legislatury, polecił troskliwości obu izb przepisy, które należało uczynić, zwłaszcza zaś szkoły i wychowanie wogóle. Przenówienie jego było jasne, proste i poprawne, bez wszelkich ozdób retorycznych, takie, słowem, jakie powinni wygłaszać urzędnicy, nie potrzebujący ani wzruszać, ani pochlebiać namiętnościom.

Wygląd zgromadzenia, chociaż nie miał nic imponującego, był jednak szanowny. Senatorowie zajmowali pierwsze rzędy, reprezentanci za nimi, wielki stół mieścił się przed biurem prezydyalnem, na którym znajdowały się ustawy praw i wiele papierów. Przy nim dwóch służących. Wszyscy byli w codziennem odzieniu i bez szpad. Było to zgromadzenie ludu nowego, nie zepsutego przez zbytek, złożone z rolników o białych włosach, z kwaków

¹⁾ Podkreślamy te zdania, na które wypadnie nam powołać się niżej, gdy będzie mowa o uzdrowieniu, niby cudownem, Kościuszki.

i t. d., lub tak przynajmniej wyglądające. Ci, którzy znają bliżej kraj, twierdzą, że zepsucie rozpowszechniło się już w znacznej mierze, przeważnie w wielkich miastach, i że istota nie odpowiada tej powierzchownej prostocie, którą podziwiamy u przedstawicieli.

Po ukończeniu mowy gubernator pożegnał Zgromadzenie i oddalił się. Przedstawiciele natychmiast opuścili salę senatu i zeszli na dół do swojej własnej. Mieszczą się oni podobnie, jak i na górze, w półkolu; każdy ma krzesło i pulpit; speaker (przewodniczący) ma trybunę nieco wzniesioną, a niżej mieści się sekretarz. Jeden z członków zrobił kilka uwag o odmowie przez gubernatora swej sankcyi, inni odpowiedzieli mu, że postępował zgodnie z prawem, które mu zaręczała konstytucya.

Woźny ogłosił przybycie sekretarza rzeczypospolitej. Kratki utworzyły się, przybyły wszedł, ukłonił się przewodniczącemu, powiedział o przedmiocie swojej misyi. W taki to sposób gubernator komunikuje się z obu izbami. Po oddaniu papierów przewodniczącemu, oddalił się. Przeczytano projekt prawa, nakazujący podatek dziesiątego dolara dla pomocy ubogim. Obrano komitet z pięciu członków dla traktowania z lekarzami, obejrzenia szpitali i t. d. Po przeczytaniu projektu do prawa speaker bierze go i pyta się:

— Does the house agree to the resolution? (Czy izba przyjmuje postanowienie?)

Powtarza zapytanie to dwukrotnie. Milczenie jest znakiem zgody; speaker mówi wówczas:

„Prawo zostało przyjęte“—i oddaje je sekretarzowi izby. Przenoszą je następnie do senatu, a jeśli ten się zgadza, odsyłają do gubernatora; podpis gubernatora nadaje projektowi sankcyę i czyni go prawem. Jeśli gubernator nie zgadza się, odsyła go do izby ze swemi uwagami. Jeśli potem $\frac{2}{3}$ obu izb zażądają tegoż dekretu, staje się on prawem, pomimo niezgody gubernatora. Przedmiot debatów nie był bardzo doniosły, a wszystko odbywało się z największym spokojem. Senat zakomunikował także izbie posłów propozycyę, którą tam wniesiono, a mianowicie, czy nie byłoby roztropnem, wobec panującej epidemii, odroczyć dalsze posiedzenia, zwłaszcza, że nie było nic ważnego na porządku dziennym i że zbliżał się czas nowych wyborów. Zawieszono więc posiedzenie bez oznaczenia terminu nowego zgromadzenia. Przed opuszczeniem sali skarbnik udzielił każdemu z obecnych przekaz do skarbu. Każdy z obecnych członków otrzymuje po trzy dolary za każdy dzień, kiedy był obecnym w izbie, a prócz tego wypłacają mu się koszta podróży. Tegoż wieczora spotkałem kilku

członków izby, wracających do domu z małą walizką w trokach. Cokolwiek będą mówili, dopóki kraj ów będzie miał przedstawicieli, podróżujących w ten sposób, nie potrzebuje obawiać się przekupstwa ani tyranii.

Warto może zaznaczyć, że generał Mifflin, gubernator Pensylwanii, zdumiewająco podobny jest do naszego Zakrzewskiego.

Przez cały czas naszego pobytu, żółta febra, debaty nad jej przyczyną, dysputy lekarzy co do sposobu jej leczenia, odezwy rządowe, brutalne kłótnie dzienników, trapiły Filadelfię w sposób okrutny. Alarm był jeszcze większy, niż samo zło. 36.000 mieszkańców opuściło miasto. Ulice były puste, a pustkę tę przerywały tylko pogrzeby. D-r Rush namawiał Kościuszkę, aby odjechał; generałowie White i Gates, dawni jego przyjaciele, naglili go częstymi listami, aby przyjechał do nich. Zdecydowaliśmy się więc opuścić miasto.

Nowy Brunswick oddalony jest od Filadelfii zaledwie na 65 mil, co stanowi, licząc cztery mile angielskie na jedną polską, 16 $\frac{1}{4}$ naszych. Z trudnością wynajęliśmy powóz parokonny za 32 dolary czyli 16 dukatów. Gorzej jeszcze było, gdy wypadło płacić za mieszkanie i życie. Zgodzone było po 10 dolarów za każdego z nas, a 5 za służącego tygodniowo. Mr. Johnson znalazł jednak sposób kazać nam zapłacić 50 dolarów za 12 dni. Można z tego sądzić o nadzwyczajnej drożyznie w kraju.

Opuściliśmy Filadelfię w środę o 6-ej zrana.

Nie można poznać kraju lub mieć pretensję do dokładnego jego opisanie, przebiegając go w karetce pocztowej. Ograniczę się więc do wrażeń, których doznałem od ogólnego jego wyglądu lub od niektórych przedmiotów poszczególnych.

Uprawa, budynki, wszystko przypomina, że kraj ten niedawno został zaludniony przez ludzi ucywilizowanych. Wszystko jest nowe, wszystko, zdaje się, datuje od wczoraj. Drogi nie są jeszcze utrzymywane przez rząd, a zły lub dobry ich stan zależy od porę roku.

Miasta składają się przeważnie z jednej ulicy mniej lub więcej długiej. Widziałem w nich warsztaty rzemieślnicze i sklepy z produktami pierwszej potrzeby. Pospolitem jest też zjawiskiem, że właściciele gruntów mieszkają w miasteczku i codziennie udają się do swych ferm, bardzo mało odległych.

Dokoła Filadelfii dają się widzieć liczne wille, przeważnie drewniane, o architekturze lekkiej i wytwornej. Wszystkie są na biało pomalowane i mają zielone żaluzje, co nadaje im wesoły wygląd. Nie widać tu, jak w Anglii, owych pięknych ogródków,

pełnych kwiatów, ziół i krzewów, których rozmaicie cieniowana zieloność sprawia tak miłe wrażenie na oko; nie widać również owej wielkiej staranności w utrzymaniu. Wszystko tu zdaje się zmierzać jedynie ku korzyści. Niema parków, domy otoczone są trawnikami, które przechodzą w pola, pokryte zbożem, gryką lub innemi roślinami siewnemi.

Dają się jednak widzieć z przyjemnością zdumiewające szybkością postępy pracy i zapobiegliwości ludzkiej. Wszystko tu jest dziełem jednego stulecia; cofając się dalej wstecz, nie widzimy nic w wyobraźni, prócz pustyni i dzikich. Nie widać tu, jak w Europie, świątyń, wieżyc, ruin dawnych zanków gotyckich, pomników, które przenoszą nas w minione wieki i odtwarzają doby barbarzyństwa, feudalizmu, wszystkich stopni, przez które umysł ludzki przejść musiał, zanim doszedł do tej doskonałości, jaką obecnie dostrzegamy, zarówno w zakresie rządu, jak i umiejętności. Podróżny przebywa tu tylko w terażniejszości, gdy tymczasem w Europie tysiączne przedmioty przenoszą go do przeszłości; znajduje tam daleko obszerniejsze pole dla wspomnień i słodkich marzeń. W odległości dziesięciu mil przejeżdżaliśmy przez Francfort, małe miasteczko, zawierające 60 domów, a rozrzucone nad przejrzystą rzeczułką. Most przez nią przerzucony, jest dosyć ładny i mocny; wszystkie domy nowe i drewniane. Dalej zatrzymaliśmy się w *Washington Tavernie*, aby popasać nasze konie. Spotkaliśmy tam rodzinę, którą żółta febra wygnała z Filadelfii, a która znalazła tu przytułek. Oberżysta nikiemennie korzysta z ich rozpaczliwego położenia, każąc sobie płacić po 50 piastrow 1) na tydzień, jedynie za użycie dwóch małych pokojów, nie licząc w to życia.

Jechaliśmy dalej do Bristolu przez krainę płaską, usianą fermami. Pola ich pokryte były kukurydzą więcej niż jakim innem zbożem. Wśród pszenicy i gryki sadzają tu grusze, brzoskwinie, a zwłaszcza jabłonie; w ziemi bowiem jabłecznik jest zwykłym napojem w tym kraju, jak woda z rumem w lecie. Olbrzymie i prastare lasy, które pokrywały kraj ten całkowicie przed przybyciem europejczyków, ustąpiły teraz miejsca gajom. Nie są to już puszcze, lecz małe, przyjemne laski, las czarny, jak u nas nazywają. Nie spotykałem wcale jodeł; zdaje się, że zastępują je tu cedry. Najbardziej pospolitem drzewem jest dąb. Naliczają tu do dziesięciu jego gatunków: jedne są podobne do naszych, in-

1) Zapewne dolarów.

ne mają liście dłuższe, wężkie i ząbkowane. Najpospolitszem po dębie drzewem jest kasztan. Wszystkie te drzewa są oplecione girlandami dzikiego wina.

Na obiad przybyliśmy do Bristolu, małego miasta, leżącego na wyniosłym brzegu Delawaru. Jeśli kraj, któryśmy przebiegali dotychczas, całkowicie pokryty kukurydzą i drzewami owocowymi, zamykającemi zewsząd widnokrąg, nie daje nigdzie przerwy, przez którą oko mogłoby zajrzeć w dal, jeśli kraj ten jest zbyt przeladowany, a przez to ponury, to nic nie może równać się piękności i wesołości położenia Bristolu.

Delavar płynie tu w całym majestacie; jest bardzo szeroki, a wody jego jasne i przejrzyste. Miasto Burlington, rzucone po drugiej stronie w państwie Nowym Jersey'u, ożywia ten krajobraz bogaty, rozległy i urozmaicony.

Kilka statków po 60 tonn znajdowało się w przystani. Byli to przeważnie podróżni z Filadelfii, szukający, jak i tylu innych, przytułku na wsi. Mocno żałowałem, że się rozminął z p. Clife, który opuścił tę miejscowość tegoż poranka. Mieliśmy natomiast towarzystwo konsula hiszpańskiego, doskonałego gawędziarza, który znajdował, że niema kraju wolniejszego i szczęśliwszego od Biskajii. Jedliśmy obiad z dawnym dostawcą żywności podczas rewolucyi. Opowiadał nam o rozmaitych niepowodzeniach, których doświadczył, zwłaszcza, gdy gwałtowny wiatr zatrzymał go razem z trzystu wołami, uniemożliwiając przebycie Delawaru. Obiad bez wina kosztował nas dwa dolary.

Przebyliśmy Delavar w Trenton, stolicy Jersey, sławnej dzięki zwycięstwu, które odniósł tu Washington nad Hessami, a które podniosło ducha i odwagę Amerykanów, przygnębionych tylu niepowodzeniami.

Od Trenton Delavar przestaje być spławnym. Pośpiech przeszkodził nam obejrzeć katarakty, które są tego przyczyną.

Princetown wyróżnia się tylko swoim kolegium, którego gmach, dosyć obszerny, wzniesiony został przed rewolucją.

W nocy przybyliśmy do Kingstown, miasteczka, liczącego około dwudziestu domów. Zamieszkaliśmy w oberży bardzo dobrze utrzymywanej przez rodzinę holenderskiego pochodzenia, która jednak zupełnie zapomniała język ojczysty. Naprzeciw mieści się dosyć okazały dom; objaśniono mi, iż należy on do staro marynarza, który przez trzydzieści lat narażając się na przygody, powziął wreszcie rozumne postanowienie używania w spokoju owoców swej pracy. Mieliśmy dobrą kolację i dobry nocleg, płacąc za wszystko 1½ dolara.

Nazajutrz, 31 sierpnia, wyruszyliśmy w dalszą drogę a o dziesiątej przybyliśmy do Nowego Brunswicku, gdzie stanęliśmy w domu generała White.

Położenie miasta jest bardzo niskie; samo miasto dosyć znaczne w stosunku do warunków kraju. Oddalone od większych miast, a otoczone dosyć ludną i żyzną miejscowością, dostarcza ono środków spożywczych po cenach niższych niż gdzieindziej. Rzeka Raritan, spławna dla statków do 60 tonn, stanowi dogodną drogę wodną. Wpada ona w morze u Amboy w 9 milach od Nowego Brunswicku. Amboy nie mogło nigdy stać się miastem handlowem; zbytńia bliskość Nowego Yorku stała temu na przeszkodzie. Cały więc handel państwa Jersey odbywa się przy pośrednictwie Nowego Yorku lub Filadelfii. Kraj wszakże musi być żamożny, a rolnictwo kwitnąć, wszędzie bowiem widać ziemię dobrze uprawną, wzrastające szybko miasta i mieszkańców używających dobrobytu.

Cały ten kraj obfituje w rudy żelazne; ziemia wszędzie ma kolor cienneo-czerwony; znaleziono nawet bardzo dobre rudy miedziane. Lecz brak rąk i drożyzna pracy stoją na przeszkodzie ich eksploatacyi. Dopiero wówczas, gdy będzie więcej rąk, niż potrzebuje ich uprawa ziemi, nadmiar ludności zwróci się do przemysłu.

Chwila ta zdaje się jest jeszcze bardzo odległa: człowiek, tu, podobno, przekłada rolnictwo nad inne zajęcia, lub też woli być właścicielem, niż zarabiać na życie innym sposobem, chociażby bardziej zyskownym. W miarę tego, jak zaludnia się jedna dzielnica, nadmiar jej mieszkańców szuka miejsca dla osiedlenia w krajach jeszcze nieuprawnych. Północ i Zachód ofiarują mu pustynie, które, pomimo przyływu emigrantów z Europy przez długi czas jeszcze nie zostaną zaludnione. Mimo to wszystko jest tu obecnie siedm kopalni żelaza i dwie huty, wytapiające 400 tonn żelaza lanego i 540 kutego. W stronę ku morzu kopiąc na głębokość 50 stóp, natrafia się na *salt-marsh* t. j. grunt błotnisty i słony; często znajdują się w nim olbrzymie muszle ostryg oraz szkielety mamutów.

Dom generała White mieści się na wzgórzu i jest nieco oddalony od miasta. Generał ten, połączywszy się z oszustem, utracił znaczną część swego majątku. Mówią, że obecnie utrzymuje się z majątku żony. Zły stan majątkowy uczynił go ponurym melancholikiem z człowieka wesołego i towarzyskiego, jakim był dawniej. Smutek zatruwa mu szczęście rodzinne. Forma jego jest dosyć zaniedbana: otrzymuje z niej zaledwie tyle, ile potrzebuje

na utrzymanie rodziny i niewolników. W domu jego nie widać tego porządku, który panuje zwykle w Ameryce. Wszędzie daje się dostrzedz duch niezadowolenia i zniechęcenia.

Pani White, urodzona w Charlestown w Karolinie Południowej, chociaż ma już lat blisko 30, co stanowi wiele w tym kraju, może uchodzić za piękną. Ma ona oczy czarne, tak piękne i tak duże, jak tylko mieć można. Świeci z nich ognisty temperament południa. Jest wielkiego wzrostu i pełna, co nie szpecąc jej, nadaje jej wiele majestatyczności. Jedyna jej córka ma pięć lat. Jest to dziecko rozpieszczone, jak większość dzieci w Ameryce. Można czasem usłyszeć ją mówiącą do matki:

— You damned witch! (przeklęta wiedźma).

Najmniejsza niedyspozycya jej stanowi nieszczęście całego domu. Zapytano raz panią White: gdyby miała do wyboru jedno z dwu nieszczęść, stracenia męża lub córki, które by wolała?

— Zachować córkę — odpowiedziała bez wahania, nie krępując się obecnością męża.

Trudnem wydaje się do uwierzenia, że jedyny ogier, którego posiada generał, przynosi mu więcej, niż cała jego ferma. Zapłacił za niego 1800 dolarów, a wynajmuje sąsiadom po 10 dolarów dla pokrycia klacz. W ciągu roku zdarza się to 100 razy lub więcej, przynosząc mu przeszło 1000 dolarów. Miał jeszcze drugiego ogiera, którego sprzedał za 2000 dolarów.“

3 września.

„W niedzielę byłem na mszy w kościele presbyteryańskim. Nagość świątyń protestanckich nigdy mi się nie podobała. Kult ich pozbawiony jest wszystkiego, co potraça o serce, lub działa na zmysły; brak tu muzyki ¹⁾ i wszelkiej wystawności. Pastor wykonywa niezliczone miny (*simagrées*) z oczyma zamkniętymi i nawpół drżącym, nawpół natchnionym głosem wymawia: „módlmy się,“ poczem zaczyna modlitwę własnego układu, zwykle naśladującą psalmy, lecz daleką od ich podniosłej i wzruszającej prostoty. Śpiewają następnie psalm, dalej idzie nowa modlitwa i kazanie. Wszystko to trwało blisko trzy godziny. Kazanie było treści bardziej metafizycznej, niż moralnej. Nie wiem, czy sam kaznodzieja dobrze je rozumiał.

1) Zapewne spowodowany ubóstwem parafii małomiasteczkowej. Piękna muzyka i śpiewanie chóralne hymnów stanowi zwykły składnik nabożeństwa presbyteryańskiego (*przyp. wydawc.*).

W Brunswicku, jak i wszędzie w Ameryce, nie widać nędzy; każdy bowiem, kto chce pracować, ma zapewniony zarobek w takiej ilości, by mu starczyło na życie i może jeszcze odkładać. Nie widziałem w kościele ani jednej osoby, nie tylko w łachmannach, jak u nas bywa, lecz nawet źle ubranej ¹⁾. Równość, ustanowiona przez prawo, utrzymuje się tylko o tyle, o ile może i powinna być utrzymana, t. j. że prawo dla wszystkich jest równe. Bogactwo i urząd dają pewne wyróżnienie, t. j., osoby należące do tych klas, a zbliżone przez wychowanie i zamożność żyją z sobą, mało stykając się z resztą. Jednak w życiu potocznem wszyscy są na stopie zupełnej równości. Najuboższy farmer, parobek, nawet służący, nigdy nie stoi z otwartą głową przed zamożnym. Wszyscy mówią sobie „pan“ (Sir).

Wbrew prawom wszakże i obyczajom, próżność, chęć odznaczenia się i wyniesienia ponad bliźnich, ujawnia się nawet i tu. Ponieważ niema tytułów, jak: książę, hrabia, baron, zachowano tytuły szarż, które noszono podczas rewolucyi; mówi się więc: generał, pułkownik, major lub w zarządzie cywilnym: gubernator, sędzia, doktor taki a taki.

Głównymi osobistościami w Brunswicku są: generał White, pułkownik Bayard, sędzia Peterson i adwokat ²⁾. Rodziny ich są spokrewnione i żyją z sobą. Kolejno zapraszają jedni drugich na obiady i herbaty. Byłem na jednym z takich przyjęć. Oto z czego składał się obiad: dwa lub trzy kapłony pieczone z sosem na maśle z ostrygami i t. d.; rostbeef, jagnię gotowane, ryba lub szynka. Na drugie danie: puddig lub tort migdałowy, blamangé lub konfitury. Później zdejmują obrus i podają owoce, migdały, rodzynki, kasztany i wino. Piją zdrowie prezydenta, wice-prezydenta ³⁾ i kongresu. Damy opuszczają towarzystwo, a panowie zostają gawędząc całemi godzinami i wypijając toasty. Następnie przechodzą do pań i piją razem kawę lub herbatę.“

Opuszczamy tu parę stronic, poświęconych uwagom nad rewolucją (a raczej streszczeniu jej przebiegu), wywołanym przez czytanie dzieła Ramsay'a, z którym wówczas poznał się

¹⁾ Nie zaprzeczając uogólnieniu wypowiedzianemu przez Niemcewicza, zaznaczyć wszakże winniśmy, że najbiedniejsze klasy w Ameryce zwykle do parafii nie należą, gdyż kościoły utrzymywane są kosztem parafian.

²⁾ Nazwisko nieczytelne.

³⁾ Pierwszym był wówczas Adams, drugim Jefferson; należeli do przeciwnych sobie stronnictw.

Niemcewicz. Przechodzimy do wzmianki o wizycie u pastora, doktora Beach.

„Dom p. Beach jest bardzo prosty i bardzo wiejski. Zamiast ogródka otacza go prawdziwy las drzew brzoskwiniowych, grusz i jabłoni. Udaliśmy się do niego z porucznikiem Both'em i widzieliśmy gałęzie drzew brzoskwiniowych, które ułamały się pod ciężarem owoców, zaściełając ziemię. Rodzina pastora składa się z trzech panien dorosłych: wszystkie zdawały się bardzo szczęśliwe ze swego odosobnienia.“

Do czasu owego pierwszego pobytu w domu White'a należą dwa następujące listy Kościuszki do Gates'a, który, wbrew przewidywaniom i ubocznej nawet wskazówce Rush'a, nie odwiedził Kościuszki w Brunswicku — może na przeszkodzie stały ku temu stosunki jego z Whitem.

KOŚCIUSZKO DO GATES'A.

1 września, 1797.

„Drogi Generale!

Jestem w domu pani White, po ucieczce z Filadelfii. Mam zamiar odwiedzić Ciebie i z góry czuję wielkie zadowolenie z możliwości uściskania Cię jeszcze raz. Szczęścia tego nigdy nie spodziewałem się. Bądź łaskaw złożyć mój szacunek swej pani. Musi ona być bardzo uprzejmego usposobienia ¹⁾, gdyż kochana jest przez wszystkich, kto tylko zna ją tu. Nie zapomnij także o moich dawnych przyjaciółach i znajomych.

Z szacunkiem i poważaniem zostaję, Kochany Generale, Twym najpokorniejszym i najpowolniejszym sługą.

T. Kościuszko.

Nowy Brunswick, 1 września. ²⁾

¹⁾ Słowa te mogłyby nasunąć przypuszczenie, że Kościuszko nie znalazł zony Gates'a. Tak jednak nie było. Za czasów Rewolucyi amerykańskiej należał do „rodziny“ (t. j. kółka wojskowego) Gates'a i odbywał podróż razem z nim i jego żoną.

²⁾ Autograficzna korespondencya Gates'a w Tow. Historycznem w Nowym Yorku. Tom XXI, № 50.

Drugi list służy zapewne za replikę na odpowiedź Gates'a, której brulionu nie znaleźliśmy wśród jego papierów. Oto jego brzmienie:

KOŚCIUSZKO DO GATES'A.

(Adres: *Rose-Hill, w pobliżu N.-Yorku*).

„Mój drogi Generale!

Jeśli znasz dobrze moje serce, powinienesz spodziewać się, że nieuniknienie złożę szacunek Tobie i domowi Twemu, a w tym właśnie celu wyruszyłem z Filadelfii tą drogą. Mam zamiar wyjechać za trzy dni od Generała White'a, udać się do Ciebie i zabawić tam tydzień; chyba że wypuścisz na mnie psy swoje i wyrzucisz mnie gwałtem z domu.

Doskonale pamiętam o wszystkim, czem jestem Ci obowiązany; a szacunek, poważanie, cześć i przywiązanie zbyt głęboko wrażyły się w mojem sercu, abym nie usłuchał głosu uczuć tych i nie czuł wspólnie z obywatelami tego kraju wdzięczności za Twe wielkie zasługi podczas wojny.

Mam tylko jednego przyjaciela i jednego służącego z sobą; z taką to armią będę atakował dom Twój, lecz natychmiast poddam się Twemu dobremu, gościnnemu i przyjacielskiemu sercu. Mój najgłębszy szacunek Twej Pani. Zatrzymuję się na tem, abyś nie stał się zazdrosnym o mnie.

Twój szczerzy przyjaciel i najpokorniejszy sługa“

T. Kościuszko. 1)

Wieść o przyjeździe Kościuszki rozniosła się szybko po Ameryce i doszła do trzeciego z weteranów wojny o niepodległość a blizkiego przyjaciela Kościuszki i Gates'a, na równi z nimi gorącego republikanina, Jana Armstronga, mieszkającego znacznie dalej na północ, nad rzeką Hudson. Był to wśród owego bliższego kółka republikanów z czasów wojny umysł przeważnie literacki. Napisał parę życiorysów dla druku, które odznaczają się bawnością stylu i umiętnością opowiadania; listy jego świadczą również o talencie literackim i znacznem czytaniu.

1) Papiery Gates'a w N.-Yorskiem Towarzystwie Historycznem, T. XXI, № 51. Datę listu łatwo określić z daty wyjazdu podanej przez Niemcewicza: list był pisany na trzy dni przed wyjazdem, więc 6-go września.

Dowiedziawszy się — może z przytoczonego wyżej „Daily Advertiser“ — o przybyciu Kościuszki do Filadelfii, pisał do Gates'a pod świeżem wrażeniem tej wiadomości (26 sierpnia) list, z którego odnośny ustęp przytaczamy, jako charakterystykę uczuć, które żywili dla Kościuszki młodszy koledzy i przyjaciele:

ARMSTRONG DO GATES'A.

„Bardzo żywo obchodzi mię przyszły los Kościuszki. Powinniśmy ustać mu łoże z róż wśród nas. Mam nadzieję, że Filadelfia nie zawładnie nim całkowicie, a jeśli jego zamiarem jest (jak to przypuszczam) życie czynne, nie znam miejsca lepiej do tego przydatnego, jak brzegi tej rzeki. Znajdzie wśród nas przyjaciół, którzy go kochają, lud, który go podziwia, piękną okolicę i łatwy dostęp do skarbów literatury, wygod życia i przyjemności wielkiego miasta, jeśli jego życzenia tam go zaprowadzą.

„Niezawodnie pisałeś już do niego, a zapewne będziesz jeszcze pisał. Wspomnij mu o mnie jaknajgoręcej, powiedz mu, jak byłbym zachwycony, gdybym go mógł widzieć gdziekolwiek, a zwłaszcza na brzegach mego Eufratesa, gdzie, podobny do *Candida*, siedzę i filozofuję bez *Panglossa*, myśląc niekiedy o tym świecie, jako o najlepszym, niekiedy zaś, jako o najgorszym z możliwych.

„Gdym dowiedział się o jego niewoli, o jego ranach, a przypomniałem sobie jego cnoty i jego odwagę, myśląc, że nic nie będzie w stanie obronić go przeciw wściekłości i nieżyczliwości Fortuny, sądziłem prawie, że wszyscy byliśmy w błędzie, i że, podobnie jak *Katonowi*, przeznaczono nam było wykryć błąd w ostatniej chwili życia. Lecz teraz, gdy te własne rany i nieszczęścia wróciły go nam, zaczynam być egoistą i nie tak źle myślę o okolicznościach, które zmierzały ku temu skutkowi, by nas połączyć znowu.“¹⁾

Wróćmy teraz do opowieści Niemcewicza.

„Opuściliśmy Brunswick w sobotę, 9-go września, udając się do Generała Gates'a. Przebyliśmy kraj płaski, uprawny i zaludniony w ten sposób, jak droga z Filadelfii. Springfield, Elizabethtown i Newark są małemi miasteczkami, przez które idzie

1) Papiery Gates'a, T. XXI. № 49.

droga, a o których pomówię obszerniej za powrotem. Po przebyciu słonych bagien i tamy, ciągnącej się na kilka mil, przybyliśmy bardzo późno w nocy do Hoboken. Zastaliśmy zajazd przepelniony marynarzami i innymi włóczęgami; wszyscy byli podochoceni i w świetnym humorze. Towarzystwo to tańczyło w izbie na dole; dostrzegłem, że taniec był zupełnie podobny do tańca naszych żydów. Musieliśmy obejść się bez kolacyi, gdyż wszystko było spożyte; spaliśmy w bardzo złych łózkach, a nazajutrz zapłaciliśmy bardzo drogo.

„W niedzielę zrana, 10-go września, widok pięknej rzeki Północnej ¹⁾ i wieżyc Nowego Yorku wynagrodziły mię cokolwiek za złą gościnę. Przebyliśmy rzekę w łodzi żaglowej przy sprzyjającym wietrze i przyptywie. Kosztowało to 10 szylingów. Jest to dosyć drogo; lecz przynajmniej ludzie, którzy was wsadzają i wysadzają razem z powozem i rzeczami (co nie mało wymaga pracy) nie żądają napiwków, jak w Europie, a zwłaszcza we Włoszech. La bona manzia i Trinkgeld są prawie nieznane w Ameryce. Wylądowaliśmy powyżej nowego więzienia unikając w ten sposób kłopotu przejazdu przez miasto. Przejechaliśmy jeszcze ze dwie mile drogi okolonej willami i ogrodami. Wreszcie wskazano nam bramę domu generała Gates'a ²⁾ i niebawem znaleźliśmy się przed pięknym frontem, ozdobionym kolumnami korynckimi, tworzącemi perystyl mieszkania generała.

„Na progu spotkał nas zwycięzca z pod Saratogi. Jest to staruszek, mający lat 75, dosyć rzeźwy jeszcze, grzeczny i bardzo wesoły, jak na swój wiek.

„Prócz bitwy pod Camden, szczęście sprzyjało mu przez całe życie. Urodzony w Anglii był przez długi czas w służbie angielskiej. Podczas rewolucyi oddał się z zapałem sprawie amerykańskiej i od początku został generałem. Przy zawarciu pokoju prócz pensyi ³⁾ i gruntów udzielonych mu przez kongres, otrzymał jeszcze od Wirginii znaczny obszar ziemi. Ze sprzedania tego wszystkiego uzyskał spory kapitał; ożenienie się z panią Gates zwiększyło jeszcze ten majątek.

¹⁾ T. j. Hudson.

²⁾ Willa jego mieściła się tam, gdzie obecnie jest róg 2-ej avenue i 24 ulicy.

³⁾ Wskutek ubóstwa skarbu amerykańskiego podczas wojny, wielu oficerów nie pobierało pensyi, którą im wypłacono po zawarciu pokoju skapitalizowaną.

„Posiadanie takiej żony jest prawdziwym skarbem dla tego starca. Jest ona kobietą pięćdziesięcioletnią o twarzy jeszcze przyjemnej i najszczęśliwszego usposobienia. Ona sama tylko mogła uprzyjemnić niedomagania i smutki tak późnego wieku. Gdy widzi się, jak żyje z sobą ta para, gdy słyszy się żarty, drobne kłótnie i zazdrości, ujawniające się między nimi, zdaje się, że to jest pierwszy rok pożycia dwudziestoletniego małżeństwa.

„Generał Gates nie mniej szczęśliwym jest w swoich sprawach pieniężnych. Ferma, którą dzierżawi, odległa jest o trzy mile od Nowego Yorku; zawiera ona blisko 200 akrów ziemi, wspaniały dom, wirydarz, ogród owocowy i jarzynny, łąki i t. d. Należy ona do niejakiego Krügers'a, kupca bardzo bogatego, a uważającego, że nie jest nim dosyć. Chciwość spekulacyjna skłoniła go do najgorszego z możliwych handlów. Licząc na wiek podeszły generała Gates'a, a przypuszczając, że i żona jego niedaleką jest grobu, wydzierżawił im grunta w posiadanie dożywotnie za 5,000 dukatów. Jakież było jego zdumienie, gdy następnie ujrzał panią Gates, mającą wówczas zaledwie lat 40 i w najlepszem zdrowiu. Państwo Gates korzystają z domu i gruntów już od 7 lat. Zatrzymali dla siebie tylko wirydarz, ogród i łąkę na 6 krów i 3 konie; resztę wydzierżawiają za sumę blisko 300 funtów, tak, iż dawno wrócili włożony kapitał. Mają człowieka, który prowadzi całe ich gospodarstwo za 200 dolarów rocznie i środki pożywienia w naturze. Reszta obsługi składa się z murzyna, kucharki i służącej murzynki. Wszyscy są wolni, gdyż generał dał wolność wszystkim swym niewolnikom.

„Podczas całego czasu pobytu u generała Gates'a mieliśmy niezliczone wizyty w godzinach popołudniowych. Niepodobieństwem dla mnie jest spamiętać wszystkie te osoby; wymienię tylko niektóre z nich.

„Widzieliśmy z tuzin Liwingstonów, płci męskiej i żeńskiej, między innymi Edwarda i Jana, których żony są bardzo piękne (zwłaszcza ostatniego). U nich to po raz pierwszy widziałem w Ameryce europejski sposób prowadzenia domu: piękne powozy, wspaniałe konie, słudzy w liberyi, słowem, cały zbytek wcale nie demokratyczny.

„Liwingstonowie tem są w państwie Nowego Yorku, czem Potoccy w Polsce, t. j. rodziną bardzo liczną i posiadającą obszerne majątki. Zapewniano mnie, że mają do 600 dzierżawców, osiadłych na ich gruntach i zależnych od nich. Można się domyśleć, że mają przewagę przy wyborach. Są oni w zawziętej nieprzyjaźni z obecnym gubernatorem Nowego Yorku, p. Jay, a ponie-

waż jest on dobrze widziany przez rząd, wystarcza to, aby Li-wingstonowie byli w opozycji ¹⁾.

„Odwiedzała nas także liczna rodzina Stuverson'ów ²⁾, panny Broom, panna Johnson, siostrzenica p. Smitha z Baltimore, pani Winnings z Delaware, młoda osoba, bardzo przystojna, bardzo interesująca, śpiewająca, rysująca i t. d., a przy tych wszystkich zaletach, mająca męża rozpustnego, spędzającego życie ze swemi murzynkami i zaniedbującego żonę; wreszcie panna Nickolson.

Za sąsiadów mieliśmy państwo Vilette. Pani Vilette jest słynną szachistką, rozumna i wykształcona, lecz trochę zanadto lubi miasto, jak na żonę kwakra. Mąż jej bardzo dobry, przywiązany w wysokim stopniu do żony i do swego ogrodu, który uprawia własnymi rękami.

„Drugim sąsiadem jest p. Brigide, gaduła, bufon i błazen.“

Opuszczamy opisanie N. Yorku i wizytę z Gates'em do klubu wigów.

„Klub w Hale Gate ³⁾ nie był jedynym miejscem, dokąd zawiózł mnie generał Gates, udając się do miasta; wizyty i chęć otrzymania nowin nie były jedynymi pobudkami naszej podróży; udaliśmy się także na miasto po mięso, ryby, jarzyny. Patrzałem na tego szanownego starca, zakupującego własnoręcznie prowizye, z większym szacunkiem, niż na szamerowanego marszałka rosyjskiego, dającego posłuchanie gromadzie umundurowanych lokajów.

¹⁾ Jest to jedno z tych objaśnień, które często spotykamy u Niemcewicza, a które cechują jego umysłowość: nie dostrzegając głębszych przyczyn, wymyśla płytkie. Gates, Li-wingstonowie i całe stronnictwo, do którego należeli, byli republikanami i demokratami; partya zaś, która wybrała Waszyngtona, a zwłaszcza ówczesnego prezydenta, Adams'a, miała aspiracye monarchiczne, a w każdym razie konserwatywne. Niechęć więc do Jay'a pochodziła z różnicy przekonań politycznych, lecz nie odwrotnie. Dla tej samej przyczyny usuwał się i Kościuszko od ludzi, należących do stronnictwa Adams'a, czego Niemcewicz nie umiał sobie wytłómaczyć, jak tylko dziwactwem i mizantropią, coraz bardziej w ten sposób oddalając się duchowo od Naczelnika.

²⁾ Czy nie Stuiessant?

³⁾ Nazwa ta („Furtka Piekielna“) zapożyczona od burzliwego wyjścia, znajdującego się na końcu East River — cieśniny, oddzielającej Long Island od lądu. (*Przyp. wyd.*)

Opuściliśmy z wielkim żalem dom generała Gates'a i jego uprzejmej żony. Z niemałym trudem usadowiliśmy na łodzi generała Kościuszkę, a uściskawszy jeszcze raz gen. Gates'a, który nas odprowadził do brzegu rzeki Północnej, przeprowadziliśmy się pomyślnie przez rzekę. Rychło przebyliśmy szosę przeprowadzoną przez pewne towarzystwo wśród słonego bagna a ciągnącą się na milę polską. Siano z tych łąk jest bardzo surowe; bytło żywi się niem, w braku lepszego; używają go także do nawozu. Bagna te ciągną się bardzo daleko i widać je jeszcze około Elizabethtown, również jak po drodze do Brunświku od strony rzeki Raritan. Między New arkiem a Nowym Jorkiem, na przestrzeni dziesięciu mil przebywa się dwie rzeki Passaik. Obie mają wodę bardzo przejrzystą i są spławne dla małych statków. Do przeprawy służą dwa bardzo ładne mosty.

„Newark jest wesołym miasteczkiem, mającym kilka ładnych domów. Bliskość Nowego Jorku spowoduje niezawodnie szybki jego rozkwit. Z tamtąd jest tylko 6 mil do Elizabethtown, dokąd przybyliśmy o południu.“

Opuszczamy bardzo ciekawy i charakterystyczny opis Elizabethtown i towarzystwa jego. — Tu później po wyjeździe Kościuszki, osiadł Niemcewicz i ożenił się.

Kościuszek skorzystał z tego przystanku w podróży, aby przesać kilka dziękczynnych słów Gates'owi.

KOŚCIUSZKO DO GATES'A.

„Drogi Generale!

Nie mogę się uspokoić, dopóki nie wynurzę chociaż części zobowiązań, jakie winienem Twjej dobroci i gościnności, której doświadczyłem w domu Twoim. Gdyby życzenia moje mogły odpowiedzieć uczuciom mego serca, byłbyś najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Wierzą mi, że wdzięczność moja nie wstrzyma się nigdy przed żadną sposobnością jej okazania oraz przekonania Cię, o moim zupełnym szacunku i przywiązaniu.“

• Twój najpokorniejszy i najpowolniejszy sługa

T. Kościuszko.

Elizabethtown, na Lewis River.

(Notatka Gates'a o odbiorze na odwrotnej stronie: 3 października 1797).

Dalej kontynuuje Niemcewicz:

„Przebywszy trzy tygodnie w Elizabethtown (użyłem ten czas na polowanie, czytelnictwo i na odwiedzanie towarzystwa) opuściliśmy to miasto 20 października udając się do Brunświck; jest to miejsce, którebym chętnie obrał za przytułek dla siebie. Położenie jego jest piękne i zdrowe, towarzystwo równe; nie ma ani kłótni, ani plotek. Domy Brackersów Livingstonów, prezydenta Dayton'a są interesujące. Zresztą można przyjemnie spędzać wieczory w domach francuzkich. Poznałem tylko rodzinę Massonów; lecz w Elizabethtown liczą do 120 Francuzów obojej płci, wszyscy pochodzą z kolonij. Wreszcie zaletą Elizabethtown jest jego bliskość do Nowego Jorku: wodą można tam zajechać w 1½ godziny.

„W Brunświku stanęliśmy znów w domu generała White'a, którego rodzina była po dawnemu gościnną i uważną. Bayardowie i Pattersonowie byli po dawnemu uprzejmi a miasto również smutne, jak i za pierwszego pobytu.“

Opuuszczamy tu znaczne ustępy. Przechodzimy do spotkania z prezydentem, który wówczas podróżował. Mieszkańce Brunświku zajęci byli przygotowaniami do jego przyjęcia.

„Obrany został, pisze Niemcewicz, komitet dla przygotowania przyjęcia; prezydent i wiceprezydent jego, mieli utrzymywać porządek przy stole oraz przywitać najwyższego urzędnika państwa. Kilka wieczorów poświęcono na omówienie tej ważnej sprawy. Wreszcie p. Adams przybywa, lecz na dwie godziny przed oznaczonym czasem. Nic nie było przygotowane: to też widzieliśmy milicję pieszą i konną przebiegającą po mieście, urzędników wkładających peruki na wywrót, elegantów przybiegających z nawpół spiętymi trzewikami. Strzał armatni powitalny dał się słyszeć w półgodziny po tem jak p. Adams, dobrze się rozgrzał przed kominkiem.

Wkrótce jednak wszystko się uporządkowało i zrównoważyło. O pierwszej byłem przedstawiony p. Adams. Siedział on u kominka razem z p. Malcolmem, swoim sekretarzem prywatnym, młodzieńcem dwudziestoletnim, i czytał gazetę. Ujrzałem przed sobą niewielkiego i okrągłego człowieczka w stroju czarnym, z głową mocno upudrowaną i z harcapem. Twarz jego wydała mi się dobroduszną i uczciwą, nie pozbawioną jednak odrobiny złośliwości. Przyjął mnie grzecznie, rozpytywał o generała Kościuszkę i o Lafayette'a.

„Przeszedłem następnie do drugiego pokoju, gdzie zastałem odpowiednika p. Adams w osobie pani Adams. Mała, krótka, sku-

piona, oskarżona jest o straszną zbrodnię: powiadają, że się różuje. Prawdę mówiąc, jeśli nie ma powabnej powierzchowności, ma umysł bystry i wykształcony. Towarzyszyła jej tylko siostrzenica i służąca.

„O drugiej pułkownik Nelson, obrany na przewodniczącego całego ceremoniału, przybył razem z generałem White'em i reprezentacją obywateli do mieszkania prezydenta. P. Nelson przeczytał w imieniu wszystkich obywateli mowę, pełną wyrazów przywiązania do konstytucyi i najwyższego urzędnika w kraju. P. Adams przeczytał odpowiedź swoją; pomówił z tym i owym, uściśnął każdemu rękę i wszyscy odeszli.

„O trzeciej ta sama ceremonia, aby go zaprosić do sali jadalnej. Udał się tam w towarzystwie tłumu obywateli i ze trzydziestu milicyantów w mundurach. Przywitano go pochylając sztandary. Stół nakryty był na sześćdziesięć osób: roastbeefy, indyki i t. d. w odpowiedniej proporcji.

„W środku obiadu p. Gass, mężczyzna wysoki na 6 stóp, a przeszło siedemdziesięcioletni, garbarz z zawodu a gaduła z nawykienia, opuścił miejsce swoje na przeciwległym końcu stołu, zbliżył się do szczytu jego, gdzie siedział prezydent, a odsuwając generała White'a, który siedział przy nim, przysiadł do p. Adamsa i bawił go najniemożliwszemi tłustemi opowiadaniem. Prezydent śmiał się a spoglądając na olbrzymi wzrost swego współbiednika, rzekł do niego:

— „Powinieneś Pan być urodzić się w państwach króla pruskiego; byłbyś ozdobą jego gwardyi.“

— „Gdybym miał być drugą osobą w jego królestwie, nie chciałbym tam być urodzonym, odrzekł garbarz.“

— „Ani ja, chociażbym miał być tam pierwszym, rzekł prezydent.

„Po skończonej uczcie zaczęły się toasty, zawczasu przygotowane przez komitet. Wygłaszają ich tyle, ile jest stanów, t. j. 16. Większa ich część zawiera wyrazy uczuć i życzenia o utrzymanie praw, konstytucyi, wolności, pokoju, rolnictwa, handlu i t. d.

„Po oddaleniu się prezydenta, wypito jego zdrowie i szereg weselszych toastów. Weselość stała się szumną i uczta trwała do godziny 10-ej.

„Prezydent i pani Adams przybyli wieczorem do generała White'a na herbatę¹⁾.

¹⁾ Tu zapewne nastąpiło unikane przez Kościuszkę spotkanie się z Adamsem, który nie mógł być miłym Naczelnikowi, jako twórca „Prawa o cudzo-

„Nazajutrz oboje odjechali bardzo wcześnie. Cały ich ekwipaż składał się z dwóch powozów wygodnych, lecz prostych. Jeden służący towarzyszył im konno. Ze trzydziestu milicyantów konnych odprowadziło ich, również jak i wszyscy zamożniejsi obywatele w powozach przejechali z nimi połowę drogi do Kingstown; tu ustanowiono się w szereg i prezydent mógł pożegnać każdego z osobna. Generał White i ja odprowadziliśmy go do samego Kingstown.“

„Nazajutrz, jeśli się nie mylę, 20 listopada, wziąłem pocztę, aby udać się do Filadelfii w celu znalezienia mieszkania dla generała Kościuszki.

„Przybyłem do Filadelfii w niedzielę z rana i ulokowałem się na 2-ej ul. Północnej w brudnej i lichiej oberży pod nazwą „Eagle and Harfe“ (Orzeł i harfa).

„Przy pomocy doktora Rush znalazłem mieszkanie tak małe, tak oddalone i tak tanie, jak mi nakazywały moje instrukcje. Byłem obecny na otwarciu Kongresu, które poniżej opisuję.“

Przed opuszczeniem Nowego Brunświcku, Kościuszko jeszcze raz pisał do Gates'a.

KOŚCIUSZKO DO GATES'A.

Nowy Brunświck, 27 listopada.

„Mój drogi Generale!

Byłoby to urazą dla uczuć moich, gdybym nie napisał do Ciebie, opuszczając to miejsce i nie przesłał Ci gorących podziękowań za przyjaźń okazaną mi pod Twym dachem zarówno jak i pani Gates. Przesyłam jej moje pełne szacunku pocałowania. Jutro wyjeżdżam do Filadelfii i mam nadzieję odebrać tam list Twój, stwierdzający Twe dobre zdrowie i życzliwość dla mnie.

ziemcach i buntownikach.“ Korespondent „Moniteur'a“ paryskiego, który spotkał Kościuszkę przy jego wylądowaniu w Bajonnie i słyszał od niego wiele szczegółów, nadmienia, że Kościuszko nie przyjął zaproszenia Waszyngtona, z Adamsem zaś widział się tylko na umyślnie przygotowanym spotkaniu. List ten ogłosiłem w artyk. p. t. *Podróż Kościuszki do Paryża w r. 1798.* („Świat Kobiety“ № 15 z r. 1906).

Mój głęboki szacunek dla Pani Gates a moje najlepsze życzenia i pozdrowienia dla wszystkich moich znajomych.“

Twój przyjaciel nazawsze
T. Kościuszko.

Wracamy do pamiętników Niemcewicza.

„28 listopada.“ Z wielkim żalem opuściliśmy spokojny i gościnny dom p. White'a i przybyliśmy nazajutrz do Filadelfii. Zamieszkaliśmy pod № 172 na 3-iej ulicy Południowej, u pani Relf, w bardzo małym domku, gdzie mieszkali wspólnie studenci medycyny i młodzi rzemieślnicy. Taniłość skłoniła nas do tego wyboru. Generał miał mały pokój, w którym nie mógł przyjąć więcej od 4-ch osób naraz. Ja zaś miałem jeszcze mniejszy, a że nie był opalany, sypiałem tylko w nim. Było to bardzo niedogodne dla mnie; nic smutniejszego nad brak własnego kąta; zmuszony byłem włożyć się po ulicach lub czyhać na chwilę, kiedy się znajdzie wolny stolczyk w parlorze, gdzie mogłem pisać lub czytać. Zaledwie miałem czas rzucić na papier kilka beładnych notatek o tem, co widziałem.“

Opuszczamy opisanie Filadelfii i towarzystwa miejscowego a przechodzimy wprost do święcenia urodzin Waszyngtona i odwiezdzin wodza indyjskiego Małego Zółwia u Kościuszki.

„22 lutego obchodzono dzień urodzin Waszyngtona. Zrana już wszystkie statki były ozdobione flagami; dano salwę całej artylerji.

„P. Adams, obecny prezydent, był zaproszony na uroczystość. Lecz dotknięty tem, że jego poprzednika, już nie pełniącego urzędu, fetują i poważają więcej niż jego samego, będącego na stanowisku prezydenta, odpowiedział natychmiast kierownikom uroczystości, kartą pełną złego humoru, oświadczając, że nie przyjdzie. Rys ten maluje dostatecznie człowieka małego, zazdrosnego i unoszącego się...“

„Uroczystość odbyła się w cyrku. Jest to gmach okrągły, okropnie pomalowany od stóp do szczytu Barwy jego szare i czarne pochłaniały całkowicie światło setki świec, zawieszonych na żelaznych obręczach. Stroje pań z przewagą bieli i piór, chociaż bardzo eleganckie, niekorzystnie się przedstawiały w tym szarym pomroku. Orkiestra mieściła się na estradzie w środku. Sznury przeciągnięte od niej dzieliły obwód na ośm odcinków. W przegrodach tych tańczono. Nikt nie był skrepowany, ale nikt nie był wesoły. Jedna tylko ambasadorowa portugalska miała na

sobie brylanty. Ładniejszy blask wszakże miały oczy pani Law, z domu Custis, wnuczki pani Waszyngtonowej.

„Mały Żółw, wódz indyjski, zajmował łożę. Ubrano go w mundur amerykański z wielkimi epoletami. Był, zdawało się, bardzo zadowolony z widowiska. Jest to człowiek bardzo rozumny; poglądy jego są zdrowe i poprawne; żadnej przewrotności—owocu błędnej półwiedzy.

„Przybył tu, aby traktować z rządem o linii granicznej, którą miano poprowadzić i o innych rzeczach, dotyczących jego narodu — *Miansów*. Głównym punktem, na który nalega, jest zobowiązanie się rządu amerykańskiego do zakazu pod najsurowszemi karani przywozu spirytualij dla Indyan. Zna dobrze fatalne skutki ich użycia, niemniej jak obłudną politykę białych, podtrzymującą między nimi niezgodę, wciągającą ich do swoich kłótni, zbestwiającą ich napojami, posługującą się słowem wszelkimi środkami w celu utrzymania ich w nieuctwie i stopniowego ich wyniszczenia.

„Doskonale zdaje sobie sprawę z wyższości stanu ucywilizowanego, a wyższość ta zasmuca go nawet.

— „Nie mówcie mi, rzekł, o waszej wyższości, jeśli nie chcecie dostarczyć mi środków, przy których pomocy naród mój mógłby osiągnąć te same korzyści.“

„Przyszedł odwiedzić generała Kościuszkę i ofiarował mu *tomahawk*, rodzaj małego toporka, które wyrabiają Anglicy. Kościuszek podarował mu w zamian swoją burkę. Wódz dostrzegł okulary i jak się zdawało bardzo pragnął je posiadać. Nie nie mogło dorównać radości jego, gdy Kościuszek podarował mu je. Nie mógł zrozumieć jak się to dzieje, że przedmioty powiększone są przez szkła, ani też nasycić się rozkoszą oglądania ich w ten sposób.

— „Dałeś mi nowe oczy, wołał. Była to jedyna chwila, w której wydał mi się nieco dzikim. Inni Indianie: Czikasasowie i sześć Narodów¹⁾ przybyli również do Filadelfii. Lecz we wszystkich względach różnili się wielce od Małego Żółwia. Rząd zapatrywał ich we wszystko podczas ich pobytu.

Tegoż samego dnia Kościuszek, zapewne otrzymawszy jakąś wiadomość od Gates'a przez kogoś z przybyłych na uroczystość pisał do niego, co następuje:

¹⁾ Taką nazwę przybrały złączone plemiona Indyan z okolic wielkich jezior. Podczas powstania przeciw Anglii, Indianie sześciu Narodów stali po stronie Amerykanów.

KOŚCIUSZKO DO GATES'A.

Filadelfia, 22 lutego.

„Mój drogi Generale!

Gdybym był poinformowany, że listy moje mogą Ci sprawić przyjemność ¹⁾, byłbym z pewnością pisał do Ciebie często i wyrażał to, co czułe serce, przepełnione przyjaźnią i szacunkiem, wypowiedziałyby memu rozumowi.

Gen. Armstrong pisał mi o farmie w jego sąsiedztwie. Odpisałem mu, że jadąc do wód w Saratodze chętnie ją obejrzę; lecz wiesz, że na tym świecie nie możemy być niczego pewni. Z pism zapewne wiesz o uregulowaniu mej sprawy z Kongresem²⁾. Rzecz sama mówi za siebie i nie wymaga dalszych komentarzy. Zdaje się, myślisz razem ze starym dobrym Katonem: gdyby to i owo — stanowisko honorowe jest prywatną posiadą.

P. Garnet³⁾ ma wiele miłych zalet; jestem więc niecierpliwie poznać jego panią. Eliza nie odpowiedziała na mój list; żądam więc, abyś ją ukarał trzema pocałunkami, pod warunkiem wszakże, aby twoja żona była obecną przy tej czynności, inaczej będę zazdrosny. Dobrej, czulej i litościwej p. Gates pragnę być przypomnianym. Składam jej dzięki za wszystko, czem jestem jej obowiązany i przesyłam jej pełne szacunku pozdrowienie. Co do Twego przyjacielskiego zaproszenia, jeśli to będzie w mojej możności i na mojej drodze, uczynię sobie zaszczyt wstąpienia do twojego domu i uściśnięcia twej dłoni. Lecz w każdym razie usłyszysz coś więcej ode mnie.

Z zupełnym szacunkiem
Twój serdeczny przyjaciel

T Kościuszko⁴⁾.

¹⁾ Ta delikatna alluzja każe domyślać się, iż Kościuszko nie zastał w Filadelfii spodziewanego listu od Gates'a.

²⁾ Mowa tu o odbiorze zaległego i skapitalizowanego żołdu z czasów wojny o niepodległość.

³⁾ Rodzina Garnetów żyła dobrze z Gates'ami. Córka ich (Sybella), przyjaźniła się z młodziutką Garnetówną, dzieckiem jeszcze. O ile można sądzić z listów, jest to, zdaje się, wymieniona niżej „Eliza.“ Kupili oni w tym czasie farmę w pobliżu N. Yorku.

⁴⁾ Papiery Gates'a. T. XXI. № 62.

Ton tego listu i mgliste aluzje w nim zawarte, każą domyślać się, że zamiar powrotu do Europy już kiełkował w umyśle Kościuszki. Musiał już z pism wiedzieć o organizacyi Legij polskich, jeśli go jeszcze nie doszły listy. Pierwotnym zamiarem (wynikającym zdaje się z rady Rush'a) była podróż do źródeł mineralnych w Saratoga, projektowana na wiosnę; do niej to robi aluzję Kościuszko w liście swoim. Obok tego obaj przyjaciele jego od pierwszych dni po jego przybyciu, zajęci byli upatrywaniem dla niego farmy sądząc, że resztę dni poświęci spoczynkowi i pracy wiejskiej. Już w listopadzie (13-go) Armstrong pisał do Gates'a: „Przyjechał on (Kościuszko) w zbyt spóźnionej porze roku, aby można było coś uplanować o przyszłym urzędzeniu. Plan, o którym nadmieniasz w poprzednim liście (Brockholst'a) nie jest już do wyboru; lecz gdyby nawet był do urzeczywistnienia, niechętniebym polecał innemu to, co pod żadnym względem nie podobą się mnie samemu. Bardzo prawdopodobnie będziemy w stanie ulokować go o wiele korzystniej na wiosnę. Będę miał na oku dwie lub trzy miejscowości, które w ciągu zimy będę mógł dostarczyć naszemu przyjacielowi, jeśli mu się podobają; jeśli nie—pertraktacje można będzie zawiesić.“

W tym samym liście jednak nadmienia Gates o pogłosce, według której Kościuszko ma udać się na zimę na południe za rzekę Potomak. Stosując się do tej to pogłoski, Kościuszko polecił Niemcewiczowi udać się na południe po jego tajnym wyjeździe, niby jadąc wśląd za nim.

Przechodzimy teraz do tych ustępów pamiętników Niemcewicza, w których przyszły prezes Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie, skromnie wyraża swoje zdumienie z powodu obrania go na członka Towarzystwa Filozoficznego w Filadelfii, a następnie opisuje pożegnanie swoje z Kościuszką.

„Po powrocie¹⁾ dowiedziałem się przez pośrednictwo doktora Scandelli, że zostałem obrany na członka Towarzystwa Filozoficznego w Filadelfii. Wiadomość ta bardziej zdziwiła mię niż ucieszyła, a każąc mi zastanowić się nad sobą, upokorzyła mię raczej niż podniosła. Przypomniałem sobie ze smutkiem zarówno powierzchniowe wykształcenie, które otrzymałem, jak i niedostate-

¹⁾ Z Burlington, dokąd jeździł razem z doktorem Scandellą odwiedzić Loganów, gorących zwolenników rewolucyi francuzkiej. Było to w kwietniu r. 1798.

czność wysiłków własnych ku jego uzupełnieniu w następstwie wiadomościami rzeczywiście użytecznymi. Cóż ja umiem? mówiłem sobie. Trochę historii, podróży, belletrystyki; mam trochę wiadomości o sztuce. Są to tytuły do obrania mnie na członka niewielkiej kolacji ludzi światowych. Lecz zostać członkiem Towarzystwa filozoficznego, towarzystwa zajmującego się jedynie naukami ścisłymi i użytecznymi—do tego nie mam najmniejszego prawa. Jeśli jestem filozofem, to chyba w tem znaczeniu, że jestem ubogi; że od 20 lat walczę z wszelkimi niepowodzeniami, nie ulegając im.

.....

4 maja¹⁾ „Byłem tego wieczora na posiedzeniu Towarzystwa Filozoficznego. Prezydent jego p. Jefferson, zakomunikował nam kilka listów nadesłanych z rozmaitych części Związku donoszących o znalezieniu kości mamutów lub innych nieznanych zwierząt. Listy te przekazano osobnej komisji. Dyskutowano następnie nad rozmaitemi przedmiotami naukowemi.

Towarzystwo to założone zostało w r. 1750, liczy ono przeszło 200 członków Amerykanów i cudzoziemców, zresztą pomówię o tem innym razem; dziś pilno mi przejść do przedmiotu niezwykłego.

Gdy wróciłem o 10-ej i pół wieczór z tego posiedzenia, Stanisław Dąbrowski, służący Generała, powiedział mi, że pan jego życzy sobie widzieć mnie.

Gdyśmy się znaleźli sami, oto jakie niezwykle usłyszałem zwierzenie:

— „Musisz mi dać słowo honoru p. Niemcewicz, że nikomu nie powtórzysz tego, co ci powiem i że uczynisz to, o co cię proszę.“

— „Nie zażadasz odemnie nic nieuczciwego?“

— „Nie; mogę ci zaręczyć.“

— „A więc słucham.“

— „Wyjeżdżam tej nocy do Europy sam jeden, zostawiam dla służącego 100 dolarów; zwolnisz go jutro: zostawiam ci 200 dolarów; rozporządzać będziesz prócz tego mojem odzieniem i na-

1) Wrażenia swoje opisywał Niemcewicz zwykle raz na kilka dni. Nie powinien się więc czytelnik dziwić, że pomimo daty 4 maja stojącej w nagłówku, opowieść obejmuje wypadki z kilku dni.

czyniem, które jest u d-ra Rush¹⁾). Skamieniały ze zdumienia wobec tej wiadomości, która spadła na mnie jakby z chmur, chciałem, gdy nieco ochłonełem z wrażeń, dowiedzieć się o przyczynach tej podróży. Odpowiedziano mi, że niewiedziano, ani dokąd, ani po co się jechało.

„Przedstawiłem niebezpieczeństwa, na które się narażał, jadąc tak sam w tego rodzaju podróż; chciałem, aby się zastanowił. — Nakazano mi milczenie.

— „Jeśli nic nie może cię oddalić od tego zamiaru, wolę niż widzieć cię puszczającego się samowolnie w tym stanie zdrowia twego, zamknąć na wszystko oczy i ofiarować się na towarzysza.

— „To niemożliwe.

— „A więc proponowałeś i żądałeś odemnie, abym tu przybył, po to jedynie, by mię zostawić samego na tej ziemi, tylu morzami (sic) oddzielonej od ojczyzny. Taki więc dowód zaufania i przyjaźni dajesz mi? Mówisz mi o wyjeździe swym zaledwie na kilka godzin przed urzeczywistnieniem zamiaru, który miałeś już może w chwili wyjazdu! Czyżbyś sądził, że cię zdradzę?...

— „Nie, nie, ale...

— „Cóż tu pomyślą o tak dziwnem zniknięciu?

— „Proszę cię, opowiedz wszystkim, że wyjechałem do wód w Wirginii. Za trzy dni opuścisz Filadelfię i udasz się w tamtą stronę, jakby w celu połączenia się ze mną.

— „Ładne mi dajesz zlecenia: mam kłamać tu i objeżdżać kraj cały, aby jeszcze kłamać. Ach! w jakież kłopotliwe położenie mię stawiasz! Sam, bez przyjaciół, bez środków. Nie, nie wezmę nic z tego, co mi zostawiasz...

„Zanościło się na scenę; nie była to chwila właściwa dla jej rozpoczęcia. Zamilkłem.

„Zawołałem służącego (nie powiedziano mu nic, ani o tem, co zamierzano uczynić, ani co mu zostawiano; cały ten kłopot pozostawiono mnie); kazano przynieść tłumok, wrzucono do niego trochę rzeczy; powiedziano mi, iż pragną spocząć...

„Oddaliłem się zbyt wzruszony wszystkim, com usłyszał, abym mógł zmrużyć oko. O pierwszej w nocy wyszedłem i chodziłem po ulicach, oddając się mojej boleści i najsmutniejszym rozważaniom; o 4-tej zrana nadjechał zakryty powóz, a w nim p. J(effer-

¹⁾ Mowa tu o serwisie srebrnym ofiarowanym Kościuszce przez miasto Bristol w Anglii, gdy zatrzymał się w niem, w przejeździe do Ameryki.

son). K(ościuszko) zajął miejsce¹⁾ nie uściskawszy mnie. Pomimo jego postępowania myśl o tem, że rozstajemy się może na zawsze; myśl o niebezpieczeństwach, na które się narażał w jego położeniu i bez żadnej pomocy—wycisnęła mi łzy... Śledziłem oczyma powóz tak daleko jak mogłem. Obrano drogę przeciwną tej, która prowadziła do portu. Nie wiem, dla kogo przedsięwzięto ten środek ostrożności, gdyż wszyscy spali jeszcze. Dowiedziałem się następnie, że udano się łodem aż do Newcastle, gdzie oczekiwał statek.

„Oto więc sam jestem, opuszczony na tej obcej ziemi, bez środków, zapomniany przez swoich. Nie w stanie jestem ani wrócić do siebie, ani tu osiąść, ani nawet znaleźć środków egzystencji! Gdy w Petersburgu błagano mię, abym jechał, czy mogłem się spodziewać, że tak się rzecz skończy? Zgodnie z instrukcją powiedziałem służącemu, że jest wolny; powiedziałem, co mu zostawiono. Był on dotknięty i wołał o zdradę (sic):

— „Więc po to kazano mi aż tu przyjechać! Należy mi się pensya za dwa miesiące, a mam zaledwie 80 dukatów na powrót i w nagrodę za tak ciężką służbę.“

— „Nie przyjacielu; przeznaczono ci sto dolarów a dwieście dla mnie; oddam ci wszystko, oto 300 dolarów, nie chcę ani grosza dla siebie.

Opierał się on, nie chcąc pozostawić mię bez środków, a czynił to w dobrej wierze. Ja nalegałem; oddałem mu pieniądze i wzięłem pokwitowanie. Napisałem do K(ościuszki) kartkę następującej treści:

„Oddałem wszystkie pieniądze, któreś mi pozostawił, Twemu służącemu; załączam pokwitowanie. Kazałem zapakować wszystkie Twoje rzeczy i odzienie i odesłałem do p. J.(effersona). Nie tknę także srebra. Przyjaźni, nie opłaca się pieniędzmi: wymaga ona wzajemności i zaufania. Nie doznałem jej z Twojej strony. Żegnam. Oby los Twój był tak szczęśliwy, jak mój jest godzien litości.“

„Ten wyjazd nagły, a tak tajny i ukryty, wywołał powszechne zdumienie. Osypano mię pytaniami, kłamałem tysiąc razy dziennie. Co pomyśla o mnie, gdy z czasem wszystko się ujawni! Po co ta tajemnica? Jak w tych czasach podejrzeń i nieufności

¹⁾ Zamiósł go służący na rękę, jak widoczne z jednego listu Niemcewicza do Jeffersona.

wytlómaczą sobie ów tajemniczy wyjazd i nasze rozstanie i moją tu obecność...

„Dni następne spędziłem, pakując jego rzeczy, przenosząc je i gotując się do wyjazdu.“

.....

Nie mamy powodu wątpić o szczerości wynurzeń tych¹⁾, pisanych pod świeżym wrażeniem, a nie przeznaczonych do czytania dla kogokolwiekbydz, które podajemy w dokładnem tłómaczeniu, zachowując tajemniczość nawet w tym poufnym pamiętniku otaczającą imię Kościuszki, którego by nie wymieniać, autor posługuje się przeważnie bezosobową formą lub inicjałami. Zresztą niewątpliwej autentyczności dokumenta stwierdzają najzupełniej to, co pisał Niemcewicz.

W Archiwach Spraw Zagranicznych w Waszyngtonie odnaleźliśmy autografy listów Niemcewicza do Jeffersona, pisanych wkrótce po tym wypadku i prasowe kopie odpowiedzi na nich Jeffersona. Malują one stan umysłu Niemcewicza podczas tej podróży, którą przedsięwziął spełniając zlecenie Kościuszki.

27 maja pisał poeta nasz z Federal City ²⁾

NIEMCEWICZ DO JEFFERSONA.

„Panie!

Wśród niepokoju i obaw, których doświadczasz, myśląc o losie przyjaciela, narażonego na niejedno niebezpieczeństwo, zechcesz może dowiedzieć się, co się dzieje z tym, który od tylu lat był towarzyszem jego niedoli i jego podróży: spieszę zadość uczynić twej ciekawości w tym względzie.

Stosując się do instrukcyi generała K(ościuszki) obrałem drogę na Południe, jakby jędąc wślad za nim. Byłem w Baltimore, a od 15 dni bawię w Federal City, w domu p. Law ³⁾. Wszędzie osypywano mię pytaniami, nie wiem jak się wywiązałem; wiem tylko, że zawód kłamcy (dla tego kto nie jest doń przyzwyczajony)

¹⁾ Jak podał w wątpliwą treść o tem wzmiankę w *Pamiętniku czasów moich*, p. Korzon w swojej biografii Kościuszki.

²⁾ Tak nazywało się miasto owo w chwili jego założenia, nazwę obecną nadano mu dopiero po śmierci Waszyngtona.

³⁾ Ożenionego z panną Custis, wnuczką pani Waszyngtonowej. Tam poznał się Niemcewicz z Waszyngtonem i został zaproszony do Mount Vernon,

jest również trudny, jak i upokarzający. Bądź jednak pewnym, że tajemnica jest ściśle przestrzegana, nikt nie domyśla się prawdy: jedni sądzą, iż jest naprawdę w drodze do wód, inni wyobrażają sobie, żeśmy się pokłócili i rozłączyli. Wreszcie pisano tu z Filadelfii, żeś go porwał i schował w Monticello¹⁾ Jesteś więc oskarżony o porwanie i gwałt, staraj się oczyścić, jak możesz.

Generał Waszyngton z żoną był w mieście, aby odwiedzić wnuczki swoje, p. Peters i p. Law. Byłem mu przedstawiony; przyjął mię bardzo grzecznie, pytał o zdrowie g(enerała) K(ościuszki), ze współczuciem, lecz był wogóle bardzo powściągliwy a nierównie mniej ciekawy i badawczy niż się spodziewałem.

Pomimo dobroci i gościnności swoich gospodarzy, nie mogę bez niedyskrecyi bawić u nich zbyt długo. Lecz gdzie udać się i jak? Nic nie wiem. Nie chciałbym przejeżdżać przez Filadelfię, ani tam mieszkać (jak pierwotnie zamierzałem). Dopóki kongres będzie tam trwał, a obawiam się, że posiedzenie to potrwa długo, mój pobyt w tem mieście wywołałby plotki i podejrzenia bez końca. Jestem naprawdę w położeniu godnem pożałowania. Serce moje zranione do żywego, unysł niespokojny i wzruszony, nie mogę ani zostać tu, ani tembardziej tu osiąść, ani też wrócić do domu (sic), aby oddać się w ręce swoich stróżów więziennych (despoci są tak podejrzliwi).

Wyjechałem z Europy nie urządziwszy spraw swoich jedynie po to, by towarzyszyć choremu przyjacielowi i pielęgnować go; krewni moi i przyjaciele nigdy nie mogli wyobrazić sobie, iżbym się znalazł w tem położeniu, w jakim jestem obecnie. Chciałbym zatrzeć w pamięci nawet wspomnienie tego obejścia, którego doświadczyłem; lecz niestety, nie tak łatwo zapomnieć, jak milczeć.

Przebacz mi Panie te skargi mimowolne, jesteś jedynym, przed kim wyrwały się one; jedynym przed kim śmiem mówić o swem położeniu i o swych zamiarach. Zanim otrzymam wiadomości i pomoc z domu, postanowiłem zwiedzić cokolwiek Amerykę, zarówno w celu rozerwania się, jak i po to, by nie tracić czasu daremnie. Chciałbym pojechać aż do Bostonu. Czy nie byłbyś łaskaw pożyczyć mi na to 150 albo 200 dolarów? Obiecuję zwrócić je w jesieni, a bardzo rad będę przywieźć ci dług mój osobście. Przebacz mi Panie śmiałość tego kroku; powody, którychbyś zapewne nie zganił, przeszkodziły mi prosić kogo innego o tę usługę. Trudno mi było wynurzać się przed kimkolwiek; lecz

1) Wiejska rezydencja Jeffersona.

wobec szacunku i przywiązania, które budzisz we wszystkich, co mają szczęście znać Ciebie, nie zdziwisz się, że budzisz w nich także zaufanie. Przyjmij wyrazy szacunku od tego, kto ma zaszczyt być Panie i t. d.

Julian Niemcewicz.“

„Jeśli będziesz łaskaw odpisać mi adresuj mi do domu Tomasza Law w Federal City. Nie zapomnij zwłaszcza dać mi wiadomości o G(enerale) K(ościuszk)u, skoro tylko usłyszysz cokolwiek o nim; powinien już być blizkim celu swej podróży. Bardzo prawdopodobne, iż znajdzie się na poczcie w Filadelfii kilka paczek listów adresowanych do G-ła Koś. Bądź łaskaw otworzyć je, gdyż niezawodnie znajdują się w jego kopercie listy dla mnie, a w tym wypadku błagam Cię, abyś mi je przysłał“¹⁾.

Nie znaleźliśmy odpowiedzi na ten list w brulionach Jeffersona, lecz widzimy z następnego listu Niemcewicza, że pieniądze żądane były mu natychmiast przesłane. Już 9-go czerwca bowiem odpisuje Jeffersonowi z Mount-Vernon, gdzie bawił jako gość Waszyngtona, dziękując mu za przesyłkę. Oto jest brzmienie tego listu:

NIEMCEWICZ DO JEFFERSONA.

„Panie!

„List Pański otrzymałem dopiero wczoraj; zechcesz mi więc wybaczyć opóźnienie mojej odpowiedzi. Racz przyjąć podziękowanie za sumę 200 dolarów, którą zechciałeś łaskawie mi pożyczyc; list ten posłuży za pokwitowanie, gdyż nie wiem, jak uczynić to w formie należytej; mam nadzieję w krótkim czasie uiścić się z długu; otrzymałem od moich krewnych z Polski wieści, donoszące mi, że pewna pomoc pieniężna ma mi być wysłana niezwłocznie. Zachowam na zawsze wspomnienie tego dowodu przyjaźni i dobroci z Twojej strony; bez Pana nie wiem, co bym miał pocuć; postawiłeś mię w możności ujrzania kraju, który tak zasługuje na poznanie.

„Zostałem zaproszony przez Gła Waszyngtona, abym go odwiedził; udałem się do niego z rodziną p. Law. Wyjeżdżamy pojutrze²⁾. Opuszczę natychmiast Federal City, aby udać się do Frederickstown, do Lankaster, Bethlehem, stamtąd wrócę do Filadelfii,

1) Rękopisy Jeffersona. Ser. 2, Tom 63, fol. 16.

2) W rzeczywistości zabawił Niemcewicz w Mount-Vernon do 14 czerwca.

zatrzymam się tam tylko na jeden dzień i mam nadzieję zastać Cię jeszcze, jeśli nie, postaram się złożyć Ci szacunek w Monticello.

„Wypadki w Europie, zdaje się, zbliżają się do rozwiązania; scena zdaje się zostanie przeniesiona do Egiptu, co sprawia mi wielką przyjemność: gdyby zdażono go podbić i wygnać Turków z Europy, widzę wszelką możliwość, iż dając z tej strony kompensaty domowi austriackiemu i Rosyi, zniewolą ich do oddania Polski i moja biedna ojczyzna zmartwychwstałaby jeszcze.

„Czytałeś zapewne w dziennikach, że szablą, którą Klub Whigów w Anglii dekretował dla G-ła K(ościuszki), przybyła na statku Adriana pod kapitanem Lee. Ponieważ Gł. K(ościuszko) będzie rad zachować ten dowód szacunku ogólnego, będzie ci niezawodnie wdzięczny, jeśli będziesz łaskaw wziąć go z rąk kapitana Lee i udzielić mu miejsca obok innych rzeczy, które zechciałeś zachować dla niego. Mam nadzieję, że już przybył szczęśliwie do portu, a niecierpliwy jestem ujrzeć nadzieję tę stwierdzoną¹⁾. Bądź pewien Panie, że wdzięczność moja może dorównać szacunkowi, który mam dla Twoich cnót. Mam zaszczyt i t. d.

Julian Niemcewicz²⁾“

Odpowiedź Jeffersona ułożona jest w następujących wyrazach:

JEFFERSON DO NIEMCEWICZA.

Filadelfia, 14 czerwca 1798.

„Kochany Panie!

„List pański z d. 9 b. m. w tej chwili dopiero został mi wręczony, tak iż zaledwie mam czas odpisać z pierwszą pocztą. Z listu Pańskiego widzę, że prawdopodobnie ominie mię przyjemność ujżenia Cię. Wyjeżdżam stąd we środę 20-go w południe przez Georgetown a 22-go będę w Georgetown, który zapewne już wcześniej opuścisz.

„Odebrałem dziś szablę dla G-ła Kościuszki i oddałem na przechowanie godnej zaufania osobie. Kapitan Lee, który mi ją

¹⁾ Kościuszko przybył do brzegów Francji dopiero 28 czerwca. W tym czasie, gdy przebywał ocean, Bonaparte, otoczony wielką tajemniczością, płynął po morzu Śródziemnem do Egiptu.

²⁾ Rękopisy Jeffersona, ser. 2, tom 63, fol. 18. Oba te listy pisane po francusku, odpowiedź Jeffersona — po angielsku.

wręczył, nadmieniał, iż ma list dla Ciebie z Anglii, który mi jutro przyniesie. Zostawię go na opiece mego gospodarza, p. Francis, aby go zatrzymał, póki się po niego nie zgłosisz lub przyślesz.

„Bardzo mi przykro, że tak późno odebrałeś mój list, gdyż musiało to wywołać pewne niemiłe uczucie. Wysłałem go pierwszą pocztą po otrzymaniu Pańskiego. Będę liczył na przyjemność ujżenia Cię w Monticello. Zbliżająca się godzina poczty zmusza mię do zakończenia listu wyrazami wielkiego szacunku i przywiązania, kochany Panie, etc.

T. Jefferson)

Następujące listy zawierają szczegóły bardziej bezpośrednio związane z wyjazdem Kościuszki; są to niejako ostatnie echa epizodu, któremu poświęciliśmy ten artykuł: wspólnej podróży i niezyczelivego rozstania się obu przyjaciół.

NIEMCEWICZ DO JEFFERSONA.

„Panie!

„Jestem wreszcie z powrotem z mojej wycieczki na Wschód. Byłem w Bostonie i Portsmouth, stamtąd przez góry udałem się do Albany, skąd po rzece spuściłem się do N. Yorku. Wszędzie paliło mnie słońce, a gdzie niegdzie obdzierali yankesi. Zatrzymywałem się przez dni kilka u kanclerza Livingstona i u generała Armstronga. Poprzedził mię tam p. Dawson i znalazłem tych panów poinformowanych o wyjeździe G(ła) K(ościuszki²⁾) i o miejscu jego przeznaczenia. Tajemnica jest w dobrym ręku; nie jestem więc o nią niespokojny; lecz jakież było moje zdziwienie, gdy, po przybyciu do Elizabethtown, znalazłem miasto to przepelnione najniedorzeczniejszymi bajkami. Opowiadano mi, że major Touzard przejeżdżał tędy przed dziesięciu dniami i stanąwszy u prezesa Daytona twierdził, iż widział list pisany z Wirginii a zawierający wiadomość, że G(ał) K(ościuszko) opuścił kraj ten sam jeden i w największej tajemnicy, że przypuszczano lub też w liście tym powiedziano było, iż udał się do Irlandyi dla objęcia komendy nad powstańcami. Wszystko to jeszcze ująć może; lecz jakież było moje oburzenie i moje zdumienie, gdy dowiedziałem się, iż major Touzard miał zuchwałość twierdzić, jakoby rany

1) Rękopisy Jeffersona, ser. I. Tom 7 fol 241.

2) W liście tylko inicjały.

i smutny stan kaleki i inwalida w jakim znajdował się generał, były tylko farsą, udawaniem oraz, że widziano go chodzącym w New Castle.

„Odrzuciłem oszczerstwo to jako niedorzeczne i krzywdzące dla charakteru generała, zapewniając wszystkich tych panów, że w dzień jego wyjazdu na wody, widziałem go jak zwykle, zanieśionego do powozu przez służącego.

„Nie mniej wszakże prawdą jest, że niedorzeczne te bajki dały tu powód do plotek i przypuszczeń, które ranią mnie i upokarzają. Obawiam się, że jeszcze gorzej dzieje się w wielkich miastach; dla tego też jestem zdecydowany trzymać się od nich zdala. Nic nie otrzymałem od rodziny swojej, co zwiększa jeszcze smutek mego położenia. Błagam Pana, wybacz mi, że nie mogę dotąd uiścić się z długu swego; mam nadzieję, iż wkrótce to nastąpi i wówczas będę w stanie uczynić pielgrzymkę swoją do Monticello. Co do chwili obecnej zdecydowany jestem spędzać swój czas między Brunświckiem a Elizabethtown; krajobrazy tu piękne, życie tanie, a jak mówią Włosi: *Il primo bisbiglio di chiedere una volta passata*. Będę mógł tu żyć zapomniany i spokojny, dopóki obowiązek mój nie powoła mnie do kraju lub stracona nawsawsze nadzieja nie każe mi osiąść tu. Jeśli doktor Bache i p. Maclure są u Pana, proszę przypomnieć mnie ich pamięci. Nie wiem co się stało z doktorem Scandellą. Jeśli ma Pan jakie wiadomości o Podróżniku¹⁾ i jeśli zechcesz napisać mi parę słów o nim, proszę adresować do pani Bache, żony doktora. Niedawno miałem od niej wiadomości: jest w dobrym zdrowiu na wsi u ojca. Filadelfia jest zupełnie wyludniona; ulice porosły trawą; zostało w niej zaledwie 10,000 mieszkańców a codziennie stu z nich umiera; połowę tego w Nowym Yorku. Jeśli potrzebne są ofiary dla gniewu bożego, dla czego nie objawia się on raczej w Rosyi, Austrii i w Prusach!

„Zechciej przyjąć, Panie, zapewnienia o mojem przywiązaniu i moim szacunku.“

J. U. Niemcewicz.

Elizabethtown, 3 września 1798.

(Notatka Jeffersona:
otrzymany 27 września²⁾).

¹⁾ Kościuszcze.

²⁾ Rękopisy Jeffersona. Ser. 2. Tom 63, fol. 8.

JEFFERSON DO NIEMCEWICZA.

Monticello, 30 listop. 98.

„Kochany Panie!

Wskutek uszkodzenia naszej poczty, listy z północy przychodziły w ogóle bardzo późno bieżącego lata; lecz pański opóźnił się niezwykle, tak iż w czasie, gdy go otrzymałem, miałem nadzieję widzieć Cię tu; wskutek tego nie odpisałem zaraz po jego otrzymaniu; gdy jednak spóźniona pora roku pozbawia już nadziei w tym przedmiocie, czynię sobie przyjemność donieść o jego odebraniu. Miałem również nadzieję ujrzeć tu p. Maclure'a; lecz i on nie przybył do nas. Nie mam dotąd listów od naszego przyjaciela Generała Kościuszki, lecz dowiaduję się z dzienników, iż przybył pomyślnie do kraju, w którym nawet stojący u władzy oddają należny hołd jego czystej i republikańskiej gorliwości ¹⁾. Jakkolwiek obojętni byli niektórzy dla jego zasług w naszym kraju, mogę Cię zapewnić, że ogół moich współrodaków ma największą cześć i przywiązanie dla jego charakteru. Ten stan ²⁾, czułby się szczególnie szczęśliwym, gdyby on zechciał obrać go za miejsce swego pobytu.

Gdyby wybuchła wojna między Austryą a Francją, powziąłbym wielką nadzieję, że Twoja ojczyzna zajmie miejsce na mapie ziemskiej, a są wszelkie powody do mniemania, że wojna nastąpi. O tym przedmiocie i o innych będę miał przyjemność usłyszeć Twoje zdanie w Filadelfii, dokąd udaję się za dwa tygodnie. Pozwól mi tymczasem prosić Cię o to, byś się nie troszczył z powodu nadmienionej w Twym liście zaległości i przyjmij zapewnienia szczerego szacunku, z którym i t. d.

T. Jefferson ³⁾

JEFFERSON DO NIEMCEWICZA.

Filadelfia, 16 stycznia 1799.

„Drogi Panie!

List pański, który odebrałem w Monticello, był tak długo w drodze, że spodziewałem się ujrzeć Pana u nas niebawem po

¹⁾ Ob. korespondencye w „Moniteurze“ paryskim, które przytoczyliśmy w wymienionym artykule (Świat Kobiety № 6 z r. b.).

²⁾ Wirginia, do której należał Jefferson.

³⁾ Rękopisy Jeffersona w Waszyngtonie. Ser. 1. Tom 7, fol. 258.

jego odebraniu. Widząc wszakże, że następuje spóźniona pora roku i tracąc nadzieję na urzeczywistnienie tych oczekiwań, pisałem do Pana adresując list do p. Maclure'a. Mam nadzieję, iż doszedł Pana. Po przybyciu do Filadelfii, otrzymałem list od G-ła Kościuszki, przywieziony przez p. Gerry'ego. W nim zawierał się list dla Pana. Obawiając się powierzyć go poczcie, utrzymałem go przez dni kilka, dopóki nie trafiła mi się sposobność przez jednego pana, którego znam, a który miał przejeżdżać przez Elizabethtown i zaręczył mi, że niezawodnie doręczy list Panu. Bądź co bądź jestem niecierpliwym usłyszeć od Pana samego, że doszedł rąk pańskich również, jak mój z Monticello. Listy Generała do mnie są krótkie i dotyczą jedynie niektórych spraw jego w tym kraju a nadmieniają tylko ogólnikowo o dobrem jego zdrowiu. *Z innych źródeł dowiaduję się, że może chodzić* ¹⁾.

Miałem nadzieję ujrzeć Pana tu i wciąż ludzę się nadzieją, że nie dasz przeminać sesji Kongresu bez odwiedzenia Filadelfii i przekonać się, że uprzedzenia Twoje dla północnej części naszego kraju nie przeszkodzą Ci przybyć i przyjrzeć się, czem jesteśmy na południu. Będzie ku temu niebawem nowa pobudka, gdyż państwo Bache przenoszą się w kwietniu lub maju w moje sąsiedztwo. Bądź tak łaskaw, daj mi znać przy pierwszej sposobności o nadmienionym liście i przyjmij moje przyjacielskie pozdrowienie i szacunek.

T. Jefferson ²⁾

NIEMCEWICZ DO JEFFERSONA ³⁾

Elizabethtown, 19 stycznia 1799.

„Panie!

„Dopiero na początku bieżącego tygodnia miałem przyjemność odebrać list pański z d. 30 listopada (cały czas przeleżał on na poczcie w Brunświku). W dwa dni później pewien pan przejeżdżający z Filadelfii, zostawił dla mnie list od generała Kościuszki. Gdy miałem donieść o otrzymaniu obu, otrzymałem uprzejmy list pański z d. 16 b. m. Proszę przyjąć, Panie, najgorętsze dzięki za wyrazy przyjacielskie, któremi mię zaszczycaasz. *Kartka G(enerała) K(ościuszki) zawierała tylko pozdrowienie, ujęte*

1) Nasze podkreślenie.

2) Rękopisy Jeffersona w Waszyngtonie. Ser. 1. Tom 7, fol. 261.

3) Ten i wszystkie późniejsze listy Niemcewicza pisane są po angielsku.

w czterech wierszach bez żadnej wzmianki o jego zdrowiu, jego tajemniczem i cudownem wyzdrowieniu¹⁾ lub jakichkolwiek sprawach, bądź prywatnych, bądź publicznych.

Chociaż zamiłowanie do spokoju i odosobnienia, nietolerancja polityczna, a nadewszystko obawa niedelikatnych zapytań, czynią mię bardzo niechętnym do odwiedzania wielkich miast, chęć ujżenia Cię, Panie, i innych nielicznych przyjaciół, skłoniły mię do decyzji udania się do Filadelfii przed zamknięciem Kongresu. Proszę przypomnieć mię pamięci państwa Bache. Miałem przyjemność widzieć wczoraj oboje w ich drodze do N. Yorku; jakkolwiek byłem szczęśliwy z tego spotkania, byłem głęboko dotknięty znajdując pannę Bache w tak złym stanie zdrowia. Mam nadzieję, że lepsza pora roku przywróci jej zdrowie. Proszę przyjąć wyrazy mego szacunku i t. d.

J. Niemcewicz.

(Notatka Jeffersona: odebr. 21 stycznia²⁾)

Przerywamy w tym punkcie korespondencję Niemcewicza z Jeffersonem, dalsze bowiem listy obu nie mają bezpośredniego związku z traktowanym przez nas epizodem.

Przytoczone wyżej dokumenta pozwalają wyjaśnić niewątpliwie kwestyę, co do której pewien zamęt wniosła nader powierchowna i bez żadnego przygotowania napisana broszura.

Niejaki Evans, wnuk gen. White'a, otrzymał w r. 1883 (z powodu stulecia założenia Tow. Cyncynatów) polecenie od Tow. Historycznego w N. Yorku napisania pamiętnika o Kościuszcze. Ażeby ocenić doniosłość tego polecenia, powinniśmy ostrzedz, że towarzystwa historyczne w N. Yorku niczem nie są podobne do europejskich. Członkami ich nie są uczeni (prócz nielicznych wyjątków), lecz przeważnie ludzie zainteresowani w swoim rodowodzie (poszukujący „ancestry“), a największem uznaniem cieszą się ci, którzy mogą udowodnić swoje pochodzenie od wojowników Rewolucyi. Evans nie miał więc innych tytułów do napisania swego *Memoir of Kościuszko* prócz pochodzenia od White'a, a jedyną wartościową częścią jego książki są dwa listy Kościuszki do pani White, przedrukowane w niej (z błędami zresztą³⁾). Poza tem treść książki stanowią znane epizody z wojny niekrytycznie

¹⁾ Podkreślamy te wiersze, na które wypadnie nam powołać się niżej.

²⁾ Papiery Jeffersona. Ser. 2. Tom 63, fol. 17.

³⁾ Oba przytoczone są w przekładzie u Korzona (*Kościuszko*, biografia etc.).

powtórzone za podręcznikami, przedruki wydanych już listów Jeffersona do Kościuszki i rozmaite anegdoty. Między nimi znajduje się następujący wypadek, powtórzony nibyto ze słów babki (pani White), a który miał jakoby miejsce w jej domu.

„Na wiosnę r. 1798 otrzymał on (Kościuszko) paczkę listów. Czytanie jednego z nich wprawiło go w stan wielkiego podniecenia, tak iż wyskoczył z sofy swojej na środek pokoju. Do tego czasu nie mógł poruszać się bez obcej pomocy a i w tym wypadku zmuszony był zawołać służącego, aby go unieśli z powrotem na sofie. Nie wyjaśnił nikomu przyczyny tego podniecenia, lecz rzekł do Grła White'a: „Muszę wracać do Europy.“ Zrobiono odpowiednie przygotowania i Kościuszko opuścił dom dawnego kolegi w maju, zawiadamiając o swoim wyjeździe tylko dwóch lub trzech najbliższych przyjaciół¹⁾.

Nie czynimy zarzutu zasłużonemu historykowi naszemu, pierwszemu, który oparł biografię Kościuszki na dokumentach, oczyszczając ją z wielu, przeważnie niesmacznych legend, że wziął na seryo tę opowieść; niepodobieństwem jest bowiem uniknąć błędów temu, kto jest pionierem w pracy takiej. P. Korzon nie rozporządzając żadnymi dokumentami dla sprawdzenia opowieści Evansa, posunął jednak skrupulatność do tego stopnia, iż pytał lekarzy o możliwość podobnego uzdrowienia i unieśli w swojej książce ich opinię.

Sądźmy, że dokumenta, które tu ogłosiliśmy, nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do tego, że cała ta opowieść o cudownem uzdrowieniu jest taką samą bajką, jak i inne rzeczy, które Evans podaje na kredyt swojej babki²⁾.

¹⁾ Evans *Memoir of Kościuszko*. 1882, str. 25.

²⁾ Opowiada on mianowicie, że cały czas pobytu w Ameryce, prócz kilku dni spędzonych w Filadelfii, gdzie miał być honorowo przyjmowanym przez Waszyngtona (!Waszyngton nie był wówczas w urzędzie i mieszkał w Mount Vernon, dokąd przesłał Kościuszko poleczone sobie listy) i „większą część czasu spędzał półleżąc na sofie (reminiscencya portretu Cosway'a!), rysując lub malując farbami albo tuszem fantastyczne szkice, które po ukończeniu rzucił na podłogę, aby je podnosiła p. White, która rozdawała je przyjaciołom.“ Evans nie wiedział nawet, że Kościuszko towarzyszył Niemcewicz. Podczas poszukiwań swych w Ameryce w r. 1897 i 98, autor pisał do Evansa, prosząc o wyjaśnienie niektórych wątpliwości, nasuniętych przeczytaniem jego broszury; lecz list zwrócono mu nierozpieczętowany. Prawdopodobnie Evans, który był już wiekowy, nie przyjmował w owym czasie żadnej korespondencji, a w parę miesięcy później wyczytał autor w dziennikach o jego śmierci.

Z przytoczonych ustępów dziennika Niemcewicza, zgodnych co do dat jak najściślej z umieszczonemi wyżej listami Kościuszki do Gates'a, wynika, że Kościuszko był dwukrotnie i na krótko w domu White'a, a mianowicie od 1 do 9 września, jadąc do Gates'a, i od 20 października do 27 listopada. Później zaś przez cały czas mieszkał w Filadelfii w towarzystwie Niemcewicza i Dąbrowskiego (służącego). Gdyby więc miało zajść coś podobnego do opisanego przez Evans'a epizodu, świadkami jego nie mogli być White'owie. Ze zaś nie był nim Niemcewicz — o tem świadczy, prócz jego milczenia, zdziwienie, z jakim dowiedział się o postanowieniu wyjazdu. Widzieliśmy dalej, że w liście pisanym do Gates'a 22 lutego Kościuszko jeszcze projektuje wycieczkę do Saratogi i kupno gruntów, chociaż już chwije się. Widocznem jest, że wiadomości o legionach, które czytał w pismach, nęciły go do Europy, lecz bodźca ostatecznego jeszcze nie miał. Co było tym bodźcem?

W brulionie mowy, (który znaleźliśmy w Paryżu) wygłoszonej w Tow. Przyjaciół Nauk z powodu śmierci Kościuszki, Niemcewicz nadmienia, że Kościuszko był powołany do Francji przez jednego z dyrektorów. Skłonni też jesteśmy uwierzyć temu, tak ze względu na przyjęcie urzędowe, które mu tam uczyniono, jak i na charakter Kościuszki, który każe przyjąć poważną i pozytywną pobudkę dla tak stanowczego kroku. Dyrektorem tym prawdopodobnie był Barras.

Zestawiając następnie szczegóły dotyczące uleczenia, widzimy najprzód, że musiało ono być stopniowe: częściowe bowiem przywrócenie władzy skonstatował już dr. Rush zaraz po przybyciu Kościuszki do Filadelfii, a przewidział i dalsze; następnie widzimy z podkreślonych przez nas ustępów listów Jeffersona i Niemcewicza, że wiadomość o jego chodzeniu po przyjeździe do Francji, jest dla nich zdumiewającą nowością. W korespondencji z Bajonny do „Moniteur'a,“ przez nas ogłoszonej¹⁾ nie widać, iżby Kościuszko pozbawiony był władzy chodzenia. Nasuwa się więc z koniecznością wniosek, iż podróż morska trwająca prawie dwa miesiące (od 5 maja do 28 czerwca) była okresem, a może i przyczyną zupełnego przywrócenia ruchu, co zgadza się i z terapeutycznymi własnościami powietrza morskiego.

Zanim zakończymy artykuł ten, winniśmy jeszcze czytelnikowi wyjaśnienie psychologiczne tak dziwnego postępowania Ko-

1) „Świat Kobiety“ № 15.

ściuszki względem człowieka, który ofiarował się towarzyszyć mu i pielęgnować w ciężkiej niemocy w jakiej wskutek ran maciejowickich zostawał i który niezawodnie był do niego szczerze przywiązany. Niema najmniejszej wątpliwości, że ani Kościuszkę o brak serca, ani Niemcewicza o jakiś namacalny powód do nieufności posądzić nie możemy. Wyjaśnienie więc może być tylko psychologiczne; spocząć winno na odmiennym charakterze obu.

Były to istotnie dwa charaktery biegunowo-przeciwne. Kościuszkę był urodzonym stoikiem; Niemcewicz — epikurejczykiem ducha. Kościuszkę był człowiekiem niezłomnych przekonań, pełen poświęcenia dla obowiązku, gotowy wszystko dla niego uczynić, nic nie pragnący dla siebie, poważny i głęboki aż do skrytości. Niemcewicz był poetą — a więc naturą chciwą wrażeń i łatwo się im poddającą, zdolną do czynów podniosłych pod wpływem uniesienia, gotowy na czyny obowiązku wtedy, gdy obowiązek w uśmiechniętej formie do niego przemawia, lecz skłonny do płacziwych żalów, ilekroć w surowej przedstawi się postaci.

Jako umysł wrażliwy i poetycki był także Niemcewicz człowiekiem o instynktach tłumu, skłonny uwielbiać to, co wielbią wszyscy, zmienny w swych sądach stosownie do usposobienia chwili. Kościuszkę przeciwnie, miał temperament bohatera. Nie idąc za sądem ogółu, szukał głębszej, wewnętrznej wartości wypadków i ludzi, a za probierz przy ich ocenie służyły mu niezmiennie przez całe życie zasady.

Nie dziwnego, że przy takim usposobieniu i przy ciasnem pożyciu dłuższem nagromadzać się musiały pierwiastki wzajemnego niezadowolenia. Ujawnia się ono częściowo w dzienniku Niemcewicza, który jest bardzo powściągliwy w stosunku do Kościuszki. Mówi o nim nader rzadko, a gdy mówi, nazywa go inicjałami, a czuć pewne ukryte niezadowolenie w tych krótkich i oziębłych odczwaniach. Prowadzi to nas do warunków, w których znaleźli się obaj w Ameryce.

Był to czas, kiedy wszystko, co przypominało Francję i rewolucję, źle widziane było przez stojące u steru stronnictwo federalistów. Za poprzedniej prezydentury Waszyngtona wydany został poseł francuski Genet, jako przedstawiciel krańcowego demokracji; za obecnej, Adamsa — wydane zostało „Prawo przeciw cudzoziemcom i burzycielom,“ skierowane przeciw stronnictwu demokratycznemu w Ameryce, które miało zwyciężyć na najbliższych wyborach, a do którego należał wiceprezydent Związku — Jefferson.

Federaliści niemiłym okiem widzieli entuzjazm tłumu dla Kościuszki, przyjaciela Jeffersona, zwolennika, jak i on, zasad rewolucyi, przyjaciela Francyi. Kościuszkę zaś zasady zbliżały do tego szermierza demokracji i wolności, oddalając od Waszyngtona i osób rządzących, których wyraźnie unikał. Przeciwnie, Niemcewicza pociągało to, co miało władzę, to co było przedmiotem uwielbień, jak Waszyngton, i przykro mu było, że stanowisko Kościuszki oddalało go od tych, tak interesujących go ludzi, gdy przeciwnie, pociąg, który okazywał Niemcewicz ku nim, i jego niechęć dla demokracji francuskiej, musiały obniżyć go w oczach Kościuszki.

Tak więc zaufanie znikło ze stosunków między nimi. Coraz mniej mogli się rozumieć, coraz w inną stronę zwracały się ich oczy. Dodać należy, że podejrzliwość, jaką otaczał rząd ówczesny wszystkich podejrzanych o demokrację, a Kościuszkę w szczególności, nakazywał mu wielką oględność w postępowaniu.

Gdy więc otrzymał Naczelnik wezwanie do objęcia kierownictwa nad legionami polskimi we Francyi, nie uznał za stosowne dać objaśnień Niemcewiczowi. Wyjechał, nie odkrywając mu tajemnicy i może samego tylko Jeffersona objaśniając o przyczynie nagłego wyjazdu, a swój szczerze demokratyczny nastrój ujawniając w testamencie, przekazującym majątek na wychowanie i wykupywanie z niewoli Murzynów.

WŁADYSŁAW M. KOZŁOWSKI.

SPRAWA REFORMY GMINY WIEJSKIEJ

w Galicyi.

(DWIE KONFERENCYE. LWÓW, 1904.)

Od chwili, kiedy prof. Kleczyński wydrukował swe cenne statystyczne studjum p. t. „Życie gminne w Galicyi“ i odstąpił w niem w całej pełni zanik, jeżeli nie zwyrodnienie, samorządu wiejskiego, wydawało się, że reforma nieuchronna wisi w powietrzu i że o poważnych zmianach w prawodawstwie gminnem usłyszymy lada chwilę. Upłynęło odtąd lat wiele, ujrzeliśmy kilka projektów, kilka rozpraw wskazujących liczne niedostatki, liczne wady życia i organizacyi gminnej wiejskiej w Galicyi, ale o przejściu od poważnej krytyki do istotnego prawodawczego czynu—było zawsze głucho, aż wreszcie w r. 1904 spotykamy się znnowu z pracą krytyczną, która we wstępie nam zapowiada, że sprawa reformy gminnej, a właściwie reformy gminy wiejskiej w Galicyi, staje się coraz pilniejszą. Opinia publiczna nie ma jednak dotąd jasnych wskazań w jakim kierunku iść powinna uznana powszechnie za konieczną reforma, która, wznawiając sprawność administracyjną i gospodarczą gminy i rozszerzając zakres jej zadań, byłaby zarazem pożądaną ze względów narodowych i społecznych. Dowiadujemy się następnie z owej interesującej książki, której tytuł został podany na czele, że stronnictwo krakowskie ma gotowy swój projekt reformy gminnej, którego głównym postulatem jest stworzenie gminy okręgowej, że następnie ten projekt spotkał się z opozycją, z różnych stron pochodzącą i z różnych wynikającą pobudek. Tylko stronnictwa demokratyczne nie mają sformułowanego projektu, na któryby się bodaj w głównych zasadach godziły, nie mają nawet jasno sformułowanych poglądów na tę tak ważną sprawę.

Panuje w tej sprawie w kołach demokratycznych wielka rozbieżność zdań, bardziej jednak pozorna, niż istotna, wynikająca prawdopodobnie stąd, że sprawa nie była należycie, spokojnie i rzeczowo dyskutowaną.

W uznaniu konieczności wyjaśnienia i sformułowania ogólnych zasad reformy gminnej, odpowiadającej interesom narodowym i zgodnej z zasadami demokratycznymi, redakcja „Słowa Polskiego“ zaprosiła na naradę grono osób, teoretycznie lub praktycznie ze sprawami gminnymi obeznanych. Rezultat tych narad odpowiedział oczekiwaniom, pomimo bowiem różnicy poglądów w wielu szczegółowych kwestiach, zebrani zgodzili się ostatecznie na pewne, wspólnie uznane postulaty. Podejmujemy więc, oświadczając „Słowo Polskie“, ogłoszenie drukiem szczegółowego sprawozdania z dwóch konferencyj w nadziei, że wydanie tych materiałów przyczyni się może, zwłaszcza w kołach inteligencji demokratycznej, do wyjaśnienia doniosłości sprawy reformy gminy wiejskiej i wyznaczenia kierunku, w którym ta reforma pójść powinna. Na zaproszenie „Słowa Polskiego“ przybyło 45 osób z różnych stron kraju i ze Lwowa, a między niemi kilku posłów sejmowych z klubu demokratycznego. Przewodniczył obradom i zagał je red. Wasilewski, oświadczając, że jesteśmy ludźmi zasad, nie doktryn; w każdej swej działalności bierzemy za punkt wyjścia stosunki realne, więc i tu nie chodzi nam o narzucenie swoich zapatrywań, o propagandę doktryny, zależy nam raczej na wyjaśnieniu stanu rzeczy i na zebraniu danych do wnioskowania. Dla tego nie zapraszaliśmy szerokich kół; staraliśmy się uprosić ludzi, mających styczność z gminą, posiadających praktyczną lub teoretyczną znajomość stosunków wiejskich, aby się z nami wiedzą swoją podzielili.

Następny mówca (D-r Tarnowski) podziękował redakcyi „Słowa“, że podnosi sprawy doniosłe i skonstatował zarazem to, iż wszyscy wiedzą, że potrzeba reformy gminnej pokutuje w Galicyi od tak dawna, jak dawna jest ustawa o samorządzie. Wielu ludzi kraj miłujących, widząc wady urządzeń podstawowych samorządu, czuło potrzebę zmiany i oddawało się studjom, wiele napisano artykułów, po wielokroć sprawa ta wchodziła do krajowej polityki, jednakowoż dotąd trudności nagromadzonych nikt nie zdołał zwyciężyć i jeżeli dzisiaj, chcąc zaradzić złemu, Redakcyja podejmuje tę sprawę, należy jej się za to uznanie. Pierwszy red. Popławski przeszedł do dyskusyi rzeczowej, zaznaczając, że w Galicyi z kwestyi gminnej zrobiono kwestyę polityczną, a nawet kwestyę partyjną, co sprawie gminnej najwięcej szkodzi, bo traktowanie jej rzeczowe jest bardzo trudnem. Gmina powinna być szkołą życia

publicznego. To jej zadanie pedagogiczne jest ważniejsze, niż jej zadanie administracyjne. Jeżeli zaś gmina ma być szkołą życia publicznego, to wypływa z tego logicznie, że 1-o gmina nie może być organizmem zbyt małym, nie może być jakimś związkim sąsiedzkim, w którym właściwe czynności życia sąsiedzkiego zbyt są uproszczone lub nie istnieją zgoła, 2-o gmina powinna przedstawiać pewną różnorodność składowych czynników, dla tego, że jedynie ich współzawodnictwo lub współdziałanie wytworzyć może interes publiczny; 3-o powinna mieć nie tylko środki dostateczne materialne dla urzeczywistnienia swych zadań zbiorowych, ale i odpowiednie siły intelektualne do kierowania jej pracą. Mówca wspomina o projekcie krakowskim gminy zbiorowej, nadmieniając, że jest jeszcze drugi projekt, będący właściwie hasłem połączenia z istniejącymi gminami sąsiednich obszarów dworskich. To hasło zwie mówca niejasnym i nasuwającym różne wątpliwości. Np. czy obszary dworskie mają zachować pewną samoistność, pewne przywileje, czy nie. Gdy się mówi o gminie zbiorowej, to mimowoli każdy przedstawia sobie gminę okręgową stronnictwa krakowskiego. Tymczasem gmina zbiorowa może mieć najrozmaitsze typy organizacji i może wcale nie odpowiadać typowi gminy okręgowej, który skryształizował się w projekcie stronnictwa krakowskiego. Dostyc wymienić gminę zbiorową w Królestwie Polskiem.

Następny mówca referent (Beck) na podstawie ograniczonej obserwacji gminy górskiej poświęca uwagę poruczonemu zakresowi działania gminy. Sytuacja, jego zdaniem, przedstawia się tak, że ogromna większość wydatków budżetu administracyjnego gminy, to koszta tego zakresu. Zakres ten obejmuje przeważnie sprawy wojskowe i egzekucje podatków. Pod ciężarami z tego tytułu spadającymi na gminę, rozumieć należy nie tylko wydatki w gotówce, ale przede wszystkim t. zw. terminy członków zwierzchności gminnych w starostwie, mitręga czasu i zatrudnienia wójta w gminie w celach wojskowych i podatkowych. Są gminy, w których wójtowie 50 razy i więcej na rok muszą przybywać do starostwa czy do urzędu podatkowego w zupełnie białych sprawach. Jednogodnie zaświadczenia wszyscy wójtowie, że poruczony zakres pochłania cały czas, że na resztę zajęć już głowy wójtów nie ma. Rzeczy tak się mają, że dziś wójt jest sługą, wyższym policyantem, ale nie tem, czem być powinien — opiekunem gminy, gospodarzem majątku publicznego, rozjemcą w sporach, ani wogóle tem, czem chciałaby go mieć ustawa. Administracja gminna jest nadmiernie obciążona wykonywaniem zleceń w zakresie poruczonem, a władze państwowe zamało wchodzą w to, czy gmina może po-

dołać wymaganiom. Przytem naczelnicy gmin są lichy wynagradzani. Są gminy, w których pobierają 30 — 20 i 8 koron rocznej pensyi, a nie mają ani odrobiny poczucia obywatelskiego.

Licho płatny, narażony na wielką stratę czasu wójt, widząc, że podupada w gospodarstwie, wreszcie z wrodzonej chciwości, zaczyna oglądać się za ubocznymi dochodami. Czyni z siebie bardzo ważną figurę urzędową i łupi lud ze skóry przy każdej sposobności. Nawet wójcina każe sobie za darmo szyć koszule, ubranie jakiejś posiadaczce maszyny do szycia. Z wyborów wychodzi też najczęściej taki kandydat, co należy do zamożniejszej klasy albo taki co to potrafi w urzędzie się rozmówić, postawić się u panów i u władz, często wybierają wójtem kogoś dla tego jedynie, że przy drodze mieszka, że dogodnie zająć każdemu po paszport bydlęcy, po świadectwo ubóstwa i t. d. Wójt robi wszystko przeważnie pod przymusem władzy państwowej i samorządnej. Pierwsza może natychmiast egzekwować swoje żądania, druga przemawia w imię obowiązku, potrzeby, pożytku i godności samorządu a o ściągnięcie kar musi prosić pierwszą. Wójt też rozmaicie spełnia rozporządzenia obu władz, dając naturalnie pierwszeństwo poruczonemu zakresowi. W zarządzie majątkiem gminy panuje najogólniej zasada familijna, klasowa. Wójt z radnymi uważają, że dobro gminy i majątek gminny, zupełnie słusznie należy się przede wszystkim im, zamożnym gazdom i kmieciom. Z kasy gminnej korzystają przeważnie oni, drzewo z gminnego lasu cechują przeważnie sobie i t. d.

Ustawa budowlana dla wsi przedstawia się bardzo dodatnio, ale w wykonaniu napotyka na wielkie trudności. Wykonanie jej, to ciągły przymus. Ustawa np. żąda kominów i wychodków; jest to niemożliwe nieraz, gdy po cegłę jechać trzeba ze trzy mile, a więc i komin drogo kosztuje, tymczasem „dym w izbie suszy i grzeje, a przy coraz większym braku opału i tą odrobiną ciepła człowiek się cieszy.“ Wykonanie tej ustawy ma ostatecznie w ręku wójt, a cóż począć, gdy tenże wójt, wczoraj jeszcze przed wyborami, głośno mówił, że ustawa ta, to pański wymysł, a sam ma także izbę bez komina. A wychodki? Trafiło się, że w czasie manewrów cesarskich zmuszono chłopów w kilku wsiach do zbudowania nowych wychodków, w jakiś czas potem pokazało się, że wychodki były pozamykane na kłódki, gdyż nakazano, aby tam było czysto, więc było zupełnie czysto, nawet w paru miejscach zrobiono z tego skład na ziemniaki. To samo jest z ustawą o licencyonowaniu buhajów, to samo z ustawą ogniową i t. d.

Lasy gminne są w Galicyi przeważnie niszczone bez oglądania się na jutro. W kontroli nad gospodarstwem leśnym jaskrawo występuje niedostateczność istnienia dwóch władz. Wydział Rady powiatowej ma obowiązek czuwania nad gospodarstwem leśnym w gminie. Nie mniej jednak nie może wydawać żadnych zarządzeń, gdyż opieka nad lasami wogóle przyznana została władzom państwowym, aby lasy uchronić od trzebieży. Lud atoli potrafił zmylić czujność obu władz i lasy niszczyć. Jedno co powstrzymuje od zupełnej dewastacyi, to obawa przed brakiem opału. Gdy więksi właściciele naokoło lasy wycięli, wtedy gmina swój las szanuje.

Gospodarstwo wspólne na pastwiskach gminnych doznaje zupełnego bankructwa. Nawet w Krakowskim, gdzie chłopci rozumieją znaczenie wspólnego pastwiska i chcą gospodarować na niem dobrze, po jakimś czasie przychodzą do przekonania, że to jest niemożliwe. Każdy kradnie z pastwiska co tylko może, t. j. darninę i glinę. Z pastwiska pozostają jedynie szerokie i głębokie doły i jamy. W pojęciach galicyjskiego ludu każdy członek gromady ma prawo własności do pewnej części majątku czy dobra gminnego. Gdy gospodarz nabywa majątek w innej gminie i tam otrzymuje przynależność, wtedy nie chce zwracać długu zaciągniętego w kasie przemysłowej, utrzymując: to moja część w majątku gminnym, więc ja sobie zabieram. Na podstawie takiego samego rozumowania zabierają darń z pastwiska, drzewo z lasu, nie chcą płacić łączny, długu gminnego, zaledwie pod przymusem opłacając odsetki. Wykonywanie zadań własnego zakresu, to znaczy czuwanie nad bezpieczeństwem osób i ich miemia, staranie o zakładanie i utrzymanie dróg gminnych, mostów i placów, policya polowa, dozór nad przedmiotami żywności, nad targiem, miarą, wagą, policya zdrowia, nadzór nad obyczajnością publiczną, sprawy ubogich, policya ogniowa i budowlana, jednanie stron—wszystko to jest w ogromnej większości gmin rzeczą podrzędną. Co się robi, to tylko za inicjatywą i pod przymusem ze strony wydziału Rady powiatowej.

Gdzie wyjście z tego położenia? pyta mówca i daje na powyższe pytanie następującą odpowiedź. Pierwsze, najistotniejsze zadanie gminy stanowi samoobrona przeciwko naturalnym następstwom zgęszczenia ludzi. Z faktu zamieszkania wielu ludzi w blizkiem sąsiedztwie, może powstać chęć osiągnięcia dodatnich celów, tak np. gminy zakładają nieraz kościoły, szkoły, rzeźnie, piekarnie i t. p. Czy można sobie wyobrazić, jaką pracę zrzeszoną w gminie bez inteligencyi i jej kierownictwa? Tego właśnie pierwiastku brak jest w gminach galicyjskich. W razie połączenia gmin wiej-

skich z obszarami dworskimi, niewątpliwie rzecz zmieniałaby się na lepsze. Trudniejby było tam, gdzie tych obszarów niema. Podobno właściciele obszarów dworskich są przeciwni przyłączeniu tych ostatnich do gminy, obawiając się, że wtedy ich chłopci zniszczą. Mówca sądzi, że obawy te są nieusprawiedliwione. Przyłączony do gminy obszar dworski ponosić będzie ciężar dodatku do podatków gminnych i chłopci, choć mniej, płaciliby ten podatek. Lecz obywatel ziemski, będąc członkiem gminy, może być łatwo wybrany do Rady gminnej; będąc raz w Radzie, może czuwać nad całością spraw, a więc i nad budżetem. Będąc w Radzie, w krótkim czasie uzyska tam wpływ bardzo znaczny. A niech się zdarzy jaka okoliczność, że gmina będzie w jakiej potrzebie, a radny-właściciel obszaru dopomoże gminie coś dla niej uzyskać, kupi sobie wdzięczność Rady i wpływ jego ugruntowany zostanie.

Połączenie gmin kilku w jedną zbiorową, daje podstawę do najlepszych nadziei. Łatwiej dla 5—10 gmin znaleźć jednego rozumnego człowieka, niż liczyć, że te dziesięć gmin znajdą same 10 ludzi o takich samych zaletach. Wójt może i w zbiorowej gminie robić różne ustępstwa i nielegalności swoim krewnym, ale tylko we własnej wsi, inne będą mu już obce! Jeden wójt na kilka wsi będzie miał więcej powagi, a więc i wpływu i znaczenia, niż dzisiejszy wójt sąsiad lub dlatego wybrany, że przy drodze mieszka. Najważniejszą przeszkodę stanowiłyby koszta utrzymania administracyi w gminie zbiorowej. I wójt i pisarz musieliby otrzymywać większą płacę, niż to, co wynosi suma płac w dzisiejszych pojedynczych gminach, które weszły w skład jednej zbiorowej. Ale i dochody gmin, z powodu przyłączenia obszarów dworskich, zwiększyłyby się znacznie. Wszędzie na Zachodzie, gdzie rząd używa związku gminnego do celów ściśle państwowych, udziela ze swej strony temu związkowi pomocy do wykonania jego specjalnych zadań. Nic podobnego nie dzieje się w Galicji. Gmina otrzymuje pomoc w postaci kontroli nad jej władzą wykonawczą, w postaci zasiłków na cele drogowe, obrony pożarnej, wykształcenie pisarzy, hodowlę bydła i t. d., ale to wszystko ze strony reprezentacyi powiatowej. Od rządu nie otrzymuje nic, prócz poleceń i rozporządzeń. Zupełnie uprawnionem jest więc żądanie ze strony gmin o wyrównanie zasług. Podobnież otwarta jest kwestya opieki nad ubogimi. Dziś nędza w gminie danej nie jest winą gminy samej. Dziś np. taka Limanowa jest miasteczkiem, znużdziałem wskutek przeprowadzenia kolei żelaznej. Zbliżenie do Nowego Sącza sprawiło, że miejscowa inteligencja zaopatruje się u lepszych rzemieślników w ubranie, obuwie, meble i sprzęty,

a chłopci wolą kupować tandetę wiedeńską. Z najbiedniejszych gmin znowu emigruje mnóstwo ludności na zarobek, wiele dziewczyn rodzi na emigracji i oddaje dzieci do domu podrzutków. Stamtąd żądają od gminy, odebrania dzieci przynależności matki i zwrotu kosztów utrzymania. Dzieci trzeba odebrać i wychowywać na koszt gminy, skąd się wytwarza dla najbiedniejszych gmin największy ciężar. Zdaniem też mówcy państwo powinno wobec żywiołowej przyczyny nędzy dopomóc gminom do opiekowania się ubogimi.

Następny mówca (pr. Bujak) mniema, że gmina okręgowa miałaby większą siłę i sprawność administracyjną, szybciej załatwiałaby polecenia władz wyższych i odrabiałaby kawałki i mogłaby wywierać większy nacisk na członków gminy, ale byłaby to robota i wpływ mechaniczny. Wyższość okręgowej gminy polegałaby głównie na tem, że gmina mogłaby daleko lepiej spełniać polecenia władzy wyższej. Aby zaś kulturalnie podnosiła ludność ta nowa gmina, tego na pewno twierdzić nie można, niektóre zadania byłyby przez tę nową gminę gorzej spełniane, niż przez dawną. Policja bezpieczeństwa musiałaby mieć agentów w każdej wsi, dlatego że nadzór z jednego miejsca byłby bardzo utrudniony, a zbyt wielu członków policja taka nie mogłaby posiadać. Następnie co do kwestyi dróg gmina zbiorowa w Galicji nie miałaby co do robienia Policji budowlanej również gmina zbiorowa skuteczniejby wykonać nie mogła, aniżeli obecnie. Co do straży pożarnej, to zorganizowanie jednej straży pożarnej w obrębie gminy zbiorowej pomyśleć się nie da. Taka straż pożarna musi być w każdej wsi zorganizowana z osobna, bo w przeciwnym razie mogłoby się zdarzyć, że w jednej wsi byłby naczelnik, w drugiej strażacy, w trzeciej przyrzady. O lekarzach przy gminie trudnoby było pomyśleć, bo koszty takiego lekarza wyniosłyby 600—800 zł. reńsk rocznie. Co się zaś tycze oglądaczy zwłok i oglądaczy bydła, to ci są tak potrzebni w każdej wsi na miejscu, że ludność nie zgodziłaby się nigdy na zcentralizowanie tych urzędów w siedzibie gminy zbiorowej.

Następnie gmina taka nie miałaby znaczenia dla organizacji kredytu wiejskiego w formie kas Raifeisenowskich, bo udzielanie kredytu w tych kasach polega na osobistej znajomości charakteru i stosunków majątkowych dłużników przez zarząd kasy, w gminie zaś, obejmującej kilka wsi, o tem mowy być nie może. Również trudno o takie korzystne dla ludności instytucje, jak ochronka lub żłobek. Zawsze mówi się i pisze, że gmina obecna jest słabą intelektualnie i ekonomicznie, trzeba ją więc w tych dwóch kierun-

kach zaopatrzyć I za środek na to uważa się gminę zbiorową. Mówca nie sądzi, aby tak było. Na wsi mamy trzy kategorie inteligencji: 1) nauczycieli ludowych, 2) duchowieństwo, 3) większych właścicieli ziemskich. Wszystkie trzy kategorie mają możność wpływania bardzo silnego na tok spraw gminnych, mogą nawet do Rady gminnej należeć. Wielkie się nadzieje pokłada w gminie zbiorowej, że potrafiłaby przyciągnąć ku sobie właścicieli dworskich. Sądzić jednak można, że administracyi gmin zbiorowych nie ujęliby oni w swe ręce, bo zbytby to wiele zajmowało czasu i zbytby krępowało. Zresztą nie objawiali oni dotąd ochoty do zajmowania się sprawami gminnymi, gdy przeciwnie szlachta w Krakowie zajmuje się niemi, mimo, że ma dostęp do gminy utrudniony. Po macoszemu zajmują się oni od tylu lat samorządem powiatowym, który przecież w zupełności w ich rękach spoczywa. Stan ekonomiczny gminy dzisiejszej w Galicyi jest odbiciem słabości ekonomicznej całego kraju. W ogóle na cele administracyi gminy zbiorowej możnaby bez podnoszenia obecnych ciężarów, a za równomiernem obciążeniem obszarów dworskich, zebrać około 3000 koron. Kwota ta rozłoży się w ten sposób: pisarz będzie kosztował 1200—1600 koron, wójt, jeżeli gmina nie ma być opanowana w zupełności przez pisarza, jak to jest np. w Kr. Polskiem, otrzyma około 1000 koron a resztę niższa służba. A gdzie znów reszta działalności gminy? A gdzie koszty działalności gromady, której usunąć zupełnie niepodobna? Jednem słowem, trzeba, by dzisiejsze koszta administracyi gminnej powiększyć co najmniej w dwójnasób, aby módz liczyć na jakąś wydatniejszą pracę kulturalną i gospodarczą w gminie zbiorowej. Są to bardzo silne argumenty przeciw gminie zbiorowej.

Ustawa gminna z r. 1866, zdaniem mówcy, nie jest złą, byleby została zmniejszona tak olbrzymia przestrzeń, jaką jest między brzmieniem ustawy a stanem kulturalnym ludności. Była przecież możność łączenia obszarów dworskich z gminami na podstawie specjalnych umów, co do ponoszenia ciężarów. Nikt w tym kierunku kroku nie zrobił, z wyjątkiem dóbr arcyksiążęcych w powiecie Żywieckim. Była możność łączenia gmin małych, jako zbyt słabych do wykonania poruczonego zakresu działania, w większe, atoli nie było ani śladu w tym kierunku. A trzeba by to koniecznie w okolicach Krakowa i na Powiślu, gdzie się głównie mieszczą liczne gminy, niżej 500 mieszkańców liczące. Mówca mniema, że wydziały powiatowe są głównie winne, że gospodarka gminna w Galicyi licho się przedstawia. W powiatach bowiem brak ludzi wykształconych i chętnych do pracy. Wydziały powiatowe nie

zawsze są kierowane przez ludzi prawniczo wykształconych a do działalności publicznej w swym zakresie przygotowanych. Często są one tylko przytułkami dla ludzi nie mających innego zajęcia, którzy nie mogą dać ani wiedzy, ani zapału do pracy. Inna, bardzo ważna wada ustroju gminnego na wsi jest—brak tamże znajomości ustaw. Mogłyby na to poradzić objazdy i wskazówki praktycznie dokonywane. Większe jeszcze znaczenie mógłby mieć podręcznik dla zarządu gminnego wydany pod powagą Wydziału Krajowego. Wreszcie wielkim niedomaganiem dzisiejszej gminy mogłyby zaradzić okręgi pisarskie, jakie już teraz istnieją w Sokolskiem. Praktycznie byłyby okręgi pisarskie ten samem, co gminy zbiorowe, tylko daleko łatwiejsze do przeprowadzenia i bez porównania tańsze. W końcu, zdaniem mówcy, obszary dworskie nie dadzą się usprawiedliwić społecznie ani prawnie. Jeżeli przedsiębiorstwa przemysłowe, leżące w obrębie gmin, muszą ponosić ciężary na rzecz gmin, to dla czego część ziemi, leżąca tak samo w obrębie gminy, ma być wolną od tych ciężarów. Tytuł własności prywatnych nie powinien w dzisiejszych stosunkach nadawać tytułu osoby publicznej urzędu publicznego. Można jednak zrozumieć potrzebę zabezpieczenia powagi osoby wyższej kulturalnie wobec niższych i nadać im pewne przywileje osobiste.

Następny mówca (poseł Buynowski), zarzucając dotychczasowej dyskusyi, iż zesłała na zbyt drobiazgowę tory, oświadczył się za reformą, któraby uchyliła obszary dworskie i do gminy je wcieliła. W głosie następnym zauważono (red. Popławski), że w dzisiejszych warunkach należałoby przyznać głos wirylny właścicielom większych przedsiębiorstw handlowych lub przemysłowych, znajdujących się w obrębie gmin. Prawo do głosu wirylnego musi zależeć od pewnego dosyć wysokiego cenzusu majątkowego. Istnienie drobnych gmin jest niedorzecznością. Gdybyśmy przyjęli 2000 głów, jako nominalną cyfrę ludności gminy, to po przyłączeniu obszarów dworskich, dosyć znaczna liczba gmin dotychczasowych odpowiedziałaby tej normie. Ludność włościańska obawia się i poniekąd słusznie gminy okręgowej z mianowanym wójtem gminy, zastosowanej raczej do wymagań administracyi, niż do wymagań samorządu. Dzisiejsza gmina austriacka jest wytworem biurokracyi i nie tak długo istnieje, żeby lud się zżył z nią i uważał ją za nietykalną. Za dużo się mówi zwykle o konserwatyźmie chłopskim, jak gdyby lud nie był dostępny argumentom rozumu i interesu publicznego.

Jeden z mówców (p. Rawita Gawroński) zauważył, że gmina polska zawsze jest łatwiejszą do kierowania i do porozumienia się

z każdym obszarem dworskim, który jest również tejże samej narodowości. Tymczasem z gminą ruską dzieje się zupełnie inaczej. Są tu dwa wrogie sobie obozy. Gminy zachowują się zawsze wrogo wobec obszarów dworskich. Polityczna kontrola zostawia w tych gminach wiele do życzenia, rzucając gminę na lep najrozmaitszych agitacyj. Księża w gminach stają się zwykle przewodnikiem złego. Ustawa powinna taką ich rolę przewidzieć i jej zapobiedz, inaczej gmina zostanie ogniskiem nie pracy, tylko agitacyj, jak się to dziś dzieje. Ostatecznie mówca przechodzi do następnych dezyderatów: Niech sobie gmina pozostanie taką, jaką jest obecnie, nie mniejszą, nie większą, jak jest dziś, a obszar dworski pozostanie jednostką zupełnie samodzielną. Ale niech mają prawo wszystkie inteligentne jednostki, zamieszkujące w gminie, należeć z ustawy do Rady gminnej. Wtenczas Rada gminna będzie miała żywioł inteligentny daleko większy i będzie mogła przeciwdziałać agitacyi różnych księży i paraliżować niedołęstwo wójtów. Jedna osoba właściciela obszaru dworskiego w Radzie, będzie tylko kroplą w morzu. Inny z mówców zauważył znowu (red. Panek), że koniecznem jest: ograniczenie rozporządzeń, krępujących działalność gminy, ograniczenie nadzoru ze strony Rad powiatowych, a zwłaszcza starostwa, wprowadzenie kontroli i odpowiedzialności władzy gminnej przed ludnością gminy i wreszcie rozszerzenie udziału jej w sprawach gminnych. Mówca sądzi, że te ostatnie punkta możnaby osiągnąć przez zaprowadzenie zebrań gminnych. Przed takim zebraniem, przynajmniej raz w roku zwoływanem, powinna Rada i zwierzchność gminna składać sprawozdanie ze swych czynności i żądać za nie absolutoryum. Takiemu zebraniu gminnemu można też niektóre najważniejsze sprawy oddać pod ostateczną decyzję, np. co do rozporządzenia własnością gminną i przyjęcia budżetu. W ten sposób cała ludność gminy byłaby bezpośrednio wciągniętą w sprawy gminne, uczyłaby się w nich oryentować i rozumieć interes publiczny.

Następny mówca (Pierożyński) oświadczył kategorycznie, iż należy się liczyć z faktem niezawodnym, że lud wiejski sprzeciwi się reformie, gdyż gminę dzisiejszą odziedziczył on z dziada pradiada, do tego dziedzictwa jest on przywiązany i nie da go sobie dobrowolnie odebrać. Dowodem tego liczne, do dziś istniejące małe gminy, które wołają płacić po sto kilkadziesiąt procent dodatków gminnych na własne istnienie a nie chcą dobrowolnie przyłączać się do drugiej gminy. Pod względem praktycznym zaś gmina okręgowa przysporzyłaby tylko nowe obciążenie ludności, nowe wybory i jeszcze jedną instancję, wreszcie przeciw gminom

okręgowym przemawia topograficzne położenie gmin pojedynczych. Weźmy cały szereg gmin górskich i na Podolu. Jakże złączyć gminy odległe od siebie nie raz na milę i więcej, a nadto pozbawione między sobą jakiej takiej komunikacji, w gminę okręgową. Należy sobie postawić pytanie: kto będzie wykonywał podobną ustawę? Odpowiedź krótka—ci sami ludzie, co dziś istnieją. Wykonują oni źle swe obowiązki, a tem samem i ustawę, gdyż niema ludzi wykwalifikowanych i są oni źle płatni. Wśród podobnych warunków o podobnej reformie mowy być nie może. Nie można bowiem zaczynać reformy od góry, jeśli sprężyna, t. j. piasarz gminny jest zły i nieodpowiedni i nie pomyślało się o tem, aby najpierw przygotować odpowiednich ludzi do należytego wykonywania ustaw. Istnieje jeszcze drugi pomysł łączenia gmin podług ilości mieszkańców lub nawet podług parafij. Pierwszy z tych projektów, ilość mieszkańców, ma te same wady i trudności, co gmina okręgowa; drugi projekt tworzenia gmin, podług parafij, byłby jeszcze bardziej niewykonalny zarówno ze względów podanych przy gminie okręgowej, jak i ze względów krzywdy, na jaką narażonąby była mniejszość, czy to obrządku rzymsko- czy grecko-katolickiego, jak wreszcie z uwagi, że parafie obejmują w Galicji nie tylko kilka, ale i kilkanaście gmin samoistnych. Mówca twierdzi stanowczo, że łączenie gmin jest kwestyą palącą tylko w tych wypadkach, gdzie się ma do czynienia ze słabą gminą, położoną blisko drugiej, lub gdzie istnienie gminy wiejskiej wprost szkodzi bytowi i rozwojowi wsi, miasta lub miasteczka. Takie gminy powinny być, z urzędu zatem i wbrew ich woli, wcielone do silniejszej

Dalszy mówca (Doerman) zauważył, że przyłączenie obszaru dworskiego do gminy zdaje się posiadać pod względem narodowym znaczenie dodatnie. Obszary bowiem znajdują się przeważnie w rełkach polskich, a zastępca dworu byłby zwykle Polakiem, przytem zaś człowiekiem inteligentnym. Ksiądz ruski, który wszędzie na miejscu jest, a jest rozsądnikiem agitacji wrogiej, miałby kogoś, z kimby się musiał liczyć, agitacja zaś zyskałaby przeciwwagę. Co się tycze ekonomicznej strony, to zarzuty czynione projektowi gminy zbiorowej nie ze wszystkiem są usprawiedliwione. Dzisiaj gospodarka majątkiem gminy jest poniżej wszelkiej krytyki, przestarzała, ekstenzywna, prowadząca do uszczuplenia majątku narodowego. Gdyby zaś gminy zbiorowe powstały, to pożytek z połączenia majątków i dóbr gminnych, mógłby być tem większy, bo racjonalna gospodarka obszarów większych, zatem znaczniejsza jednostka ekonomiczna, mogłaby być o wiele wydatniejsza. Wresz-

cie związki obszerniejsze gmin, nie narzucone z góry szablonem ustawy, oparte na pewnych lokalnych potrzebach, miałyby rację bytu. Dowodzi tego poniekąd pewna ewolucya, dokonywająca się obecnie zupełnie samodzielnie. W powiecie Tarnopolskim potworzyły się związki gmin sąsiednich w rozmaitych specjalnych celach i tak np. istnieją w powiecie okręgi pożarne. Kilka gmin (6—8) razem tworzy okrąg pożarny. Jedna z nich jest siedzibą strażaka okręgowego, który jest ukwalifikowanym strażakiem. W razie pożaru wszystkie gminy wysyłają swoich strażaków i sikawki do ognia, gdzie komendę nad nimi obejmuje strażak okręgowy, a praktyka wykazuje, że w akcji ratunkowej daje to bardzo praktyczne rezultaty. Doświadczenie przeczy zatem wywodom d-ra Bujaka, wedle których zasada zbiorowości miałaby być dla pożarnictwa szkodliwą. Co do administracji znowu, istnieją w kilku powiatach, np. w Tarnopolskim, Sokalskim, t. zw. okręgi pisarskie. Wreszcie organizacya kredytowa posługuje się pewną formą zbiorowości. Mianowicie kasy systemu Raiffeisena, obejmujące kilka wsi, zarządzają całą parafię, prosperują wówczas bardzo dobrze.

Streszczenie z drugiej konferencji może być daleko krótszem, albowiem na pierwszej zarysowało się wyraźnie i dostatecznie przeciwieństwo poglądów na reformę gminy galicyjskiej. Otóż na drugiej konferencji zauważył jeden z mówców (Pierozżyński), iż kwestya wcielenia obszarów dworskich jest już w takim stadium, że wkrótce do skutku przyjść musi. Sprawa ta obejmuje coraz szersze kręgi ludności, przyzwyczajają nawet do niej tych, którzy zasadniczo są jej przeciwni, tak, że powoli kwestya ta sama, siłą faktu, pewnego dnia, na stosowny wniosek w Sejmie, przyjdzie z wielkim aplauzem i ostentacyjnie. Kwestya wcielenia obszarów dworskich jest jednak bardzo trudna do rozwiązania właśnie z tego powodu, że nie wiadomo właściwie, na jakiej podstawie i w jakim stosunku obszar dworski miałby obowiązek przyczynić się do kosztów administracji gminy, a nadto, co nie mniej bardzo ważne, jak w razie wcielenia obszaru dworskiego do gminy, unormować wykonywanie policyi na terytoryum obszaru dworskiego, na obejściu dworskiem. Wcielenia obszaru dworskiego do gminy chyba jedynie ze względu na polepszenie administracji życzyliby należało. Reprezentacya bowiem gminy zyskałaby w osobie choćby oficjalisty prywatnego, który coś więcej potrafi, który tę gminę do lepszej administracji doprowadzić może. Ale są powiaty południowo-zachodnie (dobra arcyksięcia Albrechta), gdzie nie istnieją obszary dworskie od samego początku wejścia w życie ustawy gminnej. Otóż administracya w tych gminach jest taka

sama, jak i w innych. Oficyaliści tam zależni są od służbodawcy i dlatego obowiązani są czuwać nad tem, aby gmina niewprowadzała takich wydatków do swego budżetu, któreby wymagały znacznego podwyższenia dodatków, zawsze się więc im sprzeciwia i widziący ten skutek, że gminy są fatalnie administrowane, a przy najmniej nie odpowiadają swemu zadaniu.

Jeden z następnych mówców (Panek) zauważył, że interes narodowy wymaga tego w całej Galicji, aby zmniejszyć przedział, jaki istnieje między dworem a wsią, przedział odsuwający obie strony od siebie i od wspólnej pracy. Szczególniej jest ta sprawa ważna, z punktu widzenia narodowego, w Galicji wschodniej. Dwory są tu bowiem polskie, a te, uzyskawszy wpływ na sprawy gminne, będą mogły przeciwdziałać hajdamackim robotom czynników, na których łup dzisiaj gmina wiejska wydana została. Tym czynnikom trzeba przeciwstawić wpływ polski. Inteligentny przedstawiciel dworu będzie miał przewagę umysłową, a na przewagę materyalną chłop jest wrażliwy. Niemniej ważnem jest i to, że mniejszość polska znajdzie w przedstawicielu dworu obrońcę swych interesów w gminie. Koszta, jakie z takiego połączenia wynikną, nie będą zbyt wielkie, a to, że się odda dwór pod panowanie chłopów, zwłaszcza ruskich, nie powinno przestraszać, bo zawsze przewaga dworu będzie tak wielką, iż raczej obawiać się trzeba, że dwór zawładnie gminą i będzie jej narzucał swoją wolę. Gmina przytem nie może nałożyć żadnego specjalnego podatku na dwór, a jeśli nałoży jaki podatek, to tak samo i na siebie, a wiadomo, że chłop do ponoszenia ciężarów publicznych nie bardzo jest skory. Względ administracyjny przemawia stanowczo za łączeniem gmin małych we większe jednostki. Poza punktem administracyjnym niema żadnego słusznego względu, któryby się łączeniu gmin sprzeciwiał, z wyjątkiem pewnych trudności przy przeprowadzeniu, lecz trudności napotyka się przy każdej zmianie. Połączenie więc 2—4 bardzo małych dzisiaj gmin w jedną większą, byłoby korzystną reformą gminy.

Następny mówca (Sawczyński) był także zdania, że rozdział gminy od dworu wydał złe owoce, albowiem tym sposobem usunęło to możność zatarcia dawnych antagonizmów, a stworzono z obszarów nowy zaród przeciwieństw i rozdwojeń. Z wcieleniem obszaru dworskiego do gminy odpadłaby ta ujemna strona teraźniejszego stanu rzeczy, że w gminie niema ludzi i że skutkiem tego szwankuje niezmiernie wykonanie ustawy. Dzisiejszy rozwój agitacji ruskiej, dzisiejsza nienawiść ruska do naszego społeczeństwa, do naszych rządów, w znacznej części zostały ułatwione

przez to, że się więksi właściciele dali z gminy wyrzucić, że z tego pola pracy, na którym najłatwiej zaskarbić sobie uznanie i wdzięczność interesowanych, dobrowolnie ustąpili i przez to ją stracili na rzecz tych elementów, które tam dziś rej wodzą. Prócz tego większy właściciel, pozbawiony możliwości pracy w gminie, na tem najbliższem polu zdobywania zasług obywatelskich, ograniczony do pracy jedynie w Radach powiatowych, do których winna prowadzić droga tylko przez zasługi w gminie, wszedł ten element naturalnym tokiem rzeczy na drogę zdobywania mandatów w powiecie często nie zasługą rzetelną, ale zabiegami, staraniami, a nie-raz i pieniędzmi. Co do gmin zbiorowych, mówca sądzi, że one jeszcze i z innych powodów nie są właściwą formą w Galicyi. Mówca odpiera argument redaktora Popławskiego, który powołał się na Królestwo Polskie, że gminy zbiorowe przyjęły się tam z reformą Wielopolskiego bardzo łatwo. Pamiętać bowiem trzeba, że to nie były gminy, które przed tą reformą korzystały przez 40 lat z ustawy podobnej do ustawy galicyjskiej. Odebrać tym gminom rozmaite rzeczy, do których nawet nie przywiązywały wagi, znaczy wywołać w kraju krzyk i opór. W końcu muszę zwrócić uwagę na jeszcze jeden głos (dr. Bujak), w którym zaznaczono, że gdy tylko mowa o gminie zbiorowej, wszyscy mają na myśli projekt gminy zbiorowej okręgowej partii krakowskiej. Niestety, powiada mówca, nie mamy innego podkładu, mamy ten projekt, albo też gminę w Królestwie, którą również dobrze zna p. Popławski i której wielkie zalety uznaje, naturalnie w przyszłości, bo obecnie jest ona bez wartości.

Na tem kończę część sprawozdawczą i w następstwie pozwolę sobie uczynić kilka uwag, odnoszących się do treści poważnej oraz interesującej owych konferencyj, które miały na względzie od wielu lat palącą kwestyę reformy gminy wiejskiej w Galicyi. Kiedy ukazał się bogaty materiał statystyczny, oświetlający gminne stosunki w Galicyi, a przede wszystkim, gdy się ukazała praca prof. Kleczyńskiego p. t. „Życie gminne w Galicyi,“ zdawało się, że kwestya reformy gminy wiejskiej w Galicyi nie zejdzie na chwilę z porządku dziennego, dopóki w sposób dający nadzieję polepszenia stosunków, urzeczywistnioną nie zostanie. Pozostawiono jednak życie gminy wiejskiej w Galicyi naturalnemu rozwojowi w tem przekonaniu, że przymusowa reforma jest zbytęczną, albowiem społeczeństwo uświadomione o źródłach wszelkiego złego, samoistnie, choć częściowo, przeprowadzi pożądane zmiany i uczyni interwencyę prawodawcy zbytęczną. Jeszcze w dziesięć lat później ukazały się: Materiały do reformy gminnej w Galicyi, zesta-

wione także z polecenia Wydziału Krajowego przez d-ra Witolda Lewickiego (1888), z których się niezbitcie okazało, że życie gminne w Galicyi stoi mniej więcej na tem samym stanowisku, jak wówczas, gdy prof. Kleczyński pisał swoje cenne studyum, oraz że dzieło reformy pozostało w krainie projektów. Czy w przeciągu lat 18 ukazały się nowe materiały statystyczne, wydane z polecenia Wydziału Krajowego, o tem nie wiem napewno, ale przypuszczam, że gdyby się były ukazały, wywołałyby nowe projekta reformy gminy wiejskiej. Tymczasem po pracach Wrotnowskiego, prof. Kasparka reformie gminnej poświęconych, ukazał się jedynie w r. 1901 „Ogólny projekt ustroju gmin wiejskich i małowiejskich“ (B. W. B.). Sprawa więc paląca od r. 1865 i niezłatwiona, zdawała się mniej interesować społeczeństwo galicyjskie, niż dawniej i po części przybierać kształty mytycznego węzła gordyjskiego, o którego rozwiązanie, czy rozcięcie, nikt nie uważał za stosowne się starać. Podjęcie więc sprawy pierwszorzędnej dla Galicyi, a od kilkunastu lat jeżeli nie zapomnianej, to w każdym razie nieco zaniedbanej, stanowi myśl szczęśliwie podjęta przez tych, którzy konferencyę urzeczywistnili i wydrukowali uwagi na niej wygłoszone.

W gronie konferencyjnym spotykamy się z ludźmi nauki i doświadczenia, zdobytego na urzędowych stanowiskach, pozwalających należycie zgłębić i zrozumieć życie gminne. W konferencyach nie spotykamy się z pustymi frazesami, zapożyczonymi od doktrynerów, biorących rozbrat z rzeczywistością a przedewszystkiem z życiem i doświadczeniem Galicyi. Wszystkim mówcom chodzi też przedewszystkiem o prawdę, o pożytek, o dobro Galicyi, a nie o frazes retoryczny, ani olśniewanie wyobraźni arcydoskonałą i dotychczas niebywałą reformą. Jeden z ostatnich mówców oświadczył, że na konferencyach „wszyscy godzimy się na niektóre sprawy, wszyscy jesteśmy przeciwnikami gminy okręgowej“ i t. d. z tem wszystkiem przyznać trzeba, że wśród głosów konferencyjnych spotykamy, wprost przeciwne poglądy, nie tylko na główne podstawy organizacyi gminnej, ale nawet i na zadania samorządu gminnego. Skąd płynie taka rozbieżność myśli, a skąd powstaje owo skrajnie przeciwne ocenianie faktów, na które wszyscy patrzą codziennie, począwszy od 1866 roku? Dlaczego np. gdy jednemu z mówców wydaje się łączenie gminy z obszarem dworskim koniecznym, a wpływ większego właściciela zbawiennym — drugiemu nasuwa owo łączenie liczne wątpliwości, a obecność i praca jednego lub kilku wreszcie większych właścicieli w gminie, rzeczą wprost bagatelną, która wielkiego wpływu na rozwój życia gmin-

nego mieć nie może. Zdaje się, że na owe przeciwieństwa zdań i poglądów wpływał przeważnie brak dokładnych statystycznych danych z Galicji i Bukowiny, t. j. z tych krajów koronnych, które posiadały podobnie rozszczerzoną organizację gminną. Naturalnie, że mowa być może tylko o statystycznych danych z ostatnich lat kilkunastu, w których odbywały się, choć rzadko, dobrowolne połączenia gmin z obszarami dworskimi. Właśnie w głosach mówców brak pewności: czy się takie połączenia odbywały, następnie, ile takich faktów znamiennych miało miejsce, a wreszcie, jak się rozwijał samorząd w takich gminach, nazywanych zbiorowemi. Gdy jeden mówca zapewnia, że w takich zbiorowych gminach nie mogłaby być zorganizowana straż pożarna, drugi przytacza nieliczne wprawdzie wypadki, w których właśnie w takich połączonych gminach straż pożarna funkcjonowała należycie. W innych znowu głosach spotykamy powątpiewanie: czy reformy w kierunku połączenia gmin mogłyby oddawać jakikolwiek pożytek w gminach górskich w stosunku do podgórszych i płaszczyźnianych i czy warto dla nielicznych wyjątków odrzucać reformę, któraby była zbawienna dla znacznej większości gmin wiejskich w Galicji.

Drugi niedostatek, który dostrzegać się daje u wszystkich, i to bez wyjątku, mówców, jest niedokładna, jeżeli nie błędna znajomość historii samorządu wiejskiego w Królestwie Polskiem, zwłaszcza od r. 1864. Dawniej wskazywałem, że prof. Kasperek, powołując się na stosunki w Królestwie Polskiem, zasadniczo się myli, co więcej, nawet Wrotnowski, który był świadkiem naocznym owych zmian w Królestwie Polskiem, niezawsze je należycie rozumiał, co można tłumaczyć chyba tem, że życie wioskowe nie wiele go zajmowało wśród jego zawodu prawniczego. Jeżeli u przytoczonych autorów uderzał brak gruntownej znajomości życia gminnego w Królestwie Polskiem i jeżeli powoływanie się na to życie w celu przekonania o potrzebie reform gminnych wiejskich w Galicji, nie zawsze można było nazwać szczęśliwem, to i wśród konferencyjnych mówców rzecz się miała nie o wiele lepiej. Przedewszystkiem żaden z nich nie znał historii samorządu gminnego wiejskiego w Królestwie Polskiem, począwszy od r. 1864. Zarzut uczyniony mówcom konferencyjnym muszę natychmiast złagodzić tą uwagą, że zapoznanie się z ową historią było bardzo trudne, albowiem wówczas nie było jeszcze drugiego wydania pożytecznej pracy Konica p. t. „Samorząd gminny w Królestwie Polskiem,” a następnie i powyższa książka dawała jedynie całokształt samorządnej, administracyjnej działalności gminy wiejskiej, ale nie kre-

śliła jej historii w znaczeniu nie tylko prawniczym, lecz i społecznym. Dla tego też spotykamy wśród konferencyj głosy, które razić muszą każdego, kto stykał się w chwili obecnej, czy też w przeszłości z życiem gminnym w Królestwie Polskiem, jak np. spostrzeżenia tego rodzaju, że gmina dotychczasowa w Królestwie nic nie jest warta, że może w przyszłości dopiero nabierze pewnej doniosłości; że całe życie gminne w Królestwie spoczywa w ręku pisarzy gminnych, którzy bezceremonialnie krepują rozwój samorządu gminnego; lub w końcu, że w Królestwie przyjęła się gmina zbiorowa Wielopolskiego, z której Galicya mogłaby do pewnego stopnia brać wzór do naśladowania. Co się tycze owej zbiorowej gminy Wielopolskiego w Królestwie Polskiem, to daremnie się trudziłem odszukaniem jej w rzeczywistości. Taka gmina bowiem nie istniała w Królestwie. W r. 1862 opracowano tylko ogólne zasady, które miały przewodniczyć przyszłej ustawie dla gmin wiejskich. W Lisickiego pracy, Wielopolskiemu poświęconej, znajdujemy tylko projekt do Ustawy gminnej (T. III, str. 440), który nie wszedł nigdy w życie, a w dodatku opierał się na odmiennych zasadach, aniżeli w r. 1862 istniejące urzędnictwa gminne oraz wprowadzone w r. 1864 do Ustawy gminnej. Na zarzuty uczynione gminie w Królestwie Polskiem (od r. 1864), że w przeszłości nic nie była warta i tylko w przyszłości może mieć pewne znaczenie, oraz, że w samorządzie gminnym Królestwa pisarze gminni samowolą krepowali życie gminne—odpowiadać nie będę. Mam bowiem nadzieję, że kilka uwag, które historii samorządu gminnego w Królestwie poświęcę, będą dostatecznym wyjaśnieniem powyższych kwestyj.

Ponieważ ustawa o gminach wiejskich w Królestwie Polskiem z 1864 roku usunęła wszelki rozdział obszarów dworskich i gminnych, stwarzając na to miejsce jednolity organizm prawa publicznego, przeto ważnym i doniosłym są dla Galicyi następstwa, jakie w Królestwie powyższy stanowczy przepis prawodawczy wywołał. W Galicyi bowiem, pomimo że większość inteligencji stanowczo się przeciw rozdziałowi oświadczyła, istniał on i istnieje po dziś dzień, opierając się skutecznie dobrowolnemu zjednoczeniu. W przymusowym połączeniu upatrywano zawsze pewne niedogodności czy niebezpieczeństwa, a nie można powiedzieć, aby owa wyjątkowa trwożliwość była tylko udziałem austriackiego prawodawcy. W Prusach, gdzie już w r. 1867 uważano połączenie obszarów dworskich (Gutsbezirk) z gminnymi za pożądane, nie śmiano wyrzec słowa „przymus“ i widziano w nim różne niedogodności. Przebieg zatem sprawy przymusowego zjednoczenia, jaki miał

miejsce w Królestwie Polskiem winien przedstawiać dla galicyjskiego społeczeństwa duży interes, albowiem z tego przebiegu będzie ono mogło wnosić, czy uzasadnione są liczne jego obawy i czarne przewidywania.

W chwili, kiedy w Królestwie Polskiem wprowadzono ustawę gminną z 1864 r., stosunek włościan do większych właścicieli był nieco podrażniony sprawą przeprowadzonego jednocześnie uwłaszczenia. Organizację gminy oparto na demokratycznej zasadzie „zebrań gminnych“ i wśród większości obywateli powstało podejrzenie, że za pośrednictwem owych zebrań będzie można majoryzować większych właścicieli, albowiem cała włościańska rzesza da się z łatwością prowadzić naczelnikom powiatu i komisarzom uwłaszczającym. W początkach też rozwoju życia gminnego większa własność trzymała się na uboczu. Na zebraniach gminnych bywano rzadko i z niechęcią, albowiem, jak wówczas mawiano, na co się zda jednemu albo kilku obywatelom pokazywać się całej niechętniej masie. Starać się o wybór na wójta uważali obywatele przede wszystkim za upakarzające dla siebie. Naczelnicy powiatu, razem z komisarzami uwłaszczającymi, mogli łatwo wyrzeć wpływ na korzyść swego kandydata, a następnie urząd wójta był w takiej zależności od naczelnika powiatu, że trudno się było narażać obywatelowi na przykrości i upokorzenia, które nań mogły spłynąć w każdej chwili: czy to w dobie wyboru, czy podczas urzędowania. A jednak i w tej smutnej dobie, która się ciągnęła od 1864 do 1875 r. ukazały się drobne, ale światlejsze promienie. Nie tylko, że powoli obywatele ziemscy zaczęli zjawiać się na zebraniach gminnych, ale i pozwalac się wybierać na urząd wójta gminy. Gdzie się tylko zjawili w jednym czy w drugim charakterze, wywierali wpływ magiczny na sprawy gminne i przywiązywali do siebie masy włościańskie. O jakimkolwiek majoryzowaniu większych właścicieli przez włościan nie było też mowy, począwszy od r. 1864 aż do 1875, t. j. w epoce najsmutniejszej. Zapewne, na drobne nieprzyjemności bywał czasami narażony większy właściciel i włościanie, podjudzani przez pisarzy gminnych, których się wójt po większej części obawiał, okazywali się dworowi niechętnymi, ale przyznać trzeba, że każdy rok przynosił zmianę stosunków na lepsze, budząc świadomość włościan oraz zrozumienie należyte samorządu gminnego. W ciągu pierwszej epoki samorządu w Królestwie Polskiem dały się uczuć włościanom niedogodności, płynące z sądów wójtowskich (z ławnikami), które były przeważnie w rękach ludzi ciemnych i wrażliwych na materialne korzyści. Właśnie, gdy sądy wójtowskie dokuczyły w dostatecznym

stopniu włościanom, Ukaz z 1875 roku odłączył od urzędu wójta wszelkie funkcyje sądowe, odebrał mu ławników i stworzył odrębne a powiększone gminy sądowe, w których funkcyonował wybieralny sędzia gminny z ławnikami. Włościanie z głosami swojemi zwrócili się, rzecz można, instynktownie ku większym właścicielom i to nie tylko wtedy, gdy chodziło o urząd sędziego, ale i o skromniejszą godność ławnika. Nie pomogły zupełnie wpływy naczelników powiatów i komisarzy uwłaszczających; zawsze słyszano kategorię: szlachcic nie sprzeda sprawiedliwości za łyżkę barszczu i od niego się tylko można doczekać należytej opieki. Tym razem obywatele, nie będąc narażeni na dokuczliwą podległość naczelnikom powiatów, nie tylko przyjmowali, ale i starali się o wybór, a uwzględniając w sądeniu spraw spadkowych miejscowe zwyczaje, czego nie potrafiły dawne sądy wójtowskie, zdobyli sobie wobec kraju i wobec masy włościańskiej pierwszorzędną zasługę. Sądy gminne z 1875 r. sprawiły, że zapomniano zupełnie o dawnym uprzywilejowaniu stanowisku własności większej ziemskiej, a uważano jej reprezentantów za sąsiadów, za oświeconych opiekunów, do których można się było na pewno udać w każdej potrzebie. Nie dość na tem; w r. 1879 przybyła nowa wybieralna godność pełnomocnika gminy, która kontrolę nad gospodarstwem publicznem gminy uczyniła ściślejszą i sprawowaną przez inteligencyę miejscową, reprezentowaną przez większą własność. Naturalnie, że i tam na urząd powoływano przeważnie obywateli, którzy go wykonywali bezpłatnie. Rzesza włościańska więc, poczynszy od r. 1879, widziała większych właścicieli gorliwie się gminie wysługujących nie tylko na polu wymiaru sprawiedliwości, ale i w celu zaprowadzenia ładu i porządku w publicznem gospodarstwie gminy.

Wobec wznagającego się udziału właścicieli większych w życiu gminnem, zmniejszyć się musiały ujemne wpływy, jakie się dawniej ukazywały pod postacią ciemnych wójtów, prowadzonych na pasku przez pisarzy gminnych, oddanych znowu ślepo naczelnikom powiatu. Wójt gminy radził się zwykle sędziego i pełnomocnika gminnego, a widząc w nich życzliwość i należyte zrozumienie spraw gminnych, stawał się niepodleglejszym i pewniejszym wobec naczelnika, a cóż dopiero wobec pisarza gminnego, wybory też na wójta i pisarza trafiały zwykle na lepszy materiał niż dawniej, t. j. w pierwszej epoce od 1864 — 1875 r., nie mówiąc już o tem, że właściciele więksi przyjmowali częściej wybór na wójta i przyczyniali się na tem stanowisku do rozwoju samorządu gminnego. W roku 1887 ukazała się praca Ludwika Górskiego p. t.:

„O znaczeniu i obowiązku większej własności ziemskiej w Królestwie Polskiem.“ Praca ta, której wysoką doniosłość podnosiłem swego czasu, zaznaczyła w sposób kategoryczny, że najkardynalniejszym obowiązkiem większego właściciela jest branie czynnego udziału w samorządzie wiejskim i pracowanie nieustanne a wspólne w gminie nad dobrem lokalnym publicznem. Od chwili, kiedy się ukazała książka Ludwika Górskiego, upłynęło lat blisko dwadzieścia, które były bez żadnej przerwy postępem ku dobremu. Zasady, wypowiedziane przez Ludwika Górskiego, jeżeli mogły w swym czasie spotykać się z drobnymi wątpliwościami i niechęcią dawnych uprzywilejowanych, dworskich właścicieli, to obecnie nabrały doniosłości kodeksu obowiązków większych właścicieli względem gminy. Dziś, dzięki wspólnej codziennej pracy w gminie, niema tego, co w Galicyi, „Pan sobie, chłop sobie,“ albo „naj bude, jak buwało,“ ale zarówno wśród włościan, jak i wśród potomków uprzywilejowanych panów dworskich, panuje mocno ugruntowane przekonanie, że jedynie zgodą i pracą wspólną mogą stworzyć ów samorząd, który będzie szkołą dojrzałości i miłości dobra publicznego. Dopiero też, pracując razem w samorządzie gminnym, przekonali się wszyscy, że publiczny interes gminy jest prywatnym interesem każdego z obywateli gminnych i zgodnie z anglo-saksońską zasadą „public business is a private business of everyman.“

Połączenie więc przymusowe obszarów gminnych z dworskimi w Królestwie Polskiem, pomimo że się odbyło pod niepomysłnemi auspicjami i zdawało się zapowiadać drogę Golgoty dla większych właścicieli, wywołało następstwa, zdaje się, wprost przez nikogo w r. 1864 nie przewidywane. Nie zapobiegły dobroczynnemu zbliżeniu włościan do większych właścicieli, ani chaotyczne zebrania gminne, zafukiwane długo przez władze administracyjne powiatowe, ani odstraszenia większych właścicieli od bywania na zebraniach, przyjmowania wyboru na wójtów i t. p. Przeistoczenie dawnego pana dworu w obywatela gminy i to obywatela światłego, a przede wszystkim ofiarnego, odbyło się w ciągu czterdziestu lat najkompletniej i nawet strejki rolne z bieżącej doby nie zapobiegły temu, że to poczucie obywatelskie względem gminy rozwijać się będzie w Królestwie Polskiem w dalszym ciągu. Jakkolwiek więc zadania samorządu gminnego nie rozwinęły się w Królestwie ponad miarę i nie są w stanie zaimponować Galicyi, to jednak usposobienie większych właścicieli w Królestwie, którzy z zaparciem się, poświęceniem i ofiarnością pracują w gminie w jednym szeregu z włościanami, powinno zwrócić uwagę społeczeń-

stwa galicyjskiego. Poczucie obywatelstwa gminnego, jakie się rozwinęło w pełny kwiat u właścicieli większych w Królestwie, zyskało sobie uznanie wśród rzeszy włościańskiej. Wszędzie obywatel ziemski traktowany jest przez włościan, jako opiekun, jako starszy i światlejszy brat, wreszcie jako sąsiad, któremu wyrządzają czasami sąsiedzkie usługi, nie chcąc brać za nie pieniężnego wynagrodzenia. Trudno się też dziwić owemu krzewiącemu się coraz gęściej i serdeczniej porozumieniu, bo włościanin coraz częściej się spotyka z dowodami ofiarnej opieki większych właścicieli. Kiedy gminy w Królestwie nie posiadają dotąd swoich lekarzy, właściciele więksi sprowadzają zwykle lekarzy do swych ludzi folwarcznych i pozwalają z nich korzystać, naturalnie tytułem darmym, włościanom. Przy zakładaniu sklepów spożywczych, gospód, w miejsce dawnych karczem, wreszcie czytelni ludowych, właściciele więksi odznaczali się ofiarnością i należytem zrozumieniem zadania, jakie dawniej okazywali w dziedzinie ludowego szkolnictwa. Wreszcie w ostatnich latach niektórzy więksi właściciele (hr. Jerzy Moszyński) otworzyli włościanom kredyt na odpowiednich warunkach, aby zapobiedz ujemnym skutkom przesileni rolnych. Nie można wątpić, iż ten godny naśladowania przykład argumentowany należycie w druku, znajdzie w spokojniejszych czasach liczne naśladownictwo. Wiekopomną więc zasługą gminnej ustawy z 1864 r. jest zjednoczenie społeczeństwa gminnego w jedną samorządną całość. Wprawdzie prawodawca zamierzał przez owo zjednoczenie osiągnąć inne cele, ale codzienne życie gminne, codzienna praca wspólna omyliły jego przewidywania i zawiodły jego rachubę. Połączenie też w gminie dworskich i gminnych obszarów pozostanie niezapomnianą zasługą ustawy z r. 1864, zasługą, która wynagrodziła sowiec społeczeństwo Królestwa za samowolę wyższych władz administracyjnych i za krępowanie samorządu gminnego na każdym kroku.

Gmina wiejska Galicyi znajdowała się, począwszy od r. 1866, w daleko lepszych warunkach, aniżeli taż gmina w Królestwie. Przedewszystkiem Rady gminne, w miejsce chaotycznych zebrań, obiecywały daleko zdrowszy rezultat i nadzór nad samorządem gminy, wykonywany przez organa wyższe samorządu i władze polityczne, złożone z krajowców, odmiennie przedstawiały obraz rozwoju, niż w Królestwie. Pozostał tylko w galicyjskiej ustawie jeden na pozór drobny szczegół, t. j. rozdział obszarów gminnych od dworskich. W dodatku rozdział ów pozostał nie jako kategoryczny przymus, ale jako tolerowana pozostałość po dawnych czasach, od której uwolnić się było można dobrowolnem połączeniem,

jakie też od czasu do czasu, zrzadka wprawdzie, widzieć się dawało. „Życie gminne w Galicyi“ prof. Kleczyńskiego rzuciło ponure światło na następstwa powyższego rozdziału. Pokazało się, że pozbawiając gminę usług światłych i zamożniejszych obywateli, skazuje się system reprezentacyjnego ustroju gminy na najzupełniejsze zwyrodnienie, na parodię samorządu, demoralizującą włościan. Zdawało się, że od czasu ukazania się pracy Kleczyńskiego, powinno było zapanować w Galicyi powszechne potępienie rozdziału gminnych obszarów od dworskich, zwłaszcza, że już przedtem Adam Potocki nazwał ów rozdział najdotkliwszym wytworem systemu „divide et impera.“ Tymczasem na owych dwóch konferencyach, na których wygłoszono tyle rozumnych i praktycznych uwag, rozdział wspomniany nie spotkał się z tak niweczącą krytyką, jakby tego oczekiwać należało. Podobny objaw przypisuję temu, że w danym momencie nie rozważono należycie stosunków w Królestwie Polskiem i że dawano wiarę logicznym przypuszczeniom, które w Królestwie od dawna okazały się zawodnemi. Rozpoczynam od wypowiedzenia wątpliwości co do tego, że połączenie gminy z obszarem okaże się zawodnem w gminach górskich, gdzie większych właścicieli niema i że na zmianę stosunków gminnych wpłynie niewiele ta okoliczność, że do nich należeć będzie jedna lub dwie jednostki światlejsze i zamożniejsze. W pierwszej kwestyi zdaje się istotnie tkwić względ praktyczny prawdziwej doniosłości. Gmina górską często powiększaniu się przeciwstawia duże trudności naturalne; ale stanowi ona wyjątek, a podług wyjątków nie można przesądzać o gminie na płaszczyznach lub na podgórzu, gdzie gmina trafia na normalniejsze warunki rozwoju. Zresztą nawet, gdy mowa wyłącznie o gminach górskich w Galicyi, stosowniejszeby było wystudyowanie gruntowne stosunków gminnych w Szwajcaryi i Tyrolu, ażeby z nich dowiedzieć się, o ile trudności komunikacyjne wpływają na niemożność powiększenia terytorjum gminy.

Drugi przypadek przedstawia się jednakże z punktu widzenia polityki administracyjnej nieco inaczej. Jeżeli się znajdzie w niewielkim procencie gmin wiejskich w Galicyi brak obszarów dworskich, to względ powyższy, jako wyjątkowy, nie może bynajmniej wpływać na doniosłość samej zasady. Tam zaś, gdzie się znajduje, chociażby jeden „obszarnik“ w gminie, zapewnienie jego inteligencji, sił materialnych i ofiarności dla sprawy ogólnej gminnej będzie wpływało dodatnio na rozwój samorządu gminnego wiejskiego. Niewątpliwie, że w tym razie znajdą się więksi właściciele, którzy żalując swej uprzywilejowanej odrębności, zacho-

wywać się będą biernie i niechętnie wobec gminy. Ale należy oczekiwać zmiany w stosunkowo krótkim czasie. Tak samo bowiem było i w Królestwie Polskiem, gdzie ową początkową niechęć podtrzymywała skwapliwie niższa administracya. Szybko jednak stopniały rozdzielające lody i więksi właściciele, jeżeli zajęli napowrót w gminie uprzywilejowane stanowisko, to jedynie w tem znaczeniu, że jako pierwsi obywatele powinni ponosić większe ciężary i pełnić liczniejsze usługi w gminie, z zasady, że: noblesse oblige, a nie dispense. Niewątpliwie też połączenie obszarów dworskich z gminami wywoła w Galicyi dobroczynne skutki, na które nie potrzeba będzie oczekiwać wieku lub półwiecza. We wzmienionych materyalnie i duchowo gminach, zadania samorządu, które dziś suchotniczy pędzą żywot, nie tylko rozwijać się, ale i męźnieć poczną. Tam, gdzie braknie sił materyalnych na spełnienie pewnego zadania, przyjdzie w pomoc ofiarność większych właścicieli, jak to miewało miejsce w Królestwie Polskiem. Tam, gdzie brak sił intelektualnych gminie dla zajmowania pewnych urzędów gminnych, przyjdzie z pomocą właściciel większy, którego wpływ w Radzie gminnej będzie w krótkim czasie nieocenionej wartości. Wreszcie i zadania samorządu gminnego, które dzisiaj wydają się ludziom praktyki w Galicyi niemożliwe do urzeczywistnienia i do zorganizowania, przedstawia się w innem świetle, gdy je wesprze swą pomocą większy właściciel i wykonanie zadania zechce wziąć w swe ręce. Ów jeden „obszarnik“ w gminie, który wywołał u niektórych mówców pewne lekceważenie, odda niewątpliwie samorządowi gminnemu w Galicyi nieobliczone zasługi przez to samo, że wywoła w społeczeństwie gminnem poczucie jedności, konieczność wspólnej pracy dla dobra publicznego, dla swej drobnej ojczyzny, która się styka prawie codziennie z jego domowem ogniskiem.

Pozostaje jeszcze jedno pytanie, a mianowicie: czy zachować dawny system dobrowolnego łączenia gmin z obszarami, czy też wyrzec to słowo twarde w państwie konstytucyjnem—przymus. W Prusach pomimo, że od dawna uznano pożyteczne skutki połączenia, dotychczas istnieją w niektórych prowincjach gminy obu typów. Być może, że państwo, a raczej rząd, posiada skuteczniejsze środki wpływania na łączenie się gmin z obszarami i że tym sposobem w krótszym czasie usunie się złe, jakie tkwi w tym gminnym rozdziale. W Galicyi wszakże na szybki rezultat dobrowolnego łączenia liczyć, jak się zdaje, niepodobna a gmina obecna, zanadto rozdrobniona i uboga w siły materyalne i duchowe, nie może służyć za zdrową podstawę rozwojowi samorządu gminnego.

Zresztą i we Francji zrodziło się przekonanie, że drobne i ubogie gminy nie zdolne są do samorządu, a więc nic innego nie pozostaje, jak wyrzeczenie przez prawodawcę przymusu. Każda godzina bowiem rozdzielonego życia gminnego w Galicji powstrzymuje zbliżenie się wzajemne klas społecznych w gminie, a każda godzina pożycia wspólnego gminnego przyczyni się do zgody socjalnej i do rozwoju samorządu lokalnego.¹⁾

A. REMBOWSKI.

¹⁾ Niniejszy artykuł jest ostatnią pracą większych rozmiarów, dostarczoną redakcyi na kilka dni przed śmiercią ś. p. Rembowskiego.

(P. R.)

O twórczości Wyspiańskiego.

III.

Dramaty greckie.

Utwory poezyi, będące owocem sztucznej kultury literackiej, nie wypływają siłą konieczności z ducha twórcy. Takimi są dramaty greckie Wyspiańskiego. Nie zrodził ich ani ból, ani uczucie wielkie, ani poruszenie fantazyi, napiętej pod nawałem wrażeń. To są studia wirtuozowskie, wynikię z rozsmakowania się w kształtach literatury antycznej.

Wyspiański przenosił się chętnie w świat helleński, wchłaniał jego pierwotną tradycję. Splotła się ona silnie z obrazami i wrażeniami życia realnego. Nie jest poeta duszą odwróconą od świata rzeczywistego — jak to wyrzekł niesłusznie jeden z krytyków. Ale dla niego świat poezyi i królestwo legendy ma taką samą wagę, jak barwna gra i wrzawa znikomości codziennej. Po między światem zewnętrznym a jego duszą, unosi się jakby mgła tajemnicza, w której wrażenia życia i twory fantazyi płaczą się razem, tworzą opary ogromne, to mroczne i ponure, to mistycznym blaskiem przepojone.

W dramatach greckich z początku naśladował częściowo ton, nastrój i wewnętrzną logikę tragedyi antycznej. Takim jest „Meleager“ — tragedia jednoaktowa, napisana w latach 1894 — 1897, osnuta na legendzie arkadyjskiej. W chórach i objaśnieniach tyjących się sceneryi dramatu, poeta wprowadził malowniczość piękną, dekoracyjną. Żywioł to mało znany w technice starogreckiego dramatu, który się opierał głównie na efektach głosowych i śpiewnych, na szerokiej, wspaniałej retoryce. W „Meleagrze“

postacie mówią, poruszają się i grupują wśród wspaniałych ogrodów i tarasów akropolu w Kalydonie. W chwilach, gdy ludzie milczą, słychać głosy i szmery przyrody, szum liści, śpiew słowika plusk fontanny w ogrodzie, rechotanie żab i szmer latających owadów. Słowami poeta rysuje sceny i obrazy pełne powagi i uroku.

Na tem tle pięknem wypukli się głównie antypatyczna postać Althei, matki Meleagra, złej, mściwej, zaciętej, pełnej przesądów, z duszą zatrutą przeciwnem naturze uczuciem nienawiści dla własnego syna. Poeta z zamiłowaniem maluje uczucia ostre, nielitościwe, bezwzględne, zapamiętałe. Dla tego zapewne zajął się tą figurą legendową i starał się wymyśleć w jej dziwną wyjątkową psychologię. Pomimo zarysów helleńskich, jego Althea przypomina raczej szorstkie, półdzikie postacie germańskie z „Nibelungów.“ Cięży na niej kłątwa za winy matki, która ją wydała na świat ze związku nieprawego i przeznaczyła na wieczne dziewictwo dla prześlągania bogini Artemidy. Meleager, syn jej dzielny, ukochał nienawistną dla matki dziewczę amazonkę, Atalantę, która oszczepem zabiła dzika, niszczącego ziemię Kalydonu. Po łowach wywiązała się kłótnia; Meleager zabił dwu braci Althei, za to, że znieważyli jego umiłowaną dziewę i godzili na jej życie. Matka ma w rękę straszny środek zemsty—główną tajemnicę, w której, wedle snu proroczego, zamknięta jest czarownie siła żywotna Meleagra. I oto tragizm sztuki polega na tem, że Althea rzuca głównię w ognisko na ołtarzu. Poeta stara się wymyśleć w bieg uczuć matki, która z okiem zapalonem złością stoi nad ogniskiem, patrząc w płomień żrący drzewo zwęglone. Sytuacja to przykra raczej, niż tragiczna. Matka, opętana niechęcią, godząca w życie syna, budzi odrazę, zamiast grozy. Poeta z pewnem wyrafinowaniem kreśli tę płataninę uczuć zaciekłych. Czytelnikowi dzisiaj trudno jednak odczuć treść tej sceny i związek, jaki zachodzi pomiędzy dolą człowieka a kawalkiem zwęglonego drewna. Spełnia się kłątwa przeznaczeń. Kara spada na Altheę i jej męża Cineusa, za to, że poślubił niewiastę skażoną przy urodzeniu, poświęconą bogom. Kazuistyka fatalizmu czysto grecka, dziś także ani przekonywa, ani trafia do duszy.

Skutki macezynej złości poeta przedstawił w jedynie pięknej scenie tragedji, rozgrywającej się pomiędzy Meleagrem i Atalantą przy tlejącym resztkami żaru ołtarzu, wśród szumu smukłych cyprysów. Z początku młodzi pogrążają się w dyalektyce i refleksjach, przypominających czasami ton artykułów dziennikarskich. Dopiero w drugiej połowie sceny pięknie oddane są zamyslenia

subtelne dusz młodocianych w duchu dzisiejszej poezji przecuciowej. Potem przejmująco i silnie przemawia cierpienie miłości, która kona w męczarni. Po całym szeregu scen ponurych, przesiąkniętych zgrozą, po defiladzie trupów, po śmierci obojga kochanków, tragedia kończy się opowiadaniem o samobójstwie Althei, oszalałej z rozpaczy.

Ma ten utwór piękne efekty plastyczne, sceny mocne pod względem teatralnym. Oparty na fatalizmie helleńskim, częściowo zbliża się do dzieł antycznych, oddaje chwilami dobrze ich ton i logikę pojęć moralnych. W stylu i formie poeta nie utrzymał całości jednolicie. Przeskakuje od prozy rozlewnej do luźnego wiersza rytmicznego lub rymowanego. Umyślnie nadał formie zmienność i falowanie, które mają taki powab dla czytelników dzisiejszych. Pod względem polotu, energii i piękności języka, niewątpliwie wyżej stoi osnuta na tem samym podaniu tragedia Faleńskiego „Althea“ zbudowana harmonijnie, szeroko, błyszcząca wirtuozostwem i plastyką formy — znana jednak tylko małej liczbie literackich smakoszów. Tragedya Wyspiańskiego ma powagę legendową, ale jest dziełem sztucznem i chłodnem. W niektórych jej scenach czuć powiew atmosfery niezwykłej. Sprawia wrażenie *nastrój* nieznanym w dawnym dramacie greckim: harmonia dusz ludzkich z tchnieniem przyrody.

*

*

*

Silniej przemawia do czytelnika jednoaktowa tragedia „Protesilas i Laodamia“ wydana w r. 1899, będąca właściwie monologiem wdowiej rozpaczy. Laodamia tęskni po mężu, bohaterze, poległym w wojnie trojańskiej, we śnie widzi jego postać na okręcie podczas walki. Na gorące jej proźby bóg Hermes sprowadza widmo małżonka, które rozwiewa się w jej objęciu. Przebolawszy wszystkie gorycze samotności, tęsknoty, nudy, żalu, rozpaczy, wszystkie cierpienia duszy, szamoczącej się w próżni, Laodamia zabija się. Cienie małżonków połączonych niktą we drzwiach grobowca.

Stojąc na gruncie pojęć staro-helleńskich, poeta nie starał się wiernie naśladować formy greckiej. Gorąco, niemal z historycznym rozpędem, skreślił wymowę szalejącej z bólu duszy Lao-

danii. Wprost mistrzowskie jest to stopniowanie uczuć boleści, która rośnie, wznaga, szaleje i nabiera takiej gwałtowności, że dla bohaterki śmierć staje się „jedyną“ — życie dalsze niemożliwym. Podobnie, jak w klasycznej tragedii, ludzka istota nie jest tu złożona, dusza nieprzemawia cała, wielostronna. Poeta gra na jednej strunie — ale wymowa cierpień indywidualnych jest żywą, gorączkową i przez to właśnie bardziej interesującą, aniżeli uczucia przedstawiane w tragedii poprzedniej. Tęsknota Laodamii jest jednak materyalną raczej, niż duchową. Góruje w niej szal i ból głodu zmysłów, streszczający się w okrzyku: „łożnica moja pusta!“

Dla tego zapewne na scenie krakowskiej w r. 1903 tragedia ta nie zrobiła wrażenia, nawet w wykonaniu pierwszorzędnych artystów, przy wystawie bardzo malowniczej, obmyślanej drobiazgowo przez poetę. Wydała się przeciągniętą, monotonna, chociaż w czytaniu podbija gorącym kolorytem uczuć i wielkim artyzmem formy. Aparat zewnętrzny pełen plastycznego bogactwa, scenerya urocza w guście obrazów Gérôme'a, czereda zjawisk, barwnie strojne alegorye, gromady boleśnie jęczących duchów, cała zewnętrzna oprawa — nie uratowała na scenie treści psychicznej, nie mającej dramatycznego pierwiastku.

Wyspiański, obmyślając wystawę sztuki, pojmował sceny fantastyczne w sposób dosadny, wyrazisty. Widma i cienie nierozpływały się we mgle przysłonięte gazą, lub oblane tajemniczym półświatłem. Łódź Charona z cieniami zmarłych płynęła na przodzie sceny, tuż przy rampie. W sennem widzeniu okręt wjeżdżał na scenę ciężki, plastyczny, pełny zbrojnego ludu.

Jest to jedna z głównych cech wyobraźni twórczej poety, tłómacząca także konstrukcję głównych jego dramatów. Świat duchów i majaki senne płaczą się z jawą, mają tę samą dynamikę wyrazu, co i sceny rzeczywiste. Zacierą się granica pomiędzy tem, co jest, a tem, co się wydaje, lub tem, co istnieje po za świadomością zmysłów. Obrazy senne zamieniają się na ruchome bryły, cienie płaczą się z ludźmi, przywidzenie mięsza się z prawdą, duch jest współtwórcą z życiem.

W obu dramatach greckich nastrój tragiczny jest, w stosunku do helleńskiej tradycyi, prawdziwym. Brak mu jednakże harmonijnego pogodzenia przeznaczeń i doli człowieczej z porządkiem świata. Człowiek szamocze się z koniecznością życia i losu. Namiętności silnie napięte łamią prawa przyrodzone i moralne, działają niszcząco. Pod wpływem tego konfliktu życie doczesne staje się męką, śmierć — wyzwoleniem. Ale po tryumfach tej śmierci,

władczyni potężnej, nieubłaganej, zostaje cisza grobów, może błąkanie się mdłych cieniów w Tartarze. Niema zwycięstwa idei, zasady moralnej, praw odwiecznych ładu, niema świtania lepszego jutra. Tragika Wyspiańskiego polega na zwycięstwie mocy losu, tajemniczej, złowrogiej i złośliwej. Jest majestatyczną, ponurą, beznadziejną.

IV.

„Lelewel“ — „Klątwa.“

Na tle przedzgonnych chwil powstania listopadowego osnuł Wyspiański swój pięcioaktowy dramat „Lelewel“, wystawiony na scenie krakowskiej w maju 1899 r., wkrótce potem ogłoszony drukiem. Żywiołowej strony ruchu narodowego nie odczuł i nie ujął poeta. Nie uwydatnił natury tej nawałnicy, która zerwała się bez widomej potrzeby i pochłonęła resztki politycznej samodzielności naszej. Nie uwydatnił tego znaczenia rewolucyi, która politycznie była fatalnym błędem—ale zarazem wylewem duchowej potrzeby narodu, rwącego się do pełnej samodzielności, do nowej roli dziejowej.

Tragizm rewolucyi listopadowej polegał na tem, że zapał narodowy nie mógł się wcielić w żadną genialną jednostkę, w duchowego przewodnika narodu, że siła ta, zwałtała przez rozterkę wodzów, musiała się rozbić o twardą polityczną konieczność, o mur zwarty interesów mocarstw, które korzystały z rozewiertowania dawnej Polski.

Z tego tragicznego konfliktu poeta pochwyił głównie drgnięcia i echa sporów wewnętrznych, które gubiły walkę narodową. Na posiedzeniu Rządu rewolucyjnego występuje ostre przeciwieństwo Lelewela z ks. Czartoryskim; scierają się nie tylko dwaj ludzie, głowy dwu stronnictw, ale dwa symbole przeciwbiegunowych dążeń polskich. Książę Czartoryski, szlachetny i gorący patriota, pomimo marzeń o koronie, chce prowadzić politykę praktyczną; Lelewel jest deklamatorem-idealistą. W płomiennych przemówieniach, rozwija myśl o wielkiem, duchowem poświęceniu narodu. Mieszka w nim „polska myśl, nie zwodnicza myśl o królestwie ducha, boska, tajemnicza rewolucyjność dążeń.“ Lelewel przemawia frazeologią, poczerpniętą trochę ze Słowackiego przemowy

„Do autora trzech psalmów.“ W marzycielskich porywach potęga o mesyaniczne tony. Wierzy on, że w wielkich chwilach,

gdym nad narodem ciemne rozległy się noce,
budzi się prorok-duch, coby go powiedzie —
Ten sam że się zaplonie, jako słup ognisty,
i będzie przed szeregiem zwartym szedł na przedzie.
Temu Bóg od da dusz jedynowładztwo!

Oczywiście jest to poetyczna dowolność. Leleweł był skrajnym demokratą, doktrynerem rewolucyi, w polityce nieudolnym, chwiejnym i pokrętnym, członkiem rządu i zarazem spiskowcem, klubistą. Jako profesor, miał polot ideowy, pomysły wzniosłe, uogólniał wypadki świata, porywał umysły młodzieży duchem patryotycznym. W dramacie przemawia jako mistyk-wizjoner, wyprzedzając takim nastrojem daną dziejową chwilę. Zewnętrznie biorąc, poeta trzymał się wiernie faktów opisanych w innem, ale niedość krytycznem dziele Stanisława Barzykowskiego: „Historja powstania Listopadowego“ (Poznań 1883 r.). Nie patrzył jednak Wyspiański na swego bohatera przez pryzmat opinii tego historyografa. Leleweł został przez Barzykowskiego scharakteryzowany z wielką niechęcią, jako działacz polityczny „bez wyższych usposobień, bez znajomości świata, bez woli i charakteru, bez głębszych obmyśleń, bez determinacyi, nieśmiały w przedsięwzięciu, niemocny w uczynkach, ideolog za marzeniem biegnący, a mający zarozumienie nieomyślności w polityce“ (T. I., str. 262). Barzykowski twierdzi, że udział Lelewela w Rządzie rewolucyjnym był nieszczęściem dla sprawy narodowej — chociaż tego nie popiera dość wymownie faktami, okazując, jako zachowawca, niechęć dla jednego z najczterwieńszych radykałów. Co prawda, politycznej roli Lelewela nikt inny także w różowem świetle nie ukazał, chociaż na emigracyi był postacią szanowaną, jako charakter czysty, wyraziciel niezłomny zasad demokratycznych. Wyspiański, wyrażając nieraz sympatye w kierunku lewicy, ukazał postać bohatera dramatu z jednej głównie strony — jako płomiennego entuzjastę. Przyczyną niepowodzenia sprawy narodowej, według Lelewela, jest brak rewolucyjnego ducha w ludzie i rządzie. Chce on, by „wstały huczące orkany,“ chce huraganu i ognia, w którym oczyściłoby się złoto duszy narodowej. Dysputa członków rządu zamienia się na gwałtowne, historycznie prawdziwe zajęcie pomiedzy Lelewelem a ks. Czartoryskim, który, dotknięty zarzutem zdrady, spiskowania na rzecz swych monarchicznych ambicyj, opuszcza posiedzenie. Akt pierwszy dramatu kończy się tą mocną,

dobrze odczuta sceną. W małej ilości słów wyładowuje się elektryczność uczuć silnie napiętych. Chwile milczenia odpowiadają kłębieniu się wewnętrznemu dusz. Węzeł dramatu zadzierzgnięty silnie. Zdawałoby się, że dalej toczyć się będzie walka dwu mownych duchów. Zamiast czynów jednak, potem walczą i ścierają się słowa.

W następnych aktach rysuje się dobrze postać księcia, najbardziej wypukła w sztuce. Dowiódł w niej poeta, że miał w talentie swoim czynniki, które spotęgowane i rozwinięte, mogłyby stworzyć tak ważną dla każdego dramaturga umiętność stwarzania żywych ludzi, widzianych przez pryzmat oka twórczego, ale pełnych, drgających prawdą wewnętrzną. Książę ma gest magnacki, powagę i rozum statysty, dumę rodu, którego dziedzicom śnią się w kolebce korony. Ma także gorące serce i z głębokiem współczuciem słucha od pół wieku „konających łkań Polski i jęczeń.“ Marzenie o koronie jest u niego szczeblem do wskrzeszenia dawnej wielkości ojczyzny. Namówiony przez Niemojowskiego, wraca na posiedzenie rządu rewolucyjnego. Tam zbliża się wielka chwila zgody i zbratania dwu dusz walczących sercem o wielkość narodu. Książę i Lelewel mają już sobie podać ręce, ale harmonię mącą krzyki tłumu i członków Tow. Patriotycznego, którzy wpadają na salę i chcą wykonać zamach na rząd. Jest to epizod fatalnych rozruchów dn. 15 sierpnia, które były wynikiem rozpaczki i zwątpienia, objawem zamętu, jaki zapanował w Warszawie po bitwie Ostrołęckiej — jednym z konwulsyjnych drgnięć upadającej sprawy.

Niepowodzenie na polu bitwy, nieudolność wodzów, słabość rządu narodowego, krzykactwo demagogów, rozjątrzenie tłumu, wszystko to razem skupiło się w orgiach ulicznych. Rozpacz bólu narodowego szukała nasycenia w krwawym samosądzie. W dramacie słyszyny tylko uboczne echa tej zawieruchy ulicznej. Trzymając się relacji Barzykowskiego przedstawił Wyspiański dwuznaczną rolę Lelewela, który skrył się w sali posiedzeń rządu za firanką przed tłumem swych politycznych przyjaciół, napadających rząd bezradny, nieprzygotowany i bezbronny. Zaskoczony ruchem, rząd, postanawia się rozwiązać. Książę opuszcza salę, czyniąc gorzki wyrzut, z powodu tajnych knowań, Lelewelowi, który, porwany śpiewem marsylianeki, wypada na ulicę. W akcie piątym spór generała Dębińskiego z Lelewelem, snującym marzenia prorocze, milknie na odgłos dalekiego huku armat rosyjskich. Dramat i rozterka ducha narodowego urywa się w zgrzycie ironiczno-bolesnym.

Szkoda że całość, ujęta z tego punktu widzenia, została rzucona szkicowo. Pomimo pięknych scen i ustępów, wygląda, jakby niedokształtowana. Postacie nie urobiły się dość plastycznie w umyśle poety. Lelewel po za rysami entuzjazmu rewolucyjnego i wylewami liryzmu nie posiada wyraźnej fizynomii. Statysci i wojskowi na posiedzeniu rządu narodowego mówią barwnie, ale po literacku, nie mają zarysów żywych postaci. W jednej tylko scenie epizodowej, napisanej już po wystawieniu sztuki, toczy się żywa, pełna wdzięku, rozmowa młodej pary, która łączy ku sobie, ale nie może dojść do „serc zguby,“ zajęta troską o losy ojczyzny.

W całości znać borykanie się poetycznego fantasty z tematem konkretnym. Widać pewną trudność ujęcia treści, słowa się kłębą, tok myśli rwie się w podskokach i przeskokach, wikła się i płacze. Styl, jak zwykle u Wyspiańskiego, swoisty i oryginalny, ma nierówne, nerwowe falowanie. Kompozycja rzucona na oślep, nie posiada stężenia i stopniowania. Poeta lubi wkraczać *in medias res*, unika ekspozycji i wyjaśnień nawet takich, które wiążą się ściśle z artystycznym koścem utworu. Dla czytelnika, nieznającego bliżej dziejów powstania listopadowego, dramat ma wiele luk i niedomówień. Niedosć jasno rysuje się perspektywa chwili dziejowej. Niewyraźnym jest stosunek ruchu ulicznego do rządu narodowego, niemożna w akcie V-ym wyrozumieć, dlaczego generał Dębiński, który był gubernatorem miasta, uciera się z Lelewel, reprezentantem demagogii. Dla braku stężenia i dramatyczności „Lelewel“ nie wyszedł zwycięzko z próby scenicznej, chociaż krytyka niefachowa powitała go zrazu bardzo gorąco, niemal jako arcydzieło.

Tymczasem krytyka jednostronnie modernistyczna pomijała ten dramat potem z lekceważeniem, nie znajdując ponętych dla siebie cech symbolizmu i wizjonerstwa. Niema istotnie „Lelewel“ siły wewnętrznej, która narzuca się, podbija i przykuwa. Jednakże są w tym dramacie szkicowym sceny piękne, chwile gorących porywów, panuje w nim jednolity nastrój poetyczny pełen trwożliwego niepokoju o losy ojczyzny. Głębia ideowa utworu polega na rozterce bujnego polskiego ducha, którego lotne porwy łanie rzeczywistość brutalna, nieubłagana. Wzloty marzeń o proroku i zbawcy narodu, zesłanym z nieba, przerywa huk armat. Ideały muszą milknąć wobec racyi stanu, uzbrojonej w siłę fizyczną. Chronią się w głębie dusz, aby trwać tam, jako marzenie nieziszczone.

W dramacie tym, lubo artystycznie dalekim od doskonałości, przemawia chwilami ból nad bólami, wiekowa męka narodu, który czuł siły i prawo do życia i dlatego wpadał czasem w rozpacz i zwątpienie, ale nie mógł się zdobyć na rezygnację.

*

*

*

W „Kłątwie,” tragedyi, wydanej w Krakowie r. 1899, poeta trafił na temat, zgodny z naturą swego umysłu. Oczyma duszy przygląda się ciemnej zagadce losu. Czuje mistyczną głębię przeznaczeń człowieka, któremi rządzą moce zaziemskie, ciężące złowrogo nad życiem, karzące za pogwałcenie praw odwiecznych.

W „Kłątwie” znajduje silny, poetyczny wyraz lęk duszy ludzkiej, która korzy się przed wyższym ładem świata. W epoce pierwotnej, gdy rodzą się normy etyczne, krępujące ludzkie barbarzyństwo, ład ten zjawia się czasem w majestacie błyskawic, dosięga winy człowiecze chłostą, potępieniem. W samem pojęciu kłątwy, stworzonem przez etykę starego zakonu, tkwi nie tylko kara, ale zarazem poczucie grozy i nienawiści, wyłączającej grzesznika z rodziny bliźnich.

W podaniu ludowem, które stanowi wątek tragedyi, występuje konieczność ofiary. Ona może przebłagać zagniewane bóstwo, sprowadzić pojednanie między grzechem robaka-człowieka a gniewem najwyższego sądu. Grzech wielki, zgorzemie, jest „kamieniem obrazy i skałą skandalu.” Nieślubne pożycie księdza z młodą kobietą. Owocem grzechu życie dwojga dzieciątek. Gniewa się za to groźne bóstwo i natura. Spieka pali rolę, warzy żywotne soki ziemiopłodne. Ziemia spękana, twarda jak skała, nie daje karmi człowiekowi. Słońce dopieka nienawistnie skwarem. Atmosfera duszna, w której unosi się groźba pomsty i gniewu.

W okolicach Tarnowa urodziła się ta legenda. Prawdopodobnie jest ona śladem szczątkowym epoki, gdy władze kościelne starały się utrwalić celibat księży, wypłenić małżeństwo kleru. Idea ascezy kapłańskiej, zapoczątkowana w zaraniu chrześcijaństwa przez Św. Pawła, stała się w XIII wieku narzędziem wzmocnienia sił kościoła w walce z państwem i władzą świecką. W Polsce celibat utrwalony został w r. 1285 na Synodzie w Łęczycy,

zwołanym przez arcybiskupa Gnieźnieńskiego, Jakóba Świnkę. Surowe kary kościelne dosięgały duchownych żonatych, lub żyjących w konkubinacie. Grzechem było słucać mszy, odprawianych przez księży nieposłusznych temu zakazowi. Biskup miał prawo żony i konkubiny księże oraz ich dzieci skazać na niewolę lub chłostę, majątek ich skonfiskować na rzecz kościoła, a przeciwko księżom użyć najostrzejszych środków rygoru dyscypliny — jak o tem szczegółowo pisze H. Rittner w artykule „Celibat w Polsce,” zamieszczonym w 1874 r. w „Przewodniku naukowym i literackim.” W epoce reformacyi surowość ta w kościele katolickim zwolniła pod wpływem nowatorskiego fermentu, o czem świadczy głośna sprawa Orzechowskiego, pełnego talentu warchoła w sutannie.

Dzisiaj, pomimo panującego w kościele zachodnim celibatu, sytuacją stanowiącą oś „kłątwy“ nie jest wcale tragiczną. Życie ściera ostre kąty rygoru kościelnego. Naturalne popędy, hamowane przez ascezę, znajdują łatwe ujście w tyłu związkach potępianych formalnie, tolerowanych w praktyce. Gdyby dzisiaj kłątwa ścierała winnych, tak jak w dramacie Wyspiańskiego, tragedia losowa stałaby się prawie banalnością.

Inaczej wygląda ona w mrokach legendowej przeszłości, gdy jeszcze błąkały się wśród ludu resztki „dawnej wiary,” którą w dramacie reprezentuje pustelnik w habitcie zakonu Ś-go Franciszka, pielęgnującego w średnich wiekach mistyczny i naiwny kult dla tajemnic przyrody. Pustelnik zjawia się jako wieszcz, tłumaczący przyczynę klęski żywiołowej, w której widzi karzącą rękę Bożą. Wobec księdza, który złamał ślub czystości, staje on, jako rzecznik i wyraziciel moralnego poczucia ludu. Żąda oczyszczenia przez ofiarę ognia, przez całopalenie płodów ziemi. Ksiądz sprzeciwia się praktykom „dawnej wiary“ — ale utracił moralny wpływ na swoją owczarnię.

Od pierwszych scen czuć tę atmosferę niechęci i nienawiści pomiędzy ludem a plebanią. Stosunek między księdzem a Młodą, jego oblubienicą, jest męczący. Oboje skrupowani, pełni troski, nie mówią do siebie. Ksiądz, ostry impetyk, wieździe spory z gromadą. Młoda, gwałtowna i zrazu pewna swej przewagi na plebanii, swarzy się z robotnikami, pracującymi w ogrodzie i ze służbą, która jej bryzga w oczy drwinkami, stawiając się hardo. Powaga moralna kapłaństwa złamana. Ksiądz musi ustąpić woli ludu, który go widocznie lekceważy. Rozjątrzony zgorznięciem, dotknięty klęską pomsty, lud pod wodzą sołtysa postanawia w duchu „dawnej wiary“ ułożyć ogromny stos ofiarny z kłód drewnianych i wszelakiego paliwa. Wtedy w Młodej zaczyna kiełkować myśl,

że może z niej „trzeba ofiary,“ bo skalana grzechem śmiertelnym jest przyczyną kłeski.

Dramatyczność i tragizm utworu rosną z każdą chwilą. Gromadzą się ciężkie chmury, grożące burzą i piorunami. Z prawdą i artyzmem konflikt moralny przenosi poeta w głębie dusz ludzkich, zwłaszcza od chwili przybycia matki księdza, której słowa proste a wymowne, wstrząsają do głębi sumienie winnego. Prześliczne, pełne ekspresyi, niepokoju i bólu, są sceny syna z matką i Młodą. Uczucia proste, silnie napięte, przemawiają tu w słowach pełnych powagi i dostojności. W kilku wyrazach, zamienionych między matką a synem, skupia się taka dramatyczność, pełna prostoty, że budzą one dreszcz w czytelniku. Matka, siwa gołąbka, z przerażeniem dowiadyuje się o winie synowskiej. Pieści jego dziecięcy ze łzami głębokiego rozczulenia. W prostocie swojej twierdzi, że Bóg, który dał dzieci jej synowi, niechce „je rzucić w otchłanie,“ ale ksiądz, pod wpływem nowoobudzonej gorliwości sumienia, wypowiada surowy nakaz etyki kościelnej: „ktokolwiek na tej ziemi, przysięgi straszliwemi, ślubował Bogu swoją duszę, w czystości żywić nieskalanej, a potem śluby swoje łamie i boskiej łasce nędznie kłamie, Bóg pomsty zsyła nań katusze i jego dzieci i kochanie na zatraconych ogień wpędza: ...oto jest matko moja nędza!“

Stają mu w myśli księgi starych proroków, którzy, klęcząc „spożyte zło występku,“ chcą, aby winny zginął. Ksiądz wyraża to przekonanie, że ofiara doczesna, męka ognia, może uchronić Młodą i jego dzieci od mąk w życiu przyszłym. Zasada ta przed paroma wiekami zapalała stosy czarownic i heretyków. Myśl tej okrutnej ekspiacji, podsłuchana przez Młodą, staje się iskrą rzuconą w duszę zrozpaczonej kobiety. Ubiera ona w biel swe dzieciątka, żegna je w słowach nabrzmiałych bólem, kapiących łzami, potem biegnie za plebanię na pole spełnić ofiarę całopalną.

Najsłodsze uczucia rodzinne, będące zwykle źródłem pociechy i szczęścia, zatrute przez grzech, stają się źródłem niedoli.

Przepiękną jest chwila, gdy, wiodąc swe dziatki na ofiarę, nieszczęsna kobieta żegna je łzami, żegna nędzę swego żywota, słońce i wesele życia, dążąc przez mękę ognia w „empirejskich bram podwoje.“ Jest to poetyczny wylew uczuć podniosłych, porryw duszy sięgającej w zaświaty, a zarazem skarga matki niosącej na ofiarę to, co ma najdroższego. Monolog ten stanowi klejnot poetycznej liryki. Poparty ekspresją gry i dykcji znakomitej artystki, mógłby wywrzeć na scenie wrażenie ogromne. Można spytać, skąd w tej prostej kobiecie z ludu bierze się taka wielkość

uczucia, ta żądza oglądania światłości niebiańskiej? Opierając się z początku na gruncie pojęć i uczuć realnych, ludowych, poeta wkroczył potem w sferę idealizacji, podniósł skalę duchową danej postaci niezmieniając jej natury. Włożył w jej usta wymowę nie tylko uczuć osobistych, ale cierpiącej ludzkiej duszy wogóle. Wtrąciwszy w ogień biedne dzieci, Młoda sama niema sił, by spłonąć. Z bólu i rozpaczy wpada w obłąd, biegnie z żagwią pod plebanię, aby ją podpalić. Lud wzburzony dzieciobójstwem ściga szaloną i kamieniuje ją kawałami spiekłej grudy. Ksiądz oszalały z rozpaczy, ucieka ze wsi, pędząc na oślep przed siebie. Grom zdala bije, wieś staje w płomieniach, pustelnik woła do ludu: „Bijcie o ziem głową — Bóg mówi — Słowo!“

W burzy i piorunach przemawia ten Bóg, „którego oblicze błyskawicowe jest,“ gniewne i mściwe. Nie jest to Bóg chrześcijański, ojciec miłosierny świata, ale raczej Jehowa, który wedle psalmisty objawia się we wstrząśnieniach ziemi, z „którego nozdrzy dym bucha i ogień pożerający.“ Nie jest to nawet ten mądry, dobrotliwy Bóg z księgi Hioba, który nie karze znużonego rozpacz człowieka za bluźnierswa, tylko upomina go, że niepowinien buntować się myślą, bo ona jest za słaba, żeby zgłębić i pojąć wyższy porządek świata. Nie jest wreszcie ten wspaniały, łagodny monarcha świata, który we „Fauście“ Göthe'go pozwala ze sobą dysputować wysłańcowi piekiel, szatanowi niższej rangi. Wyspiański zna tylko ponure oblicza Bóstwa, Losu i Przyrody. Jego tragedia kończy się wybuchem spotęgowanego lęku, napięciem grozy, które dochodzi do granic okropności. To jest katastrofa raczej niż tragedia, bo namiętności i wola ludzka nie mają tu dość siły, aby borykać się z losem, ale padają pod brzemieniem kary, uległe wyższym potęgom. Z tego starcia wynika tryumf idei, a raczej bogobojnego szału ascezy i czystości moralnej.

Pomimo drażliwego tematu, który dotąd zagroził tej tragedii drogę na deski sceniczne, technie ona fanatyzmem etyki chrześcijańskiej, co każe deptać pokusy ciała dla zbawienia wiecznego. Całość odczuta mocno i szczerze.

Idąc za legendą, spojrział Wyspiański na temat ten z wyżyny ascetycznej, ukazał dusze ludzkie skrępowane lękiem, pełne zbożnej grozy, szamoczące się w poczuciu wielkiej winy. W budowie, tonie i układzie tragedii poszedł śladem tragików greckich i artystycznie osiągnął rezultat świetny, ponieważ natura przedmiotu dała się ująć w zarysach antycznych. Nie znam utworu, w którymby przyswojenie formy starożytnej było szczęśliwiej spójne z rdzeniem rzeczy. Poeta kształtował figury dramatu w spo-

sób pół-klasycyzy, chwycił ich zarysy i mowę pod kątem głównego założenia utworu. Nie są to złożone, bogate, różnorodne figury Szekspirowskie, ale osobistości żywe, acz uproszczone, mające plastykę stylizowaną wyraziście, pół-posagowo. Szkoda, że w zakończeniu tragedyi nie był wiernym stylowi greckiemu, który usuwał brutalne widoki mordów. Mógł oszczędzić przy końcu sztuki widoku ociekłego krwią w konwulsyach przedzgonnych, ciała ukamienowanej kobiety. Wyspiański bywa nieubłagany i niemilosierny dla swych bohaterów, nie cofa się przed scenami i obrazami, które przechodzą granicę wytrzymałości naszej na wrazenia ponure.

Pod względem prostoty i powagi surowej, „Klątwa“ jest w naszej literaturze, a może i w literaturze dramatycznej całego świata, dziełem najbliższem tragedyi greckiej, a zarazem żywotnem, najmniej sztucznem, pomimo naśladowanej formy. Dzieje się to w znacznej części za sprawą stylu, stworzonego w sposób wprost zadziwiający, ze spływu mowy ludowej z językiem najdawniejszych zabytków literackich. Utworzył się z tego wiersz płynny, dziwnie poważny, swoisty, chwilami dźwięczący pełnią i powagą prastarych pieśni i chorałów, styl, który od jędrnej, uszlachetnionej mowy potocznej wznosi się naturalnie i stopniowo do wyżyn natchnienia. Styl łączący jasność i prostotę z patosem szlachetnym, nie szczudłowym, ani wysilonym — styl surowy, ale jasny, nie splełany w gzygzakach, dźwięczący, jak metal szlachetny, który wypełnia wszystkie kształty i załamy poetycznej plastyki. Znaczenie języka utworu dobrze i wymownie określił p. Antoni Potocki w swem panegirycznym studyum o Wyspiańskim, wydanem w Krakowie r. 1902.

„Klątwa“ jest w swej harmonii i skończoności, jakby grupą, odlaną z brązu, w której kontury chwilami potracają o rodzajowość, ale są modelowane szeroko, jędrnie i szlachetnie.

Można wskazać pewne skazy w plastyce i nieprawidłowości w wiązadłach utworu. Można się dziwić, dlaczego w tragedyi, opartej na tle chrześcijańsko-katolickiem, pojęcie Bóstwa jest takie groźne i złowrogie. Można twierdzić, że nawet zasadniczy temat tragedyi oraz jej idea, nie są typowe dla stosunków zachodniego kościoła. Można zapytać, dlaczego pustelnik w habitcie franciszkanina wskrzesza tradycyę wiary pogańskiej. Można zarzucić, że myśl pokuty ogniowej powstaje zbyt późno w duszy księdza, można się zżymać na przejawienie okropności w scenach końcowych. Mimo to „Klątwa“ podbija nie tylko przekonującą wymową uczuć i plastyką figur, ale powagą i siłą nastro-

ju, imponuje artystycznem stopniowaniem w rozwoju osnowy, wspaniałą harmonią zarysów ogólnych. „Klątwa“ jest jednym z rzadkich dzieł poezyi, w których twórca osiąga w pełni zamierzony cel i wrażenie. Formalnie jest ona najdoskonalszą ze wszystkich dramatów Wyspiańskiego, okazuje niezwykłą zdolność konstrukcyjną twórcy, świadome, spokojne opanowanie danej artystycznej techniki.

Temat tragedyi należy do wiekuistych i nieprzedawnionych. To walka i szamotanie się przyrodnych popędów człowieka, żądzy życia, pragnienia rozkoszy z więzami praw etycznych. Walka pragnień doczesnych z moralnością, zwróconą ku celom zaziemskim, opartą na sankeyi powagi nadnaturalnej.

„Klątwa“ dla tego ma siłę wewnętrzną, oporną na działanie zrących odczynników analizy krytycznej. Zachowa ona swą żywotność wśród kapryśnego falowania mody literackiej, napływu nowych prądów, zalewających twory znikome i jednodniowe.

V.

R a p s o d y.

Po „Klątwie“ w rozwoju twórczości poety nastąpiła przerwa półtoraroczna. W r. 1901 wypoczęte skrzydła fantazyi zerwały się do lotu. Zwłaszcza w pierwszej połowie tego roku Wyspiański tworzy szybko, gorączkowo, puszczając wodze swej skłonności do wielkich majaków.

Rozkołysany wizyami „Króla ducha,“ pisze dwa rapsody: „Bolesław Śmiały“ i „Kazimierz Wielki,“ wskrzeszając narodową, zarazem i krakowską tradycyę Skalki i Wawelu. Współcześnie z rapsodami tworzy pokrewne im treścią kompozycyę witrażowe, które prawdopodobnie były potrąceniem dla wyobraźni poetycznej.

Ciasno mu było w spiżowo-kutych kształtach tragedyi, więc chwilowo wybrał formę epicką, jakby snując dalej wątek wielkiego poematu Słowackiego, wzięwszy od niego ton mistyczny i formę oktawy, którą rozluźniał i zmieniał chwilami. W obu rapsodach, tak jak u Słowackiego, przemawiają mury królewskie — ale każda z nich występuje odrębnie, nie są wcieleniami ani formami przepisowemi w ewolucyi jednej duchowej istoty.

Rapsod o Bolesławie rozpoczyna się od wyraźnie i artystycznie przedstawionej sceny wyklęcia króla. Przypominając po za

grobem chwilę zabójstwa biskupa w opisie poetycznie silnym a skupionym, król morderca nie kaja się. Jemu dał Bóg karzącą rękę na biskupa, który w chwili wzrostu państwa knuł zdradę, chciał mu wytrącić berło z ręki i zniewolił zmienić purpurę monarszą na czerwień katowską. Mimo to nad trupem męczennika zawisa jakaś moc cudowna. Orły królewskie nie chciały szponami szarpać ciała, ale, rozpostarłszy skrzydła, broniły świętych zwłok. Dręczony wyrzutami sumienia, król opuszcza zamek wawelski, błądzi po kraju, żegna się z synem ukochanym, który go w drodze dopędził z drużyną. W scenach tych żal ojcowski drga rzewnie, wzruszająco. Potem król-tułacz walczy na Pomorzu, w przeczuciu wieszczem widzi śmierć drogiego syna, którego brat otrął zdradziecko — śmierć, przedstawioną w formie pięknej archaicznej ballady.

Sceny rapsodu zmieniają się potem, jak rojenia senne, jak obłoki które nasuwają się luźno jedne na drugie. Bolesław, jako duch, błądzi po śmierci w tatrzańskich turniach, szukając legendowych rycerzy Chrobrego, którzy w grocie górskiej zasnęli. Próżna gonitwa. Król, będący „żywych prawd wcieleniem,“ widział na jawie widma rycerzy; są one jednak niezdolne do czynu, jak każda senność. Ucieka więc od tego wojska mar, od tej legendy, która według poety uosabia martwość ducha. Po błędnej wędrówce sam czuje się skamieniałym rycerzem. Ma trwać wieczność całą w tym zapędzie „zamierzony z mieczem gotowym do cięcia.“ Głos archanielski zwiastuje mu, że kiedyś powołany będzie do wniebowzięcia, a wtedy sam Bóg rozkaże biskupowi przeżegnać go tą prawicą, która rzuciła kłatwę. Spór pomiędzy królem a biskupem zostaje nierozsądzony. Poeta odsuwa go w przeszłość wiekową — przepowiada wyrok boży, który pojedna kłętego z zamordowanym.

Ideowo przedstawia się ten rapsod mętnie. Poeta staje chwilami po stronie króla, który streszcza w sobie młodzieńczą siłę państwa i narodu. Epizody i ustępy posiadają dużo poetycznego czaru. W pieśni, którą nuca królowi rusałki na dnie rzeki, w malowniczym obrazowaniu uroczyska i bagna ze świętymi więzami czuć tchnienie legendy piastowskiej, która gwarzy o prastarych pogańskich dziwach. Artystycznie jednak całość jest rwana, językowo grudowata, zeszepecona czasem skazami formy wiersza. Ustępy końcowe, skupiające myślowy i poetyczny rezultat rapsodów, wywołują wrażenie chwiejne, niezdecydowane. Król, skamieniały z zamachem do cięcia, zastygły tak na wieki w tym pół-ruchu, jako obraz, nie jest wymownym, ani symbolicznie suggestywnym.

Niektóre momenty mają barwę lub plastykę niepowszednią, ale pomimo szerokiego epickiego stylu i nastroju pełnego legendowej powagi, całość jest rzucona, jakby z nieopatrznyim kaprysem—nie-dokształtowana.

*

*

*

W „Kazimierzu Wielkim“ wspaniale brznią akordy wstępne. Z rozkopanego w 1869 r. grobu monarchy, który wzmacniał państwową siłę dawnej Polski, przemawia majestat mocy ducha, trwającej przez wieki. Duch Kazimierza błądzi po przestworzach ziemskich, śniąc o przyszłym życiu narodu „królewskim, błękitnym, pogodnym.“ Nagle słyszy jakiś głos, nakazujący mu, by wracał na dzień drugiego swego pogrzebu i śmierci drugiej. Znajduje się w czarnej pustce, czuje prochem i kośćmi, ale czuje, jakby istota żywa. Brak mu w grobowcu tchu, oczy toną w ciemności. Gdy światło wkrađło się przez otwór wybity w pieczarze, płacze łzami wstydu, które ściekają po twarzy kościstej. Wzruszenia pośmiertne ducha łączą się, według zwyczaju poety, z ruchem materialnych szczątków. Nad otworem grobu stoi człowiek maleńki, jeden z tych, „co są aniołom podobni,“ z proroczym żarem w oku. Poeta z sympatją i czcią wskrzesza postać mistrza Matejki, każe mu przemawiać rzewną skargą pracownika znużonego wśród niedoli czasu — skargą, zakończoną szeptem modlitwy za szczęście ojczyzny.

I spojrział duch królewski na rzeszę ludzi przy grobowcu, na tłum „w skromnych, czarnych ubiorach.“ Spojrział w oblicza współczesnego pokolenia, które ma na czołach „światłość posłannicza,“ a w sercu poczucie „zawodów, męczeństw i klęsk pogromu.“ Odczuł w ich duszach skargę na bezpłodność, na brak wytkniętych celów żywota, na ciemnicę ducha ludu bezdomnego. Gdy kości króla, zebrane na nowo, spoczęły w trumnie sosnowej, z zapachem żywicy zawiął na niego czar. W oczach staje mu majak niespodziewany: w cudnej strofie wyśpiewana, wysniona, święta pieśń szczęścia, które było niegdyś bogactwem narodu. Potem myślą ogarnia wawelską świątynię pamiątek, którą sam dźwigał i upiększał. Widzi u krat grobu cisnącą się ciżbę, czuje z niej twórczy dech wchodzący w próchno kości. Słyszy wołanie

narodu, który wskrzesza w nim marę dawnej wielkości. Zrozumiał wtedy duch Kazimierzowy, dlaczego rozkaz i jęk narodu wróciły go z zaziemskich regionów. Wyzwała się z pęt grobu, siada na kamieniu pod wielką wieżą, tak jak człowiek żyjący, i ogląda korowód swego nowego pogrzebu.

Rytm rapsodu się zmienia, płyną strofy rozkołysane, jękiem dzwonów nabrzmiałe. W przedziwnej melopei snują się obrazy pogrzebu, skąpanego w blaskach słońca, przewijają się wieńce, proporce, płynie tłum barwny, chorągwiany, a nad nim „kołyszą się w górze pienia wróżebne.“ Te karty poeta ukwiecił wyjątkowym dźwiękiem, kojarząc słoneczną uroczystość z głęboką melancholią. Krakowiak z krwi i kości, odczuł powagę i piękno tych chwil uroczystych, w których wspomnienia żałobne w mieście pamiątek, były narodowi świętem otuchy i pokrzepienia.

Wskrzeszony modlitw cudem, duch Kazimierza uderzył wtedy krzykiem piersi spróchniałej, tak, że po całej Polsce rozległo się echo. Ale to nie krzyczy duch zmarłego króla, to krzyczy zatruta bólem narodu, ujarzmiona tradycją wawelową, dusza samego poety.

Jest to w poezji prawo powszechne, że twórca nadaje wywołanym przez siebie postaciom i marom cechy własnego umysłu i wyobraźni, albo każe własnej duszy przemawiać głosem swych bohaterów. Prawo to da się wysledzić w dziełach pisarzy nawet bardzo przedmiotowych, którzy skrywają starannie swoje *ja* za wzorzystą tkaniną przedzy poetycznej. Więc nic dziwnego, że duch Kazimierza odzywa się głosem protestu i wypowiada stanowisko zaprzeczne samego wieszca. Występują tu wyraźnie trzy zasadnicze motywa w poezji Wyspiańskiego, które potem rozwijają się pełniej i barwniej: 1) poeta oskarża naród o rozkochanie się w grobach i poddanie się pod jarzmo historyzmu; 2) powstaje na samozwańczą rolę wielkich romantyków, którzy narzucali rzeszom fałszywe wróżby; 3) potępia niemoc i rozbitcie ducha pokolenia współczesnego, potępia wodzów narodu, podsycających wrzenie i zamęt. Te myśli pojawiają się tu w kształcie słownym, formularnym, wypowiedane, jako bezpośredni wylew uczucia lęku i troski o przyszłość narodu.

Z tych ziarn ideowych w „Wyzwoleniu“ potem wyrasta cały splot barwnych obrazów i symbolów. Przyjrzyjmy się im potem, zadając pytanie, czy istotnie stanowisko zaprzeczne poety, wobec tradycyi historycznej i narodowej, może być uważane, jako moment twórczej myśli polskiej naszego czasu?

W rapsodzie o Kazimierzu, te myśli i przekonania skryształizowane, wyraźnie poparte są energicznym obrazem końcowym. Wobec gromady ludu, odbywającego Sejm jakiś „przy ołtarzu nagrobnym,” duch królewski staje się nagle „krwią i kością między żywymi.” Chwyta młot i miażdży mówcę, który był rzecznikiem zamętu i rozpaczy. Naród obaczył się wolny duchem. Młot wielkości roztrzaskał to, co było rozłamem i niewolą. To symbol, a raczej postulat przyszłości. Rapsod kończy się wróżbą odnowienia wewnętrznej siły narodu przez moc niszczącą jego grzechy i błędy.

W przeciwieństwie do wspaniałej, ale szkieletowej postaci na witrażu, duch Kazimierza Wielkiego jest wstającą z grobu potęgą, która nawołuje do nowego życia. Od początku do końca poemat pełny jest obrazowości majestatycznej, mocno napiętego uczucia, imponuje tężyzną i rozmachem słowa. Układ mniej mętny, niż w rapsodzie poprzednim. Forma stroficzna chwilami się rozluźnia swobodnie, ustępując płynnej rytmice kolędowej.

Wrażenie rapsodu polega na tem, że poeta zestawił wskrzeszoną wielkość dziejową z niedolą i zamętem czasu naszego. To jeden ze zgrzytów bólu narodowego, artystyczna manifestacja siły, płynącej z cierpienia.

JÓZEF KOTARBIŃSKI.

LUTER i ALBRECHT

PRZED SEKULARYZACJĄ PRUS

(Ku uczczeniu rocznicy rejowskiej, urywek z większej pracy).

Niespełna lat dwa trwająca ostatnia wojna Polski z Zakonem niemieckim, „wojna uboga w ważne wydarzenia, wielkich ludzi i czyny, a za to tem bogatsza w okrucieństwa i rabunki“ ¹⁾, zakończona czteroletniem zawieszeniem broni 7 kwietnia 1521 roku w Toruniu ²⁾, przekonała ostatecznie Albrechta, że przeżyty i zgniły Zakon ani marzyć może o samodzielnej wojnie z potężną bądź co bądź Polską Jagiellonów, a już tembardziej o tym ideale rycerzy zakonnych — odzyskaniu t. zw. Prus Królewskich z Warmią. Buta dumnego Hohenzollerna w płaszczu zakonnym, upór w wypełnieniu warunków wieczystego pokoju z 1466 r. i złożenia hołdu, doprowadziły do wojny, która okazała w całej nagości słabość tego „szpitala niemieckiej szlachty,“ jak wówczas w Niemczech nazywano Zakon, tego strupieszatego dziecka epoki zapału religijnego, epoki wypraw krzyżowych. Przyprawiła o straszną nędzę cały kraj zakonny, o najzupełniejszą ruinę tak świetny niegdyś i pełny złota skarbiec krzyżacki, podniosła rozgoryczenie i zniechęcenie wśród poddanych Zakonu. Po paru tygodniach wyprawy, cały niemal kraj leżał u stóp zwycięskiego Jagiellona, wojska tego „dziekana i rozjemcy Europy“ zbliżyły się już pod Królewiec, zajmwszy poprzednio cały szereg miast... katastrofa zupełna była bliską, bo

¹⁾ Voigt, J. „Gesch. Preussens“ Bd. IX, p. 634.

²⁾ Tekst odnośnego dokumentu u Dogiela Codex dipl. Pol., t. IV, p. 218—223.

i najemne wojska Albrechta buntować się poczęły. Wyratowała Krzyżaka niewytrwałość polska i łagodność Zygmunta, jak często, tak i tu niepotrzebna; wyratowało pośrednictwo cesarza i Ludwika, czesko-węgierskiego króla. Zawarto chwilowy rozejm. Dla Albrechta była to wielka wygrana. Zyskiwał bądź co bądź znaczny kawał czasu, bo lat cztery, by obmyśleć i przygotować się do przyszłych wypadków. Bo zawieszenie broni—to nic innego, tylko odłożenie sprawy. Nie zakończył jej, nie rozwiązywał wcale, zostawiał „status quo.“ W. mistrz zaraz też zaczął myśleć o nowych środkach i sposobach ubezpieczenia się i lepszego przygotowania do nowego aktu, który się po czterech latach miał rozegrać. A nie przeczuwał nawet takiego nadzwyczajnego końca, jaki zaszedł rzeczywiście. Tymczasem naokół napotykał na coraz nowe trudności, zawikłania, niechęci i to wśród własnych poddanych. Ani mistrzowie prowincjonalni (w Niemczech, Austrii, Inflantach), ani mieszkańcy Prus zakonnych nie chcieli słyszeć o nowej wojnie, o nowych podatkach i zasiłkach pieniężnych. Uchylali się, jak mogli i umieli, powoływali na statuta (austriacki mistrz), na nędzę kraju, na lokalne zawikłania. Niektóre niemieckie posiadłości krzyżackie „ballaie“ np. Utrecht były wręcz nieposłuszne. A skarb w. mistrza był pusty; wierzyciele, jak elektor brandeburski, Joachim, wołali gwałtownie o zwrot pożyczek. Wśród całej powodzi pomysłów, projektów, bardzo ciekawych i charakterystycznych dla Albrechta i będących dowodem bardzo ciężkiego i rozpaczliwego położenia Krzyżaków – wstąpienie Albrechta do służby francuskiej, cesarskiej, by walczyć z Turkami, Ludwika węgierskiego i zrzuć habitus zakonny i t. d.—wyłania się jeden, najważniejszy, dla nas decydujący i naprawdę zrealizowany. Jest nim wyjazd Albrechta do Niemiec, by tam wzbudzić uśpiony zapal dla bratniego zakonu, by wyjednać u cesarza i panów niemieckich pomoc i ratunek dla tej straży germanizmu na północy¹⁾.

Nie wiele nas tu interesuje, kto był autorem tego planu, tej podróży w. mistrza: czy sam w. mistrz ją powziął, jak mamy tego ślady jeszcze w 1521 r.²⁾, czy też poddał mu ją ten awanturniczy,

¹⁾ Ob. o tem wszystkim Voigt'a *Gesch. Preussens* Bd. IX, str. 634—650 lub Joachim'a E. „*Die Politik des letzten Hochmeisters*“ Bd. III Einleitung (w *Publicationen aus den preussischen Staatsarchiven* Bd. 61). Że taki cel miała mieć podróż Albrechta do Niemiec, stwierdza instrukcja poselska dla Klingenberg'a, posła do cara Wasyla Iwanowicza, w marcu 1522 u Joachima „*Die Politik*“ Bd. III № 50.

²⁾ Joachim o. c. Einleitung p. 9.

ograniczony rycerz miśnieński Ditrich z Schönbergu, który długi czas wywierał ogromny a nieszczęśliwy wpływ na Albrechta, był jego najulubięszym poufnikiem, twórcą całego szeregu najrozmaitszych a dziwacznych często projektów i pomysłów, posłem do wszystkich książąt, królów, bo nawet do Anglii i Szkocyi, by pomocy dla Albrechta szukać, a bezskutecznie (te podróże Dytrycha mają miejsce przedewszystkiem w czasie po zawieszeniu broni a wyjazdem mistrza z Prus), słowem, który był „koszulą i władcą w. mistrza,“ jak go nazywa jeden z współczesnych kronikarzy ¹⁾, by potem ustąpić miejsca i wpływu również ciemnego charakteru Pawłowi Skalichowi. Dość, że Albrecht 10 kwietnia 1522 r. zaproszony przez Ludwika Jagiellończyka ²⁾, wyjechał do Pragi przez Polskę ³⁾, by 20 czy 21 września t. r. w towarzystwie arcyks. Ferdynanda stanąć w Norymberdze ⁴⁾. Opuszczał swe dziedzictwo na czas długi, bo przeszło trzy lata, zostawiając za sobą rozgoryczenie i niechęć poddanych dla siebie, boć przecie owa kosztowna wojna, która prawie 175 tysięcy grzywien kosztowała ⁵⁾, musiała i istotnie fatalnie odbiła na ekonomicznym stanie Prus. ⁶⁾.

Jeżeli się zważy cały rozwój dalszych wypadków, całą nić następstw, aż do wytworzenia królestwa pruskiego i potem rozbiórów Polski, to musi się uznać ten wyjazd Albrechtowski za wypadek epokowy. Prusy zakonne, Królewiec, nie miały już nigdy ujrzeć w. mistrza w swych murach... Biały płaszcz, znienawidzony przez poddanych, nie miał już więcej niepokoić szlachtę pruską. Nie przewidywał, nie przeczuwał tego nikt, sam w. mistrz nawet, opuszczający w orszaku 120 ludzi mury stolicy. A przecież już daleko i szeroko rozlegał się protest potężny wittenberskiego Augustyanina, który siedział w Wartburgu i nad przekładem Bi-

¹⁾ Grzegorz Spiess (Script. Rer. Prussic., t. V., p. 351), który w 1513 r. wstąpił do kancelaryi Albrechta i potem był jego kanclerzem. Jego kroniczka powstała po r. 1526. Oto jego słowa o Dytrychu: „des hoemeisters underhembd und herscher, auch alles des ordens unfall sampt seinen brudern Hansen und Antonien vor, in und nach dem Krieg und des hoemeisters abfall urhabe, anketzer, stieffter und wie Anthonius mermals beschuldigt worden, des Königs zu Polen verretter...“

²⁾ Tschackert: Urkundenbuch zur Reformationsgeschichte des Herzogthums Preussens, Bd. II, № 54.

³⁾ Zob. ib. № 55 (Itinerarium Albrechta, błędne w niektórych szczegółach).

⁴⁾ Deutsche Reichstagsacten, Jüngere Folge, Bd. III, p. 807, 808.

⁵⁾ Voigt: Gesch. Preussens IX, p. 634.

⁶⁾ Joachim, j. w. Einleitung, p. 29.

blii pracował. Przecież w niedalekiem Gdańsku przed paru jeszcze laty głosił „ewangelię“ w duchu Lutra — Jakób Knade. Czy w. mistrz słyszał już co o tej nowej nauce i potępionym przez kościół jej twórcy? Oczywiście. Nie napróżno jeździł po Europie Dytrych z Schönbergu; on też musiał mistrzowi o tem opowiedzieć. Ale były to tylko pogłoski, wieści pośrednie. Albrecht przedewszystkiem pomocy zebrać jechał u krewnych, u książąt niemieckich. A wrócił innym i na duszy i w ubiorze i w godności. Pamiętny to więc dzień w dziejach krzyżackich, dzień, w którym Królewiec zegnał swego mistrza. Pamiętny i wielki przez swoje niespodziane, nieobliczone następstwa.

*

*

*

Albrecht znalazł się w wielkim świecie. Na dzień 1 września 1522 r. zwołano do Norymbergi sejm Rzeszy. Na ten sejm jechał Albrecht w towarzystwie namiestnika i brata cesarskiego, Ferdynanda, arcybiskupa salzburskiego, biskupa passawskiego, ks. brunszwickiego i innych. Jechał prosić o pomoc, o ratunek dla siebie, dla Zakonu. Wpadł w wielki wir życia, potężny, oszołamiający. Norymberga żyła świetnie. Była niemal centrum ruchu Niemiec ówczesnych, stolicą centralnego rządu Rzeszy (Reichsregiment), ogniskiem i to oddawna już życia literackiego, artystycznego i handlowego, nie mówiąc o politycznem. Tu żył i działał Hans Sachs, tu kwitnęła oddawna t. zw. poezya „Meistersängerów,“ tu tworzył i malował Albrecht Dürer i inni. Mieszczaństwo bogate dokonywało arcydzieł w wyrobach cechowych, snycerskich zwłaszcza i stolarskich, prowadziło rozległy i wielki handel. Norymberga była przecież jednym z sześciu miast cesarskich, była najlepszym typem, jednoczącym w sobie charakter mieszczańskiej i rodzimjej kultury niemieckiej. A i nauka ścisła znalazła tu grunt podatny. Wybitny humanista, filolog i historyk Willibald Pirckheimer stał na jej czele, on i jego córka Charitas gromadzili koło siebie całe grono uczonych i humanistów niemieckich¹⁾. A i teraz

¹⁾ Por. choćy Geiger: Renaissance und Humanismus in Deutschland und Italien (w zbiorze Onckena).

ta świetna i droga pod względem życia codziennego Norymberga nie została głuchą na potężną, żywiołową falę reformacyi. I ona rzuciła się w ten wir i wytworzyła cały szereg predykantów, głosicieli nowej, a więc ponętnej nauki. Lazarus Spengler, pisarz miejski, Dominicus Schleupner, Tomasz Venatorius, Karol Röss, a przede wszystkim Andrzej Osiander — to najznakomitsi z nich. Ludność Norymbergi brała też gorączkowy udział w ich kazaniach, cisnęła się na nie tak gwałtownie i licznie, że rada miejska postanowiła wznieść nową kazalnice w kościele św. Sebald, gdzie uczył Schleupner¹⁾. Prawda, że sejm Rzeszy ściągnął wielki napływ ludzi i ruch bardziej jeszcze spotęgował.

Sejm Rzeszy otwarto dopiero uroczyście 17 listopada²⁾, a już 24-go złożył Albrecht, który wśród członków sejmu zajął poczesne stanowisko pomiędzy biskupami Rzeszy³⁾, swoją supplikę o pomoc dla Zakonu niemieckiego⁴⁾. Sejm wydzielił ze siebie, jak i dzisiaj, po parlamentach, cały szereg wydziałów i komisji. Należał do niektórych i w. mistrz, jak np. do ściślejszego wydziału dla sprawy luterskiej, jednej z najważniejszych wśród zajęć sejmu⁵⁾. Był wydział osobny i dla sprawy przez Albrechta przedłożonej. Ale ten niewiele przyniósł mu korzyści, jak wogóle i cały sejm oczywiście odnośnie do pomocy dla Zakonu, chociaż zgromadzenie szlachty ujęło się za uciśnionym przez Polskę Zakonem i zwróciło do stanów, by sejm u Ludwika Jagiellończyka i Ferdynanda austriackiego wyjednał jakiś decydujący zjazd, któryby spór polsko-krzyżacki naprawdę zakończył: szlachta bowiem stanowczo stać będzie w obronie Krzyżaków. Odpowiedziano w połowie lutego 1523 r., że Albrecht winien wyszukać rozjemców i pokojową drogą cały spór zakończyć. Może mu w tym względzie i papież wiele dopomódz. Około najbliższych Zielonych Świąt mogłoby nastąpić, zdaniem sejmu, załatwienie tej sprawy; wskazał Albrechtowi także kogoby uważał za najodpowiedniejszego do tej rozjemczej misji (biskupi Freisingu i Passawy, Ludwik, ks. bawarski, Dr. Zoch i Jan von Schwarzenberg), a przytem odmówił stanowczo wszelkiej pomocy zbrojnej, bo w obecnych warunkach jest to niemożliwe⁶⁾.

1) Deutsche Reichstagsacten j. w. p. 410/11 w uwadze (D. R. A.).

2) Ibidem p. 216 i 283.

3) Ib. p. 284.

4) Ib. p. 290.

5) Ib. p. 417 (uwaga).

6) D. R. A. p. 735 i Joachim o. c. Bd III № 87.

Niewiele więc mistrz uzyskał, ale za to pod innym względem pobyt jego w Norymberdze miał wielkie znaczenie. Jak wspomnieliśmy, Albrecht przybył wcześniej do Norymbergi i bawił tu dłuższy czas, bo jeszcze w początkach maja 1523 r. z przerwami¹⁾, jakkolwiek sejm w lutym się zakończył²⁾. Miał więc Albrecht dosyć czasu zapoznać się ze stosunkami i wybitniejszymi osobistościami. I istotnie wszedł w bliższe stosunki między innymi z Elżbietą, żoną wypędzonego w 1523 r. Krystyna II, króla duńskiego, która odwiedzała Lutra w Wittenberdze, a teraz przebywając w Norymberdze publicznie przyjmowała komunię św. pod obu postaciami i zwolenniczką Lutra się nazywała³⁾. Zapoznał się dalej z gorącym przyjacielem reformacyi, miejskim pisarzem Lazarusem Spengler'em, twórcą wielu pieśni religijnych w duchu Lutra⁴⁾. Ale największy, najważniejszy wpływ wywarł na Albrechta słynny w dziejach reformacyi, radykał tak gorący, że z Lutrem popadł później w spór teologiczny — Andrzej Osiander z Gunzenhausen, główny wówczas kaznodzieja norymberski. Kazał on podówczas przy kościele św. Wawrzyńca z porywającą wymową, siłą i zapałem gromiąc papieżstwo i zepsucie wśród duchowieństwa i świeckich, zaręczając, „że gdyby papież do swoich trzech koron, jeszcze czwartą na swoją skroń włożył, to nie potrafiłby go odwieść od Słowa Bożego“⁵⁾, twierdząc, że Najśw. Marya Panna nie zachowała dziewictwa. Tłumy przysłuchiwały się jego gwałtownej wymowie, porywane przez niego i zjednywane dla nowej nauki. Przysłuchiwał się tym kazaniom z zajęciem i nasz Albrecht. Osiander był pierwszym siewcą, on rzucił pierwsze ziarno luteranizmu do duszy w. mistrza, przygotował grunt do sekularyzacyi Prus przez przemianę uczuć i pojęć religijnych u głowy Zakonu. Jego też nazywa Albrecht swoim „ojcem w Chrystusie“ i długie lata wdzięczność dla niego zachowuje, uwielbienie i cześć. On był dla niego tym „jedynym środkiem, przez który doszedł do prawdziwego, słusznego, boskiego poznania,“ jak sam w 1540 r. pisze do niego, on wyprowadził go z „ciemności papieżstwa“ a w częstych rozmowach wzbudził zaufanie do mistrza re-

1) Tschackert Urkundenbuch Bd II № 55.

2) D. R. A. p. 736 sq.

3) Hase: Herzog Albrecht von Preussen und sein Hofprediger. Leipzig 1879 p. 11.

4) Rindfleisch J. Herzog Albrecht von Hohenzollern, Danzig 1880 p. 6 i inne dzieła.

5) Rindfleisch j. w.

formacyi, chęć poznania go bliżej. Był więc Osiander nader niebezpiecznym dla kościoła przez swój radykalizm i olbrzymi wpływ. Cóż więc dziwnego, że wysłany na sejm Rzeszy Chieregati jego uwięzienia przed innymi predykantami domagał się od stanów?

Bawił bowiem na sejmie jako nuncyusz papieski, Chieregati Francesco, biskup z Teramo (w Abruzzach). Wysłał go Hadryan VI, by tam wzywał stany niemieckie do wojny z Groźną Portą, do ratowania Węgier od zalewu Półksiężycy, by przeszkodził zagrożającemu wzrostowi reformacyi w Niemczech i zażądał od stanów wypełnienia edyktu wormackiego z 1521 r. przeciw Lutrowi i jego nauce. Z polecenia papieża wygłosił Chieregati mowę, jakiej z ust legata papieskiego nigdy jeszcze nie słyszały Norymberga, ani Niemcy całe. „My wiemy — mówi papież w swej instrukcyi dla legata — że w tej świętej stolicy od pewnego czasu wiele wstrętnych czynów dokonano: nadużycia w rzeczach świętych, przekroczenia w przepisach i że to wszystko w końcu do przewrotu doprowadziło. Cóż więc dziwnego, jeżeli choroba ogarnęła od głowy do członków, od papieży do innych niższych prałatów. My wszyscy (t. j. prałaci i duchowieństwo) odstąpiliśmy prawej drogi i nie ma już długo nikogo, coby czynił dobrze, ani jeden nawet. Przeto potrzeba, byśmy wszyscy oddali chwałę Bogu i poddali mu swego ducha i by widział każdy siebie, skąd spadł i lepiej się osądził, niż by chciał być osądzonym przez Boga w szaleństwach swoich.“ Sądził papież, że takie oskarżenie samego siebie, kościoła całego w jego członkach — wywrze dodatni wpływ, odwróci myśl od reformacyi, od buntu przeciw kościołowi rzymskiemu, który przyrzeka przez usta swej głowy zupełną poprawę i reformę, że powstrzyma gwałtowną falę odszczepieństwa, a stany zebrane na sejmie do walki z luteranizmem popchnie. Tymczasem było to, jak słusznie osądził jeden z uczonych niemieckich (Jerzy Winter), dolaniem oliwy do ognia. Słowa powyższe wywarły wręcz przeciwny skutek, a złączone z wywodami Osiandra i jemu podobnych utwierdziły tylko w nienawiści do Rzymu, do papieństwa, które rzeczywiście nie wiele musi wartać, skoro sam papież je potępia. Nie osiągnął też nic Chieregati. Nie powstrzymał fali, nie uzyskał uwięzienia predykantów od sejmu, który wręcz oświadczył, że wywoła to tylko większe jeszcze burze i wrzenie wśród wielbiącej swoich kaznodziei ludności: nie uzyskał egzekucyi karolowego edyktu przeciw Lutrowi z 1521 r., owszem jego zawieszenie.

Ale Chieregati miał i inne jeszcze specjalne misye i listy od papieża — między innymi osobistościami także i do Albrechta.

Miał z nim mówić o wojnie z Turkami i o sprawie zagrożonej przez reformację religii, jak o tem świadczą listy uwierzytelniające papieskie dla legata, a do mistrza adresowane. W jednym z nich uprzedza Hadryan VI Albrechta, że Chieregati ma z nim o ważnych rzeczach dotyczących Lutra i jego nauki konferować, bo papież słyszał, że mistrz odznacza się wielką gorliwością religijną. Legat zabrał się natychmiast do pracy i wypełnienia polecenia papieża. W parę dni bowiem zaledwie po przybyciu Albrechta do Norymbergi, już 27 września odbył z nim konferencję, wzywając mistrza w imieniu papieża, by się przyczynił do uchwał dotyczących grozy tureckiej, a zarazem, by wraz z innymi książętami chrześcijańskimi pracował nad wyplenieniem i wyrwaniem korzenia herezyi luterskiej. Albrecht za krótko bawił jeszcze w Norymberdze, nie miał jeszcze na tyle czasu, by się zapoznać z Osian-drem i jego wymowie pozwolić działać, mógł więc poniekąd szczerze całkiem odpowiedzieć legatowi, że nie zna dotąd tej nowej nauki, niemniej jednak przyrzeka mu swą pomoc tak w sprawie tureckiej, jak i przeciw Lutrowi, gdyby ten pisać i działać zaczął przeciw kościołowi. Widocznie papież niezbyt dowierzał szczerości zapewnień Albrechta, skoro legatowi swemu daje ponownie polecenie rozmówienia się z mistrzem i w liście z 30 listopada do Albrechta używał wspomnianych wyżej wyrażeń o gorliwości jego religijnej, którym dr. E. Joachim ironiczny podkład przypisuje. Wtedy to zapewne otrzymał Chieregati ową słynną odpowiedź mistrza, która zwróciła na niego uwagę Lutra i była dalszym etapem na drodze luteranizacji Albrechta. Dowiedział się o niej bowiem profesor wittenberski i on ją nam przekazał w swoim liście z 19 grudnia 1522 r. do przyjaciela swego Wacława Link'a, z którym często podówczas korespondował. Odpowiedział mianowicie Albrecht, że chętnie kościołowi dopomagać będzie, ale wcale nie myśli źle o „ewangelii“ i sądzi, że to nie dobra dla kościoła pomoc palić księgi i potępiać prawdę¹⁾. To pierwszy sąd Albrechta o Lutrze, a ze strony tegoż już jawne przyznanie się do sympatyj dla nowej nauki. Dziwić już nas ten sąd w. mistrza nie bę-

¹⁾ Dr. Martin Luther's: Briefe, Sendschreiben und Bedenken... bearbeitet v. W. de Wette. Berlin 1826. Teil II № 444 p. 266: „Quod de responso principum ad legatum pontificium scribimus, factum est a magistro Prussiae marchione Friderico (sic! zamiast Albrechta): hic enim dixerat sese Ecclesiae libenter adiuturum, sed eum non esse modum Ecclesiae iuvandae, damnare manifestam veritatem et libros exurere, diciturque non male de Evangelio sentire.“

dzie dla tego, że od września do grudnia miał już Albrecht dosyć czasu zapoznać się z luteranizmem za pośrednictwem radykalnego Osiandra i innych znajomości.

Ale fakta powyższe, owe konferencje z Chieregati'm, rzucają się w oczy i zastanawiają. Są one bardzo charakterystyczne. Pozwalają wysnuć wniosek, że już wtedy, gdy jeszcze obca mu była nowa nauka, był Albrecht w Rzymie u papieża podejrzany, nie uchodził za pewnego w wierze. Co na to wpłynęło, co wyrobiło tę podejrzliwość wyglądającą z listów papieskich? Oto pytanie, jakie się tutaj narzuca. Źródła, jakie mamy w ręku, nie dają niestety na to pytanie odpowiedzi jasnej i stanowczej, tylko hipotetycznie pozwalają nam odpowiedzieć¹⁾. Otóż sądzę, że niedalekim od prawdy będzie mój wniosek, że źródła tej podejrzliwości u Hadryana VI względem prawowierności Albrechta należy szukać w stosunkach mistrza z Dytrychem z Schönberga i jego braćmi, z których jeden, Mikołaj, napozór Dominikanin, był właśnie arcybiskupem kapnańskim i często w Rzymie przebywał. Jak wspomniano, Dytrych był największym przyjacielem i powiernikiem Albrechta, jeździł od lat kilku po całej prawie Europie w sprawach w. mistrza. Mogły więc bardzo łatwo przyjść skądś do papieża jakieś głuche wieści, które obudziły jego czujność i zwróciły uwagę. To byłoby źródło ogólnej natury, któremu trudno jest nam

¹⁾ Zaznaczyć wypada, że najważniejsze w tym względzie zbiory Tschackert'a i Joachima, na królewieckim archiwum oparte, są niewystarczające. Tschackert zajmuje się przedewszystkiem reformacją w Prusiech — Joachim natomiast tę ostatnią usuwa z całą świadomością na plan drugi, cały ciężar kładąc na politykę W. Mistrza. Ogłoszone przez nich dokumenta i materiały są *prawie* wyłącznie rejestrami, streszczeniami mniej lub więcej obszernemi danego listu czy dokumentu, a bardzo rzadko przytaczają je w całości — dotyczy to szczególnie Tschackert'a. Ten ostatni nie ogranicza się do archiwum królewieckiego, wciąga i inne zbiory, inne wydawnictwa (np. Tomiciana nasze), nie ogranicza się dalej do aktów samych, ale podaje informacje z kronik o kronikach i innych współczesnych pomnikach historyczno-literackich, jak np. ulotnych broszurach polemiczno-teologicznych. Jego zbiór obejmuje więc więcej, niż zapowiada tytuł „Urkundenbuch,“ bo nie same „Urkunden“ się w nim znajdują. A przecież nie podaje wszystkiego. Można to twierdzić z wielkiem prawdopodobieństwem przez porównanie z wydawnictwem Joachima. Mniejsza już bowiem o to, że ten drukuje przedewszystkiem nowe materiały, bo to było rzeczą konieczną wobec odmiennego punktu wyjścia u obu wydawców, a przez to są oni wzajemnie niezbędnem uzupełnieniem dla historyka sekularyzacji Prus. Ale materiał ogłoszony przez Joachima jest może tylko połową — trudno tu bowiem statystykę przeprowadzać — ogólnego

nadać jakieś realniejsze, konkretniejsze kształty, bliżej i jaśniej je oznaczyć: jakie to np. były pogłoski, od kogo pochodziły i t. d. Ale mamy drugie jeszcze źródło, wprawdzie także mało wymowne, ale za to wyraźniejsze, a również z osobą Dytrycha związane. Oto ten szlachcic miśnieński jeszcze jakoś we wrześniu 1521 r. poddał Albrechtowi myśl, by do Lutra zwrócił się o poradę i pomoc w sprawie reorganizacji Zakonu Krzyżackiego i jego statutu. Elektor saski, Fryderyk, opiekun i obrońca Lutra—przebywającego podówczas na zamku w Wartburgu—miał być w tej sprawie pośrednikiem¹⁾. Jest to pierwszy wypadek, w którym spotykamy się z imieniem Lutra w aktach Prus zakonnych dotyczących. Ten projekt, który jak dotąd projektem tylko pozostał, mógł także łatwo dojść do ucha papieskiego i owe uczucia wywołać.

Takie było przygotowanie się Albrechta, pierwszy akt jego luteranizacji. Dwa przyniósł on nam rezultaty: oto w. mistrz zbliżył się i zapoznał z nauką Lutra, nabrał dla niej sympatii i zwrócił na siebie uwagę stolicy apostolskiej. To pierwszy skutek jego podróży do Niemiec. W roku następnym, 1523, rozpocznie się akt drugi.

W marcu 1523 r. wysłał Luter z Wittenbergii okólnik do „panów niemieckiego zakonu“ z własnej zupełnie inicjatywy. Już tytuł jego jest bardzo charakterystyczny: „An die Herrn deutsch

materyału znajdującego się w królewickim archiwum i który autor spożytkował w swoim wstępie (Einleitung). Dowodem tego są liczne przypiski (cytaty) w owym wstępie, ale niestety są one tego rodzaju, że nie pozwalają poznać naprawdę charakteru tych materyałów i zmuszają ograniczyć się do domysłów na podstawie tekstu samego wstępu. Dr. Joachim podaje bowiem tylko kto, do kogo, kiedy i skąd dany list pisze i sygnaturę archiwalną tegoż, a nie objaśnia wcale o jego treści. Wyjątkowo tylko robi jakąś uwagę. Dzięki też tej niefortunnej metodzie przypisków, możemy tylko przypuszczać, a nie twierdzić stanowczo, że Tschackert nie podał wszystkiego, że nie wydrukował listu czy aktu mającego znaczenie dla niego, *jako dla wydawcy dokumentów do historii reformacji w Prusiech*. Nie znamy więc np. listów prokurata Krzyżackiego dr. Buscha w Rzymie do w. mistrza z tych lat (1521—1522), a przynajmniej wszystkich, choć jak z Joachima widać, mieszczą się one w Królewcu. A czy w nich nie ma jakich wiadomości, skąd czerpał papież swą podejrzliwość względem Albrechta w ostatnich miesiącach 1522? Mam wrażenie pewne na podstawie studyowania Joachima, że tak. A ponadto, czy i w Rzymie nie znalazłoby się jakichś informacyj w tej sprawie? To są więc powody, dla których musimy uznać, że źródła, jakie posiadamy w ręku, są niewystarczające.

1) Joachim l. c. № 26 p. 164.

Ordens, dass sie falsch Keuscheit meiden, und zur rechten ehelichen Keuscheit greifen Ermahnung.“ Wskazuje on cel pisma z 28 marca, wskazuje, że chodzi tu o instytucję klasztorów, których Luter był zawziętym wrogiem. Wzywa tu profesor wittenberski członków krzyżackiego zakonu, by porzucili swą regułę i celibat; argumentami z Pisma św., jak zwykle w takich razach, usiłuje udowodnić słuszność swoich wywodów. Ale i świeckie względy przemawiają za rozwiązaniem Zakonu. Jest bowiem nadzwyczajną rzeczą, by posiadać świecką władzę i miecz dzierżyć w dłoni, a być równocześnie mnichem; jak się to zgadza, uczy codzienne doświadczenie. Wielu z członków Zakonu żyje teraz niemoralnie i to właśnie dzięki celibatowi, bo szkodliwą jest taka przymuszona czystość. Zakon posiadając wielkie dobra, wielu poddanych, wogóle tworząc organizm państwowy, jest dla tych poddanych swoich nie tylko nieużyteczny, ale nawet niemiły im i nienawistny: zmieni się to, gdy za jego radą pójdzie, i Bogu miłszymi się staną jego członkowie i poddany, którzy z ogólnym poklaskiem i radością przyjmą taką zmianę. A wreszcie Zakon Krzyżacki przez swoje znaczenie i potęgę da inicjatywę, przykład piękny innym zakonom niemieckim, że pozbedą się tej „falszywej czystości,” Luter wierzy więc, że rady jego nie będą bezskuteczne¹⁾.

Czy ten okólnik Lutera — pisze dr. Tschackert — doszedł do miejsca swego przeznaczenia i był tam czytany—niewiadomo; ale że znał go Albrecht i czytał w Norymberdze, jest więcej niż prawdopodobnem²⁾. Jemu też przypisuje niemiecki uczonej bezpośrednio inicjatywę nader ważnego postępu Albrechta, który był wielkim krokiem naprzód w zmianie pojęć religijnych w. mistrza. Nie próżnował bowiem pod tym względem potomek Hohenzollerna, który był właśnie przeszło sto lat temu burgrabią tej samej Norymbergii, a która tak ważną rolę odegrała w życiu siostrzeńca Zygmunta Starego. Charakterystyczny i wymowny tego dowód daje nam oświadczenie Albrechta w sprawie kazań i zakonników złożone na sejmie Rzeszy. Kaznodzieje winni — zdaniem Albrechta — unikać wszystkiego, co jest przeciw władzy skierowane i chrześcijan na złą drogę zaprowadzić może, a objaśniać ewangelię „nach bewährten Schriften und christlicher Auslegung,” a nie na „Auslegung“ (wykładzie) czterech nauczycieli kościoła: Hieronima,

¹⁾ Okólnika tego nie znam w oryginale; dłuższe jego streszczenie podał Köstlin: „Martin Luther,” Elberfeld 1875 Bd I p. 657.

²⁾ l. c. Bd I p. 23 (Einleitung).

Augustyna, Grzegorza i Ambrożego t. j. tych czterech komentatorów Pisma św. Pierwotnie uwzględniał Albrecht wykład tych teologów, ale później przeglądając brulion swego oświadczenia, przekreślił ich nazwiska i dopisał „nach christlicher Auslegung.“ Co się zaś tyczy mnichów, którzy opuścili klasztor i pobrali żony, to sądzi w. mistrz, że powinni uleść tylko karze duchownej t. j. utracie przywilejów, beneficjów, ale w żadnym razie świeckiej¹⁾. Równocześnie z tem oświadczeniem lub niedługo po nim, w dn. 14 czerwca 1523 r. spełnia Albrecht krok wielkiego znaczenia — jest to z jego strony pierwsze bezpośrednie jego porozumienie się z Lutrem, pierwszy jego list do niego. Oto w dniu tym wysyła Albrecht z Norymbergi do Lutra dworzanina swego, magistra Jana Oeden'a z Heibronu z listem uwierzytelniającym i instrukcją poselską. Albrecht prosi przez tego posła o radę w sprawach Zakonu. Zaklina go na wszystko, by milczał o tem poselstwie Oeden'a do grobu i spalił list uwierzytelniający dla Oeden'a, by nikt się nigdy o tem nie dowiedział. Posyła Lutrowi księgę statutów Zakonu Krzyżackiego, z prośbą, by je przejrzał, poprawił i swój sąd wydał; by go pouczył, jak duchowieństwo w państwie zakonem ma jąć się swojej poprawy, co robić, by się stało prawdziwie chrześcijańskim²⁾. Odpowiedzi Lutra na to poselstwo nie znamy, bo tekst jej zaginął, tylko jeden jedyny Szymon Grunau, współczesny kronikarz podaje o niej wiadomość. Otóż według niego uznać miał Luter statuta zakonne za dzieło prywaty, interesu osobistego „katów biednych ludzi,“ z których najuczciwszy jest gorszy od Turka. W początkach istnienia Zakonu trzymano się „ewangelii,“ a nie reguł, które później powstały. Dziś składa się dziesięć przysiąg, a żadnej nie dotrzymuje. Uczeni niemieccy uważają Grunau'a, tego nieprzyjaciela reformacyi, za źródło mętne i potwarcze, nie bardzo więc dowierzają jego relacyom. Ale z drugiej strony podnieść trzeba, że ten Dominikanin z Gdańska, korzystał z wielu dokumentów, listów i t. p. i na ich podstawie układał swą wielką kronikę. Przyznają mu to ci sami niemieccy uczeni, bardzo więc być może, że i w powyższej relacyi mieści się ziarno prawdy.

Przez to poselstwo Albrecht znowu posunął się naprzód i tym razem znacznie, bo wszedł już w bezpośredni kontakt z Lutrem,

¹⁾ Tschackert o. c. Bd II № 118.

²⁾ Tschackert j. w. № 113 i 114. Instrukcyi tej również nie znam z powodów powyżej podanych.

zawiązał z nim korespondencyę, która długo potem trwać będzie. Omawiając to poselstwo Oeden'a, dwie rzeczy podnieść należy.

W instrukcyi dla posła swojego na pierwszym miejscu kładzie w. mistrz prośbę do Lutra, by milczał o tem aż do grobu. Jest to dowodem wyraźnym, że w Albrechcie nie zaszła jeszcze najzupełniejsza zmiana, że bał się jeszcze ryzykować i stanowczo przekraczać Rubikonu. Dla Luteranizmu czuł sympatyę i pociąg wielki, ale co mu za korzyść przynieść może takie otwarte przyznanie się do buntu przeciw istniejącemu porządkowi lub na co go narazi? Była to jeszcze kwestya otwarta, wątpliwości poważne. Co na to powie cesarz Karol V, co powie papież, co Polska wreszcie i jego rodzony wuj Zygmunt? Cesarz, papież byli dotąd jego tarczą, jego opiekunami, oni bronili go i zasłaniali przed zupełną katastrofą, hamowali Polskę, wyjednali to zawieszenie broni, z którego Albrecht dotąd korzystał. Czy będą takimi obrońcami i nadal, gdy on, Albrecht, zrzuci płaszcz krzyżacki i wyznawcą Lutra się ogłosi? Oczywiście — nie. Odwróci się i jeden i drugi; przecież cesarz jest wrogiem Lutra, autorem edyktu przeciw niemu. Ba, nietylko odwróci się i odmówią kategorycznie swej dotychczasowej moralnej pomocy i poparcia, ale potępią go wprost i przeciw niemu swe siły skierują może nawet i Zygmunta do walki z nim wzywać będą. A czujność papieska już przeciw obudzona. A Polska i jej prawowierny monarcha czy nie skorzysta z tego i nie zdławi już w zupełności i nazawsze hydry krzyżackiej? Spór zaś z nią ciągle jeszcze nie załatwiony, stosunki takie, że bez pomocy i pieniężnej i orężnej o wojnie z Polską nie ma mowy. Pomoc zaś z Rzeszy byłaby bardzo niewystarczającą, gdyby cesarz stanowczo opuścił Zakon. A co on sam i poddani jego (Zakonu) powiedzą na taki krok swego pana i zwierzchnika i jak go przyjmą? Czy wreszcie luteranizm ma przed sobą jaką przyszłość i możliwość zwycięstwa w walce z potężnym bądź co bądź kościołem i cesarzem? Wątpliwości więc poważnych było dużo i nie dziw, że Albrecht przestrzegał ostrożności, lękał się zawczasem zrzucić maskę. A w dodatku on Lutra jeszcze nie znał; to co wiedział o nim, to były wiadomości od ludzi postronnych. Jeżeli się więc ma jakąś rzecz postanowić, trzeba ją wprzód zbadać dobrze, przypatrzeć się jej zblizka, czy warta ofiary. Stąd to poselstwo do Wittenbergi. Oeden grał tu rolę forpoczty, przedniej straży, która miała zbadać teren, przygotować dalszą akcyę. To jedno.

Luter miał przejrzeć księgę statutów zakonnych, poprawić, udzielić rady, jak pracować, by Zakon i duchowieństwo w Pru-

siech krzyżackich odzyskało zdrowie moralne — to był oficjalny cel tajnego poselstwa. Rzecz to nie nowa. Jeszcze w 1519 r. 6 listopada wysłał papież Leon X brewe do Albrechta, w którym wzywa go, by uskutecznił gruntowną reformę i poprawę obyczajów wśród członków Zakonu¹⁾. Teraz, w 1523 r. Hadryan VI odnawia ten rozkaz poprzednika swego i wzywa powtórnie w. mistrza do pracy w tym kierunku. Albrecht o podobnej działalności myślał w istocie — wojna z Polską przeszkodziła w pracy, ale po niej wyszła znowu na wierzch. Jak wiemy, już w 1521 r. nosił się w. mistrz z podobnym planem, ale nie wiedział, jak do tego się zabrać i do kogo zwrócić. Dytrych z Schönbergu podsunął mu już wówczas Lutra, Albrecht niniejszem poselstwem wypełnia jego radę i do Lutra o pomoc się ucieka. Że wpłynął na to postanowienie obok ogólnych powodów, zmian zachodzących w duszy w. mistrza pod wpływem Osiandra, także i okólnik Lutra do członków Zakonu — rzecz niewątpliwa. A zważyć należy, że to co Luter pisał w tym okólniku i co według Grunau'a relacji miał odpowiedzieć Oeden'owi o zepsuciu wśród rycerzy krzyżackich, było najzupełniejszą prawdą. Krzyżacy ulegli wówczas najstraszniejszej zgniliznie moralnej, najohydniejszemu nierządowi, byli już rozkładającym się trupem i pod względem państwowym także. A wieść o tym stanie rozchodziła się daleko, znana była dobrze w Niemczech, zwróciła uwagę stolicy apostolskiej, która przez usta Leona X wzywa w. mistrza, by wszelkimi siłami i starańmi dołożył potrzebnych do uzdrowienia Zakonu.

Poselstwo Oedena, jakkolwiek nie było jeszcze zupełnem zerwaniem z przeszłością, było jednak w każdym razie czynem poważnym, silnem podrażnieniem podstaw, na których ta przeszłość się opierała. Albrecht zaczyna teraz myśleć nie tylko o sobie, ale i kraju swoim, o potrzebie przygotowania tam gruntu do dalszej działalności. Już 27 września 1523 r. usłyszał Królewiec pierwsze ewangelickie kazanie z ust towarzysza Lutra, Jana Briessmann'a, pierwszego reformatora Prus²⁾. Nie na własną rękę przybył tu Briessmann, ale na prośbę mistrza samego. Nie dość na tem. Wkrótce posyła Albrecht drugiego predykanta do Prus, Jana Amandusa, również dla głoszenia „czystego słowa Bożego“; 29 listopada 1523 r. wygłosił Amandus pierwsze swoje kazanie, nie w ka-

¹⁾ Voigt: *Gesch. Preussens* IX p. 685.

²⁾ Beler - Platner „*Königsberger Chronik*,” z której wyciągi w „*Acta Borussiae*.”

tedrze, jak Briessmann, ale w parafialnym kościele¹⁾. Ci dwaj — Briessman i Amandus, potem trzeci Paweł Speratus — są rzeczywistymi nauczycielami i twórcami reformacji w Prusiech zakonnych; oni przygotowali grunt, zasiali pierwsze ziarno odszczepieństwa od kościoła rzymskiego, zjednali ludność dla nowej nauki. A na podatny trafili grunt. Ruch religijny przez nich poczęty szybko rosnąć począł i znalazł tak poważnych protektorów, jak Jerzy Polentz, biskup sanlandzki, na czas nieobecności mistrza jego namiestnik, a później E. Queiss, biskup pomezaneński. Polentz w dniu Bożego Narodzenia wygłosił w katedrze królewskiej kazanie w duchu nauki Lutra, a 28 stycznia 1524 wydał mandat dyecezalny, polecający lekturę dzieł wittenberskiego profesora i nakazujący dopełniać chrztu św. w języku niemieckim. Nie dziw, że wobec tak gorliwych kaznodziei luterskich, jak wspomniani, i tak potężnych protektorów jak Albrecht, który zainicjował rzecz samą przez wysłanie predykantów i biskupa Polentz'a, ruch reformacyjny wzrastał, zwiększało się koło jego wyznawców szybko, a w niedługim czasie przyszło nawet do zaburzeń, jak „szturm obrazów,“ i napady na kościoły i klasztory. Nie możemy tu wdawać się w opis rozwoju reformacji w Prusiech krzyżackich, zaprowadziłyby nas to za daleko, jakkolwiek ciekawe to dzieje; zaznaczamy tylko, że Albrecht kierował zdaleka tym ruchem i baczna na niego miał uwagę, udzielał informacji i wskazówek, a niejednokrotnie hamować musiał zbyt dużą gorliwość Polentz'a i jemu podobnych ze względu na kuryę papieską.

W tym samym czasie, w którym Amandus głosił swą naukę w Królewcu, Albrecht był gościem Lutra. Przybył do Wittenbergi 29 listopada 1523 r. wracając z Berlina do Norymbergi. Poraz pierwszy mieli się poznać ci dwaj ludzie, wzajemną ku sobie czujący sympatyę. W. mistrz nie był jedynym gościem niemieckiego reformatora. Bawił wówczas w Norymberdze słynny Melanchton i Paweł Speratus, który głosił ewangelię w Iglawie na Morawach, zyskał tu sobie powszechną sympatyę, ale dekretem Ludwika Jagiellończyka został stąd wypędzony²⁾. W ich więc obecności odbyła się rozmowa. Wtedy to zapoznał się Albrecht ze Speratus'em i niedługo potem namówił go do misji w Prusiech i zjednał dla

1) Ib. Bd II № 141 i Acta Borussica II p. 430, gdzie list Albrechta do rady m. Królewca z 4 marca 1524, w którym gorąco poleca Amandus'a, jako „uczzonego, doświadczonego i pismo św. znającego“ kaznodzieję.

2) Bliższe szczegóły o Speratus'ie zob. u Tschackert'a o. c. (Einleitung).

siebie. Speratus taką miał ufność do w. mistrza, że radził mieszkańcom Iglawy, by do niego zwrócili się o pomoc, jeżeli chcą, by do nich wrócił napowrót¹⁾. O rozmowie wzajemnej Lutra i Albrechta, sam Luter przechował nam wiadomości w liście swoim z 4 lipca 1524 r. do Jana Briessmann'a, bawiącego ciągle w państwie krzyżackiem. Gdy więc Albrecht zapytał Lutra o regułę swojego Zakonu, odpowiedział mu Luter, by porzucił tę „głupią i pogardy godną“ regułę, rozwiązał Zakon, sam ożenił się i swoje państwo w świeckie księstwo zamienił. Podobnej rady udzielił mu Filip Melanchton. Mistrz roześmiał się, ale ani słowa nie odpowiedział. Mimo to wierzy Luter, że rada spodobała się jego gościowi, pragnąłby, by jak najprędzej wprowadził ją w czyn, a sądzi, że przyspieszyłoby akcyę, gdyby ludność pruska pierwsza w tym kierunku do mistrza się zwróciła i o to go prosiła. Udziela Luter w dalszym ciągu wskazówek Briessmannowi, jak ma się zabrać do tego, względnie wzywa go do podobnej agitacji²⁾. Tak się odbyło pierwsze spotkanie Albrechta z Lutrem. Już 19 grudnia był w. mistrz w Norymberdze, a jest prawie pewnem, że na drugi dzień opuścił Wittenbergę.

Podróż Albrechta do Wittenbergi ma ogromne znaczenie. Jeżeli się porówna treść powyższego listu Lutra z dalszym rozwojem wypadków, to musimy podnieść ważność tej wizyty i przyjdziemy do przekonania, że nie kto inny tylko Luter sam był duszą zaszłych później zdarzeń. Cały jego program spełnił się bowiem dosłownie i w tem, co Albrechtowi radził i do czego wzywał Briessmann'a. W. mistrz zapewne nie miał dotąd żadnego określonego i jasnego planu działania, Luter dopiero wskazał mu drogę. „Nie odpowiedział nic“ na radę Lutra i Melanchtona, ale w tem milczeniu chyba wolno widzieć dowód, że zrobiła ona na nim wrażenie i w pamięci utkwiała. I w tem właśnie tkwi znaczenie tego wypadku. Teraz dopiero zobaczył Albrecht, że można pogodzić wszystko, a stosunki polityczne, jakie w 1524 r. zaczęły się układać: odnowiony antagonizm Karola V i Franciszka I, zbliżenie się Polski do Francyi, ułatwiły mu znacznie wykonanie rady Lutra. Nie dziw więc, że podróż Albrechta poruszyła umysł

¹⁾ List Speratus'a do mieszkańców Iglawy 25 stycznia 1524 zob. Löwenthal „Chronik der Königl. Stadt Iglau“ herausgeg. v. C. d'Elwert Brünn 1861 p. 56—7. Do Iglawy Speratus nie wrócił, zajęty w Prusach, dla nich przez mistrza pozyskany. Przybył i rozpoczął swą pracę w 1524 r.

²⁾ De Wette (Listy Lutra) t. II p. 526—527.

w Europie, że wieść o niej rozeszła się ogromnie szybko i zaniepokojenie wzbudziła. Było to już bowiem ze strony w. mistrza jawne przyznanie się do sympatyj dla reformacyi—przecież Luter żył ciągle pod klątwą papieską i banicyą cesarską, a do takiego człowieka się zbliżać, z nim pozostawać w stosunkach nie wolno było prawowiernemu chrześcijaninowi, wedle istniejących bowiem przepisów i pojęć ściągał on na siebie tę samą karę i jej prawne skutki. Była to więc rzecz poważna, niebezpieczeństwo, którego nie wolno było lekceważyć.

To też już 2 stycznia 1524 r. pisze o tem z wielką trwogą i zaniepokojeniem ks. saski Jerzy do brata mistrzowego Kazimierza, margr. brandenburskiego. Pisze tu prawowierny książę, jeden z sędziów rozjemczych w sporze polsko-krzyżackim, że dochodzą wieści, iż regent pruski, biskup Polentz jest wielkim zwolennikiem Lutera i szerzy reformacyę, że i sam Albrecht ulegać się zdaje tej „lekkomyślności,“ bo odwiedzał Lutra w Wittenberdze i coś dużo z nim konferował. A boli go to i boi się, by w. mistrz nie uległ tej zarazie herezyi; boli go, bo to przyniosłoby wstyd całemu domowi brandenburskiemu, bo on, Jerzy, był jednym z głównych inicjatorów wprowadzenia Albrechta na godność w. mistrza. Boi się zaś, bo to oburzy stolicę apostolską i wielu z książąt, i całe położenie Zakonu stanie się rozpaczliwe, utrudni porozumienie się z Polską. Niechże więc Kazimierz ostrzeże brata i skutki takiego nieszczęsnego kroku wykaże ¹⁾. Wystąpiła i stolica Apostolska. Rozpoczęły się nawoływania, ostrzeżenia do Albrechta, coraz częstsze i groźniejsze, tak że w. mistrz musiał się związać jak wąż, odgrywać do czasu komedję prawowierności, ale która wcale nie spotykała się z wiarą w kuryi. A od listopada 1523 r. siedział na stolicy Piotrowej nowy papież—Klemens VII, Giulio di Medici, prawa ręka Leona X i dotąd przyjaciel Krzyżaków. Temu to zapewne, tej mianowicie sympatyj dla Zakonu niemieckiego, należy przypisać, że popularny w Rzymie i we Włoszech jako kardynał, cały politycznemu życiu oddany, papież, nie przedsięwziął energicznych i stanowczych kroków przeciw Albrechtowi—prawda, że inne sprawy zbyt go zajmowały. Ale milczeniem odstępstwa w. mistrza nie puścił.

Już 11 marca 1524 r. pisze do w. mistrza brat jego Jan Albrecht, że papież ma go na oku i wie o wszystkim od Mikołaja Schönberga, arcybiskupa Kapui, wie mianowicie, że w Niemczech

¹⁾ Tschackert j. w. Bd. II, N 166.

książęta jakiś spisek układają przeciw kościołowi i on, Albrecht, jest jego głową i kierownikiem, on, który z urzędu swego winien być tarczą i obrońcą wiary. Dla tego też papież będzie zmuszony udzielić swej pomocy tym, u których znajdzie poparcie przeciw niebezpieczeństwu kościoła. Powinien się jak najprędzej usprawiedliwić i sprawę wyjaśnić¹⁾. Papież grozi więc tu wyraźnie, że opuści Albrechta i opieki mu odmówi w sporze z Polską i tej raczej Polsce udzieli; nie trudno się bowiem domyślić, że Zygmunta Starego miał na myśli Jan Albrecht, gdy to pisał w imieniu papieża. Charakterystyczną jest odpowiedź mistrza na ten list. Słusznie utrzymuje dr. Joachim, że pochodzi ona z kwietnia 1524 r., a nie jak Tschackert, że dopiero w listopadzie pisał ją w. mistrz. Nie wspomina w niej Albrecht ani słówkiem o Lutrze i jego nauce, bo i w liście brata nie było o tem wzmianki. Cały nacisk kładzie na ową „konspirację“ książąt przeciw kościołowi, której on ma być głową i tę pogłoskę zbija z całą energią i stanowczością: „nam et primum omnium incredibile ei (sc. mistrzowi) est, quod vel aliquis sit christianorum principum eius insaniae et perversitatis, qui contra ecclesiam Christi quid cogitet, conspiret aut moliat... Deinde non ignorat idem ill. princeps magnitudinem eius criminis, quo iniustissime arguitur, conspiracy scilicet, quo ut anteaquam ordinem susciperet semper carnis ita nunc quoque eam notam sibi iniuri minime patietur. Perditissimorum namque hominum et patriae proditorum has esse notas non christianorum.“ Nie myślał nigdy o jakiejś walce z kościołem, o spiskach przeciw niemu i takimi słowy udowadnia swoją prawowierność: „meminisse autem se principem Romani Imperii, meminisse se Ordinis Teuthonicorum magnum magistrum, meminisse se christianum et eidem ecclesiae membrum, nunquam vero in animum induxisse, ut eius esse aut fieri filius velit, qui ab initio homicida et rixator fuit...“ a tu w Norymberdze pracował właśnie nad tem „utque pax et concordia in republica christiana erigatur et conservari possit.“²⁾ Bardzo znaczące światło rzuca to usprawiedliwienie się Albrechta na jego charakter i postępowanie; usprawiedliwienie poniekąd szczere, o ile chodzi o istnienie jakiejś konspiracyi, poniekąd obłudne i podstępne, gdy chwyta się pozoru i że

¹⁾ Joachim „Die Politik“ Bd. III № 161.

²⁾ Joachim j. w. № 170 i 184. Ten ostatni to list w. mistrza do brata, margr. Jana Albrechta, w którym mu pisze wyraźnie, że na sejmie norymberskim (1523/4) oddał kardynałowi Campeggio piśmienne swoje usprawiedliwienie dla papieża.

się tak wyrażę, dosłowności zarzutu—a to tem bardziej, gdy zważymy, że przed paru miesiącami posłał Lutrowi pismo z całym szeregiem pytań, dotyczących zasadniczych kwestyj dogmatycznych, ale o tem niżej.

Nie uspokoiło ono bynajmniej papieża. Po Rzymie ciągle chodziły pogłoski o odstąpieniu w. mistrza, o tem, że zamierza wstąpić w związki małżeńskie i przyjmując nową ewangelię. Tenże sam Jan Albrecht uznał też za stosowne wezwać 12 września 1524 r. brata Kazimierza, by wpłynął na wspólnego brata—w. mistrza—i nakłonił go do przybycia tu do Rzymu. W liście owym wykazuje Jan Albrecht cały szereg korzyści, jakie spłyną na w. mistrza, gdy do Rzymu przybędzie. Oto utrzymanie w Rzymie jest tańsze niż gdzieindziej, będzie mógł tu czuwać nad interesami Zakonu i przeszkadzać „intrygom“ polskim w kuryi w sprawie sporu polsko-krzyżackiego, wreszcie wykaze niezbitcie swą prawomyślność, a stąd ustana wszelkie uwłaczające mu pogłoski. W dwa tygodnie później pisze do w. mistrza w dn. 27 września prokurator krzyżacki w Rzymie dr. Jerzy Busch, proboszcz z Fornheimu. Wzywa go podobnie jak jego brat Jan Albrecht, późniejszy biskup magdeburcko-halberstadtzki, obecnie ciągle bawiący w Rzymie—tego to Jana Albrechta chciał koniecznie w r. 1522 papież mianować biskupem płockim po śmierci Erazma Ciołka, ale napotkał na gwałtowny opór i protesty ze strony Zygmunta Starego i po długich dopiero sporach ustąpił ¹⁾—by przybył koniecznie do Rzymu i te same powody podaje. Jest to, zdaniem prokuratora, rzecz konieczna i bardzo pożądana, bo coraz liczniejsze i groźniejsze dochodzą papieża pogłoski o postępowaniu Albrechta. Cały świat niemal krzyczy w Rzymie, że Albrecht stał się zwolennikiem Lutra i żenić się zamysła, pisząc o tem z Polski, z Prus, z Gdańska, a zdaniem dr. Busch'a i legat papieski wiele złych wieści przysyła; donoszą, że w Prusiech krzyżackich zrabowano trzy klasztorzy za zezwoleniem jego (w. mistrza) i Polentz'a, a ten ostatni luterskie kazanie wygłosił. W dość ostrym tonie odpowiedział Albrecht prokuratorowi listem pisany 30 listopada z Onolzbach. Zaprzecza kategorycznie i stanowczo pogłoskom, jakoby sprzyjał nauce Lutra, jako rozsiewanym przez jego nieprzyjaciół, zaręcza-

¹⁾ Bogaty do tego ciekawego sporu, który wytworzył dysharmonię między kuryą a Polską, materiał zawierają Tomiciana t. VI. A należy zaznaczyć, że Ciołek umarł „in curia“ i przypomnieć co do tego średniowieczny jeszcze rezerwat papieski.

jąc, że postępuje, jak przystoi chrześcijańskiemu księciu. Do Rzymu, co mu i brat radził, przybyć teraz nie może, ale spodziewa się, że stosunki z Polską zostaną wkrótce uregulowane, a wtedy przyjedzie do papieża i przedstawi mu się, jako chrześcijański, bogobojny (gottliebender) książę, a od tego (t. j. że takim będzie księciem) nie odwiedzie go ani Luter, ani żaden człowiek na ziemi. Co się tyczy kazania Polentz'a i niepokoju w Prusiech, to rzecz to biskupa i on niech sobie sam za to odpowiada, Albrecht bowiem nie może brać odpowiedzialności, bawiąc tak długo zdala od kraju. W podobny sposób odpowiedział trzy dni przedtem bratu Jana — Albertowi. Nie wiele więcej, prócz obietnic i zaprzeczeń, uzyskał od Albrechta kardynał Campeggio, legat papieski. Z polecenia Klemensa VII, kardynał, wysłany do Niemiec, Austrii i Węgier, miał Albrechta na oku i nękał upomnieniami. Przyciśnięty przez legata musiał Albrecht wysłać 8 listopada 1524 r. z Wiednia list Polentz'owi, wyrażający mu swoje wielkie niezadowolenie z powodu wypadków, zaszłych w Prusiech, dotyczących religii. Ale do tego oficjalnego dołączył w. mistrz równocześnie tajną klauzulę, że ten potępiający działalność Polentz'a list — to tylko pozór, konieczność dla uspokojenia legata papieskiego i on go też na nim wymusił. Polentz nie potrzebuje się go obawiać i z tego listu sobie coś robić, może być pewnym opieki w. mistrza, a tylko przesłać odpowiedź ze swej strony legatowi w myśl tego oficjalnego pisma. A był już w. mistrz zupełnym luteraninem i zdecydowanym przy nauce Lutra pozostać, jak tego dowodem choćby owa tajna klauzula, i zabierał się właśnie do ostatecznych rokowań z Polską. Oficjalne pismo do Polentz'a — to wszystko, co zyskał Campeggio. A właśnie nadszedł do niego nowy list papieża z 1 grudnia, rozgoryczonego na samlandzkiego biskupa-reformatora i jego edykt reformacyjny z 28 stycznia 1524 r., polecający legatowi, by zbuntowanego biskupa albo pozbawił godności albo do odwołania przymusił. Posłał Campeggio ten list Albrechtowi, ale uzyskał tylko tyle, że w. mistrz odpowiedział mu 24 stycznia 1525 r. z Budapesztu, iż zasmucony jest nieporządkami w Prusiech i wcale ich nie pochwała, ale prosi, by papież wstrzymał się do jego powrotu tamże; a wtedy zaprowadzi tam taki porządek, będzie tak po chrześcijańsku rządził, że papież nie będzie mógł robić zarzutów. I oto wszystko. Wygląda ta odpowiedź na ukrytą złośliwość i ironię, gdy przypomnimy sobie, że w niecałe trzy miesiące potem składał Albrecht hołd na rynku krakowskim, jako świecki książę, do którego oczywiście papież nie mógł skutecznie się mięszać. Ostatnie echo tych niepokoju ku-

ryi rzymskiej, to list Busch'a z 8 kwietnia w wilię wili hołdu pruskiego pisany. Nie odzyskała więc stolica apostolska w. mistrza, nie uratowała go od wpływów reformacyi, Zakonu krzyżackiego od zupełnej zagłady, mimo zabiegów. Ale nie takich to zabiegów było tutaj potrzeba, bo i tym brakowało energii i stanowczości. Należało wyteńczyć wszystkie siły, należało wykonać ową groźbę, o jakiej pisał Jan Albrecht do brata, podać dłoń naprawdę życzliwą i z dobrą wiarą Polsce, a nie ograniczać się do słów tylko i listów, z których w. mistrz naprawdę nie wiele sobie robił i pozory jeno chował do czasu. Zakon się już uratować nie dał i w tej formie, jak dotąd, żyć nie mógł; papieństwo, które w ostatnich czasach nie grzeszyło bynajmniej zbytęczną a rzeczywistą życzliwością dla katolickiej Polski, nie chciało tego zrozumieć, a tak i Zakonu nie uratowało i kraj do niego należący dla kościoła straciło. Kto wie, czy stanowisko papieństwa względem Polski w pierwszej ćwierci XVI w. nie odegrało roli, nie wpłynęło na formę pokoju krakowskiego z 1525 r. Tak nazywają także sekularyzację Prus.

Wieść o zbliżeniu się Albrechta do Lutry poruszyła wreszcie i Polskę. Jej stanowisko w tym względzie, to rzecz nieco ciemna w swych motywach. Jedyłą bowiem o niej wiadomość zostawił nam Albrecht w rodzaju pamiętniczka przez siebie spisanego, a wydrukowanego przez Fabera w 1821 r. O działalności Albrechta w Niemczech dowiedziano się na dworze polskim z ust Antoniego Rincon'a, posła króla francuskiego Franciszka I do Polski, który tu przybył w 1523 r. w celu bliższego porozumienia się z Zygmuntem w sprawie zawarcia polsko-francuskiego przymierza i po paru miesiącach pobytu w styczniu 1524 r. udał się do Węgier. Przymierze to zawarł Zygmunt rzeczywiście, wystawszy Hieronima Łaskiego, synowca prymasa do Francyi. Przymierze to, dzieło Łaskiego prymasa, skierowane było oczywiście przeciw Habsburgom. A jedno podnieść trzeba. Dytrych z Schönberga przebywał we Francyi nieraz tymi czasy i rokował z Franciszkiem I w sprawie Albrechta, który przez pewien czas snuł projekt wstąpienia do jego służby. Mógł więc król francuski mieć dobre informacye o w. mistrzu, którego przychylność dla luteranizmu nie była zresztą, jak widzieliśmy, tajemnicą. A nadto, zaprzyjaźnienie się w. mistrza z Lutrem i jego nauką było niejako buntem przeciw prawowiernemu Karolowi V: w ten więc sposób przybywał w Albrechcie nowy dla Francyi sprzymierzeniec, którego Polska, sprzymierzona z Francją, nie powinna była odpychać. Leżało więc w interesie Franciszka uprzedzić o tem Zygmunta, uczynić go

przystępniejszym do zgody z Albrechtem, do którego ciągle żywił król żal i podejrzliwość. Ta kombinacya polityczna, to zbliżenie się do Francyi Zygmunta I, czyli inaczej mówiąc, wrogie stanowisko względem Habsburgów — to były drugi element, drugi czynnik w akcie sekularyzacyi Prus¹⁾. Ale to nie należy do nas.

Uwiadomiony więc o tem, wysyła dwór polski Achacego Czemę, starostę stargardzkiego do Albrechta. W Norymberdze, w domu niejakiego Michała Rodena w nocy odbyła się tajemna rozmowa. Daty jej nie znamy, a zarówno Tschackert, jak Joachim wyznaczają jej letnie miesiące (lipiec—sierpień), nie mogą tylko zrozumieć, dlaczego dr. Joachim wyznacza jej rok 1523, gdy w pamiętniczku Albrechtowym wyraźnie 1524 rok jest podany? Czema przedstawił się jako wysłaniec biskupa poznańskiego Piotra Tomickiego i wojewody krakowskiego Krzysztofa Szydłowieckiego i prosił Albrechta o najzupełniejszą tajemnicę. W tem właśnie tkwi niejasność. Czy Tomicki i Szydłowiecki działali tu zupełnie na własną rękę, czy na polecenie króla? Z poglądów dr. Hirschberga na tę sprawę wynikać się zdaje, że miało to poselstwo charakter urzędowy. Oto — mówi Czema — doszło do wiadomości dzięki informacyom posła francuskiego, że w. mistrz zamierza wstąpić do służby francuskiej, a godność w. mistrza przelać na Eryka brunszwickiego. Wobec tego wysłannicy jego, Tomicki i Szydłowiecki, proszą Albrechta, aby miał wzgląd na Polskę i swego wuja i godność w. mistrza złożył w jego ręce, a on go za to wynagrodzi hojnie. Albrecht podziękował serdecznie za życzliwość dwóch polskich ministrów, przyrzekł wziąć pod uwagę ich radę i uprzedził, że dwóch jego krewnych — Jerzy, margrabia na Auspachu, brat w. mistrza i jego szwagier Fryderyk, ks. lignicki — przybędzie do króla porozumieć się z nim i zgodę przeprowadzić. W rozmowie z Czemą zaznaczył Albrecht swoje religijne uczucia: „Weil ich die göttliche Wahrheit nunmehr lesend gehöret, sein göttliches Wort, dass ich in diesem Stande mehr dem heil. Wort entgegen als angenehm: was Blutvergiessen ich in diesem meinem Stande, als der die Zeit in der Erkenntniss Gottes nicht gewesen, gethan, wisset ihr, als der es angesehen und dabey gewesen, am besten...“, jak niemniej i to, że w Polsce

¹⁾ Taki sąd i połączenie tych dwóch faktów podaje dr. Hirschberg w studjum „Przymierze Polski z Francją“ (Przew. nauk. i liter. 1881, w szczególności str. 1108); zob. także W. Zakrzewski „Rodzina Łaskich w XVI w.“ I (Ateneum 1882).

o tej sympatyi dla luteranizmu wiedzą i że Czema w. mistrzowi to zakomunikował. Jest to bardzo charakterystyczne. Widoczna więc, że Albrecht nosił się już z podobnym zamiarem porozumienia się z Polską i że tych samych wyznaczał pośredników, którzy niedługo potem istotnie rokowania z Zygmuntem prowadzili. Albrecht miał, jak z tego wynika i co zresztą sam w tym memoryale potwierdził, pierwotnie zamiar zrzec się wielkiego mistrzostwa na rzecz drugiego; rozmowa z Czemą zmieniła widocznie ten plan, a Albrecht wrócił do rady Lutra. Tak przecież było w 1525 r. jak powszechnie wiadomo. W każdym razie dwór polski, czy też tylko najwybitniejsi polscy dyplomaci—podkanclerzy i kanclerz—ułatwili Albrechtowi dzieło sekularyzacji Prus, zapewniając przez usta Czemy, że Zygmunt wynagrodzi siostrzeńcowi jego lojalność i wierność „krajami i ludźmi“ i pieniędzmi wreszcie. Poselstwo to wskazało Albrechtowi, że możliwem jest spełnienie zamierzonego przezeń dzieła przy Polsce i z jej pomocą. A można śmiało przypuszczać, że Albrecht w swoim memoryale podał tylko najważniejsze punkta rozmowy; że musiało tam być kwestyj omawianych więcej, że może nawet już wtedy ułożono plan dalszego działania. Wiadomo zaś, że Tomicki i Szydłowiecki głosowali gorąco za sekularyzacją Prus, gdy ta przyszła na stół dyplomatyczny, że Szydłowiecki był do śmierci przyjacielem Albrechta. W każdym razie podnieść należy, że pierwszy krok wyszedł od dworu polskiego, że Szydłowiecki i Tomicki pierwsi do Albrechta się zwrócili. I w tem leży znaczenie poselstwa Czemy.

Gdy tak najważniejsi i najbardziej zainteresowani przyszłością Zakonu krzyżackiego pukają w odpowiedni sposób i w myśl swoich interesów do Albrechta, on tymczasem nie cofa się z drogi, na którą był wkroczył. Owszem idzie ciągle naprzód, coraz bardziej usuwa się od kościoła rzymskiego.

W listopadzie 1523 r. bawił, jak widzieliśmy, u Lutra. Wiemy, że interesował się ogromnie kwestyami dogmatyczno-teologicznymi od czasu znajomości z Osiandrem, myślał o nich często i coraz nowe wątpliwości w nim się budziły. Wyrazem tego bardzo dobitnym, dowodem tych wątpliwości, których samó powstanie jest już wstąpieniem na drogę kościołowi wrogą, bo kościół zakazuje dyskusyi o dogmatach — jest list w. mistrza do Lutra, wkrótce po wizycie w Wittenberdze posłany, na który w styczniu czy lutym 1524 r. odpowiada Luter Albrechtowi. Postawił mu tutaj cały szereg pytań i domaga się na nie odpowiedzi—pytań zasadniczych, a które są charakterystycznym przyczynkiem do zmian wewnętrznych w duszy Albrechta powstających. Jest ich pięć:

1) Czy Chrystus zbudował swój kościół na Piotrze i jego następcach papieżach? 2) Czy papież ma władzę od Boga daną wydawać przepisy wbrew prawom boskim, których wykonywanie jest konieczne do zbawienia? 3) Czy papież lub sobór może zmieniać według upodobania przepisy boskie? 4) Czy papież może separować małżonków prawnie połączonych, bez zbrodni jednego z nich, i tak rozłączonych do innego związku małżeńskiego skłonić? 5) wreszcie czy papież może rozdzielić małżeństwo przez krewnych zawarte, wyjąwszy związków zakazanych prawem boskiem, bez obopólnej zgody pobranych? Na wszystkie te pytania odpowiada Luter przecząco, wykazując słusność swego zaprzeczenia cytacjami z Pisma św. Najdłużej rozwodzi się nad pytaniem pierwszym, twierdząc, że kościół swój zbudował Bóg wyłącznie na Synu Swoim, Chrystusie. Ciekawym, nie tylko pod względem teologicznym, jest dalszy wywód Lutera na to pytanie, że ani św. Piotr, ani papież, nie mogą dać kościołowi wiary i tej zmieniać. Nie tylko papieżowi, ale nawet aniołom nie daną jest moc naruszać boskie przepisy wydawaniem innych (pytanie II); ani papież ani sobór nie mają żadnej innej władzy w rzeczach duchownych, jak tylko głosić słowo boże (pytanie III). Jak widać więc z tego, dwie kwestye teologiczne zajmowały głównie Albrechta: stanowisko papieżstwa w hierarchii kościelnej, stosunek jego do objawionej nauki, zakres władzy względem niej. Pytania to zasadnicze, jedne z najważniejszych w dogmatyce, w treści wiary katolickiej. I zaprzętały one już nieraz umysły, sprowadzały na manowce, były przedmiotem gorących sporów i gorszących wypadków. I nie tak dawno nawet: przypomnijmy sobie tylko ideę koncyliaryzmu, wielki ruch soborowy w XV w. Pamięć o nim musiała być jeszcze żywą, ruch soborowy pozostawić ziarna plenne. A i to zważyć warto, że w średniowiecznym ustroju politycznym papieżstwo i kościół zajmowały pierwszorzędne stanowisko, były niejako osią średniowiecza; samo więc rozważanie takiej kwestyi było reakcją, budzeniem się nowych myśli, nowych pojęć, które zburzyły stary porządek społeczno-państwowy, nowy gmach budowały na całkiem innych, wrogich nawet fundamentach. Poważne więc było pytanie, jakie Albrecht zadał Lutrowi. Drugą kwestyą był sakrament małżeństwa. Nie jest ona już tak zasadniczą, jak poprzednia, ale mimo to, choć w mniejszym stopniu, nie pozbawiona podkładu politycznego, a więc wyłącznie teologiczna. Ten polityczny podkład nadaje ta osobistość, która stawia to pytanie, okoliczności, w jakich się to dzieje, okoliczności tak ogólne, jak i przywiązanie do osób t. j. Albrechta i Lutera. Obaj zakonnicy, duchowni do celi-

batu obowiązani, i obaj w jednym roku w związku małżeńskie wstępują! Jakie snuł wtedy zamiary Albrecht, gdy się pytał o istotę małżeństwa? Czy nie zamyslał już wtedy spełnić radę Lutra przed paru miesiącami udzieloną i pojąć żonę?

Jeszcze tylko jeden wypadek mamy do zanotowania w stosunku Lutra i Albrechta przed sekularyzacją Prus. Oto 12 maja 1524 r. jest znowu w. mistrz w Wittenberdze u Lutra. Ale o tej powtórnej wizycie nie mamy już żadnych wiadomości, choć bardzo byłyby pożądane. Podnieść tylko trzeba, że dopiero po tej drugiej bytności Albrechta w Wittenberdze, opisuje Luter Briessmann'owi, przebywającemu w Królewcu, pierwszą wizytę Albrechta i daje mu wówczas wzmiankowane poprzednio wskazówki. Odtąd, aż do powrotu Albrechta do Prus, nie pozostaje w. mistrz w żadnych stosunkach z wittenberskim reformatorem, nawet listownych.

Zajęty jest przedewszystkiem doprowadzeniem swych zamiarów do skutku, pojednania się i pogodzenia z Polską. Jeszcze przez pewien czas broni pozorów katolicyzmu w Prusiech, daje wskazówki, hamuje zbyteczną gorliwość Polentz'a. W listach jego do samlandzkiego biskupa znać wyraźnie tę podwójną grę, dwulicową politykę. W sercu już szczerzy luteranin, lęka się jeszcze papieżstwa; niepewność sytuacji, jak przyjmie jego krok Zygmunt i senat polski, przebija się jasno. Cieszy się więc z zapalem ludu do słuchania słowa bożego i poleca Polentz'owi korzystać z tego nastroju¹⁾, cieszy się zaś tem więcej, że lud stanie się teraz więcej chrześcijańskim i religijnym, bo za jego rządów mistrzowskich bardzo niewiele tu było prawdziwych chrześcijan²⁾. Posyłając Amandusa do Prus poleca go gorąco opiece biskupa i rady m. Królewca, pochlebne nader wystawiając im świadectwo. A z drugiej strony zaznacza silnie, że w działalności swojej w Niemczech powołuje się na Zakon niemiecki i dla niego niby pracuje i o ratunek zabiega, dlatego nie zgadza się na zniesienie ubioru zakonnego, co najwyżej członkowie zgromadzenia mogą zaniechać noszenia płaszczów ze względu na niechęć i drwiny ludności, ale muszą zachować dla odróżnienia krzyże; nakazuje, by wprowadzić mnichów, nie chcących reguły klasztornej przestrzegać, nie zmuszał do pozostania w klasztorze, ale też zbiegłym nie udzielał żadnej pomocy i pieniędzy nie dawał, bo to wywołać może podejrzenie,

1) Tschackert j. w. № 185.

2) Ib. № 219 w liście do Jerzego Klingenberg'a, swojego dworzanina, często wysyłanego w poselstwach.

że się zakonnikom ułatwia opuszczenie klasztoru i sprzyja nowej nauce, jak również, by miejsce zbiegłego mnicha zastąpił kimś z łona Krzyżaków i strzegł gorliwie własności i majątku klasztorów, a zrabowane mienie klasztorowi jednemu w Królewcu restytuował. Msza św. na zamku w Królewcu, ma być, jak dotąd według zwyczaju, codziennie czytana, klasztory żeńskie otoczone opieką przed zniewagami. Ale wszystkie te polecenia i wskazówki, przeważnie z maja 1524 r. pochodzące (kwiecień—czerwiec), a które zdawałyby się świadczyć za prawowiernością Albrechta, nie przeszkadzały mu wcale w jednym z tych samych listów (z 15 maja) donosić Polentz'owi, że przyjął do swej służby dr. Speratus'a¹⁾, owego kaznodzieję z Igławy, lub nazywać go „kochanym, wiernym i pobożnym“ (z 17 maja). W pierwszej połowie maja bawił Albrecht w Halli. W tym to czasie przyjął był do swej służby kilku predykantów luterskich, jak Dr. Speratus, Dr. Fr. Fischer, przyjaciel słynnego Hutten'a, znany Crotus Rubianus, współpracownik broszury „Epistolae obscurorum virorum,“ dzieła radykalnego humanisty Ulricha Huttena. Przypomnijmy sobie wreszcie ów okólnik do Polentz'a z 8 listopada wyżej wspomniany, a przez legata wymuszony na Albrechcie i dodaną do niego potajemną klauzulę.

W tej więc podwójnej z konieczności grze obraca się Albrecht i im bliżej końca roku tego (1524), tem coraz pilniej pracuje nad dokończeniem dzieła. Niemało otuchy musiał mu dodać list z 18 grudnia, w którym mu donosi Kleofas Breuer, podskarbi krzyżacki, że poddani pruscy życzą sobie bardzo, by za zgodą Polski ogłosił się świeckim i dziedzicznym księciem. List ten był niewątpliwie dziełem Lutra, a raczej jego wskazówek, o jakich wspominaliśmy poprzednio w liście do Briessmann'a. Jakoż w styczniu 1525 r. Albrecht przebywa w Budzie i rozpoczyna ostatecznie rokowania naprzód z Ludwikiem Jagiellończykiem, a potem (w marcu) pośrednio i z Polską²⁾, które doprowadzają do sekularyzacji Prus. Ten akt, ogromnej wagi i znaczenia nie tylko w dziejach Polski i Zakonu, ale w ogólnych dziejach XVI w., jako pierwszy dotąd podobny wypadek (sekularyzacji instytucji kościelnej), a tak rozmaicie oceniany przez historyków polskich i niemieckich — był wypełnieniem pierwszej części rady Lutra i Melanchtona z listopada 1523 r. W. mistrz zrzucił suknię duchowną, Zakon krzyża-

¹⁾ Tschackert j. w. № 215.

²⁾ Joachim l. c. № 207 i sq.

cki, jako instytucja polityczna przestał egzystować, a 10 kwietnia 1525 r. Albrecht wystąpiwszy poraz ostatni w stroju zakonnym obierał z rąk swego wuja lenno pruskie, jako pan świecki i dziedziczny. W roku następnym spełnił obecnie już ksiązę pruski i drugą połowę rady Lutra i w dn. 1 lipca 1526 r. odbył się w Królewcu uroczysty ślub Albrechta z Dorotą, księżniczką duńską, córką króla Fryderyka¹⁾. Poszedł tu za przykładem Polentz'a i Briessmann'a, którzy jeszcze w 1525 r. pobrali sobie żony, no, i Lutra wreszcie, który nie ograniczał się do rad w tym względzie, ale wierny swoim przekonaniom („źle być człowiekowi samemu“) 13 czerwca 1525 wstąpił w związki małżeńskie²⁾. Oczywiście ucieszony reformator niemiecki z postępów swojej nauki i wypełnienia rad, nie omieszkał złożyć Albrechtowi życzeń, by Bóg zgotował mu pomyślny koniec, a państwu jego szczęście³⁾.

DR. MARYAN GOYSKI.

1) Tschackert j. w. № 497 i 498.

2) Kötlin „Martin Luther.“ Bd I p. 768.

3) De Wette II p. 667.

GŁOWY GROTESKOWE

Leonarda da Vinci.

Gabriel d'Annunzio w swej „Odzie na śmierć Arcydzieła“ (Wieczery Pańskiej) wieńczy Leonarda da Vinci takimi słowami:

„Ten, który zapowiedział, który odkrył
i który oświecił“

(Colui che annuncia, che rivela e che
inizia).

Nienasycony, łaknący wszystkich tajni, żądny posiąść świat cały od krańca do krańca i piękno jego nieuchwytnie a złudne i marę jego brzydoty — Leonardo głębią nadludzką i wielostronnością geniuszu analitycznego doszedł do ostatnich granic twórczości, odkrył rąbek zasłony, która ludzi od Niepoznawalnego przedziela. — Żeby zawładnąć Pięknem, wchłonąć je niejako, obezcieleśnia je, uduchowia i syntetyzuje w ten sposób, że je aż czyni bezpłciowem, androgynicznym.

Duch Leonarda zakreślił koło bezmierne, wejrzał we wszystkie arkana i tajemnice natury, usiłował odkryć, zrozumieć i przeżyć wszystkie jej prace, wszelkie je formacje i deformacje; a na jednym biegunie średnicy koła tego mistycznego unosi się wizya nieziemskiego, ezoterycznego Piękną, na drugim zasiadła ciężko Brzydota bezwzględna, tragiczna a prawdziwa.

Ten zwiastun, który wskrzesił Sfinksa-Kobietę w Giocondzie, zespoliwszy w niej *Kobiecość wieczną*, co magnetyzuje, przyciąga i zatrważa, a dał zagadkę, bytową już, w Janie-Chrzecieliu; ten, który zdołał w głowie Chrystusa z *Wieczery* ześrodkować wszyst-

ko, co dusza ludzka od boskości wzięła i *logos* ewangeliczne ciałem uczynił; ten, który według słów Hegla uchwycił tajemnicę ze strony Piękna; ten malarz, zasłuchany w głosy i poszumy tajni pozgonnych, malarz metafizycznych idei i syntez—stworzył także wielką seryę szkiców, gdzie mścić się zdaje za piękno i myśl boską, zofiarowaną światu.

Mamy też dwie ostateczności w dziele jego geniuszu: „*La Belle et la Bête*.” Równomiernie ze sfinksowymi uśmiechami, spojrzzeniami, utkwionemi w Wieczność, pejzażami zastygłymi o sennym, lunatycznym nastroju, pociągała Leonarda patetyczność rozkładu materji, kiedy uroda, przez lata skażona i zryta, staje się ohydą, uśmiech—zmiętym grymasem; gdzie moc i piękno spojrzenia ustaje, znika, a pozostaje ślepy, łypiący łzawy i krwawy, obramowany żałobną siecią zmarszczek i już jakby bielmem niedalekiej śmierci zasłany.

Da Vinci obejmuje naturę potężnie, wszechstronnie, bierze ją jakby w swe objęcia olbrzyma, w oczy wsiąknąć ją pragnie, zamknąć ją usiłuje w czaszce swej ze wszystkimi jej zagadnieniami, niepochwytnościami i kryjówkami, stara się osiąść całą jej gamę: od najwyższego napięcia kreacyi, najgwałtowniejszych, najsilniejszych objawów żywiołu — aż do podmuchów, półcieni, lekkich poszeptów, drobnej muszelki, kielicha kwiecia polnego, słabego, pokornego listka; od najpiękniejszych, najszlachetniejszych twórców i typów — aż do kretynicznego zbydlęcenia i brzydoty teratologicznej.

„*Rerum cognoscere causas* — mówi każdy szkic, plan, słowo Mistrza.

I właśnie owej chęci ogarnięcia i wycucia wszystkich manifestacyj życia, tej ciekawości, zazierającej wszędzie: w bezkresy niebios, w kotliny i uroczyska ziemi, w rzeki topiel wartką i w morza odnęty, zakradającej się do tych dziedzin, które ludzkości wazkami wrzeczadkami niemocy zaparte i do których wazka furtka tylko geniuszom uchyla się zrzadka—przypisać należy całą tę połąć działalności twórczej Leonarda, gdzie typy brzydoty krzywią się śmiesznie, lub boleśnie, srogo lub dobrodusznie i stanowią karykatury najwyższego rzędu, te, które — niezależne od ewolucyj fizycznych rasy ludzkiej, pozostają nazawsze i piętnują zwierzęcość instynktów, niezmienną a odwieczną głupotę.

Prawo reakcyi, rządzące światem moralnym, zaznaczyło się także na wielkiej Leonarda osobowości. Jako wyraz prawa tego, mamy w twórczości jego i najsubtelniejszą krasę, i lubość zaziemskiej tajemnicy, i wcielenie spiritualizmu najczystsze — a tuż,

obok nich, jak gorzkie kwiaty cykuty, rozsiane te głowy i postaci, tragiczno-groteskowe, negacye jakoby Urody, ściągające nas z krainy najwyższego ideału do kałuży, w której się — niby w zwierciadle małpiem — maski małpie primatów, pyski spasyłych ludzi-wieprzów, twarze ogłupiałe o wyrazie takim, jakie mają tylko zagaste lica obłąkańców — odbijają.

Lanzi, historyograf Leonarda przytacza, jako gadkę jego ulubioną, słowa, raczej z ust jowialnego klechy z *Opactwa de Thélème* wyjęte, a niepodobne do tego maga i cudotwórcy:

„Winno się dojść do takiego napięcia komizmu, żeby nawet zmarli śmiać się musieli.“

Czy tu więc należy szukać źródła groteskowości tej kategorii głów Leonarda?

Nasamprzód zastanowić się trzeba, czy one doprawdy śmieszne? Stare one, skruszałe, posiepane łzami, stygmatem bólu lub głupoty naznaczone, lute czasami, okrutne i groźne, ale śmieszne — nigdy!

A potem, ten, co powiedział, że „*tzy z serca idą, a nie z mózgu*“, ten, który umiał wyrzec: „*Wielka miłość rodzi się z wielkiego zrozumienia rzeczy, a jeżeli rzeczy tej nie znasz, jeżeli jej nie rozumiesz — kochać jej nie jesteś w stanie*.“¹⁾ — drwić ze Sędziwości, biedy, nieszczęścia nie zechce.

Credo Mistrza i estetyka — to aliaż Prawdy i Piękna, i stąd płynie tendencya poszukiwania prawdy w pięknie i piękna w prawdzie, stąd obok wcieleń boskiej urody, młodości jasnej — owe homunkulusy, inkarnacye brzydoty starczej, bestyalności, niemocy, piołunowej troski, głupoty, niedoli. Bo świat z takich to wrogich sobie napozór, z takich to paradoksalnie pstrych pierwiastków się składa. Piękno jest tezą, Brzydota — antytezą.

I tu znów niech Mistrz mówi:

„*Il pittore dev'essere universale e solitario*“²⁾. Uniwersalny, więc zaglądnąć musi w „*Jenseits von Schön*“, samotny — więc wdrzeć się winien na wszelkie szczyty: tak Brzydoty, jak i Piękna. A brzydota ma także swe szczyty wyniosłe.

Pociąga ona wieloforemnością swą i siłą ekspresyi wszystkie nieomal umysły twórcze, wrażliwe na uczucie, wyraz, charakter. I Leonarda też od wczesnej młodości pociągała upiorowa Szpe-

¹⁾ „*Traktat o Malarstwie*“ § 77 al. 2.

²⁾ *Ibidem*, § 50, 58; w następnych myśl tu jeszcze jest bardziej rozwinięta.

tota. Vasari ¹⁾, prawie że społeczny Vinci'emu, opowiada, że pierwszym samodzielnym utworem Leonarda, za dziecińczych prawie lat jeszcze, był rodzaj deski-krażka, coś niby tarcza pierwotna bardzo, na której wymalował potwora, ześrodkowującego w sobie grozy i szkarady wszystkich tworów obrzydłych i plugawych. Później Leonardo kilkakrotnie tworzył głowy kudłogade Meduz. Jedyna, jaka po nasze czasy się zachowała ²⁾ wskazuje, jak wielkie poczucie grozy i widziadłowej ohydy posiadał Leonardo.

Pojął on upiór-głowę tę nie jak banalne, klasyczne wyobrażenia wskazują, ale jako trupiolicą, strach skonu ziejącą, w mogiłym rozkładzie, płamami śmierci upstrzoną, oplątaną matnią kłębiących się razem gadzin.

Vasari wspomina także ³⁾ o srebrnolitej lutui, na której grał Ludwikowi Sforzy pieśni swe pono przepiękne, mającej kształt czaszki jakiegoś apokaliptycznego rumaka.

Urok, jaki wywierała Brzydota na Leonardzie znać zresztą na całym dziele jego, w najcudniejszych utworach nawet: — tu głowa ⁴⁾, tam zakąt jakiś tragiczny, owdzie głąz mistyczną twogę sieje. Nikt też tak, jak Leonardo, nie odczuł ponurej grozy skał, urwisk i pieczarowych otchłani.

Najsilniej wszakże stwierdza tendencję Mistrza ku brzydocie, umiłowanej i wypieszczonej, posuniętej do ostatecznych stopni natężenia, ta istna galerya Szpetoty, jaką tworzy masa cała studyów, szkiców głów starczych, okaleczonych, nabrzękłych, spęczniałych.

Zaden z teratologów Sztuki, oddając twarz ludzką, nie przywiódł szkarady jej do takiego poniżenia, nie wyłamał jej tak okrutnie i, pozbawiwszy myśli wszelkiej, sentymentu, urody, nie zagasił aż do żdźbła ostatniego tego, co ją stworzoną na podobieństwo boskie czyniło.

Postaci, tak napiętnowane, tracą cechę człowieczeństwa a obrazować się zdają raczej zmiany, jakim w tworzeniu się ludzkość ulegała, lub przeobrażenia, które zgrzybiała starość — wysłanka za progiem stojącej śmierci — przynosi czasem ze sobą, kiedy bezlitosną swą ręką oblicze nasze ugniata w bryłę bezkształtną, sfałdowaną a smutną.

¹⁾ Patrz: Czwarty tom Vasari'ego.

²⁾ Posiada ją Muzeum *Uffici*.

³⁾ Vide: Czwarty tom Vasari'ego.

⁴⁾ Jak np. głowa Judasza w *Wieczery*; skały w *Janie-Chrzczycielu*; pejzaże — we wszystkich prawie obrazach.

Leonardo da Vinci, jak anioł Zgonu, deformuje organ każdy, każdy rys, którego się tknie. Modeluje i rzeźbi czaszki, zwężając je ostrosłupowo, lub wydymając w banię; opuszcza nosy, zwiesza je nad wargą, albo zadziera i ucina krótko, zostawiając tylko chrząstkę kościotrupa. Ogałając podnoś — czyni je długiem o płaskiej, jednolitej, nieurozmaiconej linii, pełzającej ku ustom wązkim, bezwargin, okrutnym. Wysadza na wierzch oczy żabie, lub je grzebie gdzieś głęboko pod bombiastem czołem. Zwiesza skórę podgardla, jak sakwy puste i stare. Zwyradnia usta, burzy ich piękno, znęcać się szczególnie nad niemi zdaje, może dlatego, że tam, jak i w oczach, ogniskuje się wyraz — bo jeśli oczy są zwierciadłem, usta lutnią są duszy. Rysuje je Leonardo, a raczej skalpelem wycina: zapadłe, zasuszone, zwiedłe, odsłaniające z pod warg nieprzymkniętych czarne szczerby, jeżące się kłami, wyszczerzonymi naprzód, lub opuchłe, przekrwione, mięsiste, ciężarem dolnej wargi osiadłe aż na podbródku. Rozdziawiają się czeluście, w które żer się wrzuca, paszcze te śliniące się i rozziwiane po nad brodami wielkimi, gąbczastymi, brzuchatymi, wygiętymi w zużyty, znoszony pantofel, albo też — w innych typach — po nad nęką szczęką wątlą, ludzi bez woli ni siły.

Na niektórych starczych twarzach widzisz smutek i ałunowy jakiś niesmak. Każda marszczka osędziała płakać się zdaje w licu — inne, przeciwnie, uśmiechnięte weselem szaleńców, boleśniejzem nad smutek, krzywią się bezmyślnem zdziecinnieniem.

Leonardo podkreśla brzydotę, którą, jak szumowiny, z całej biednej rasy ludzkiej zebrał, odzieniem dziwacznie skomponowanem, uczeskiem przedziwnym. Dostrzegłszy fizyognomię burleskową lub szpetną — stara się ją zapamiętać, przyswoić, wchłonąć i rzuca ją później jeszcze bardziej szpetną, jeszcze więcej burleskową na papier. Ale nigdy nie wychodzi po za granice, zakreślone prawdopodobieństwem, możliwością istnienia, naturą; trzyma jej się ściśle i dochodzi do istoty Brzydoty, jak w kreacyach powabnych i urodziwych doszedł do rdzenia Piękna.

I tu właśnie widać zasadniczą różnicę, jaka wyodrębnia Leonarda od innych twórców brzydoty. W dziełach swych groteskowych da Vinci nie daje ani koncepcyi trwogi religijno-metafizycznej, której upostaciowaniem były rzeźbione maskary gotyckie, lub hyperboliczne flamandzkie monstra, ani karykatur politycznych, dziś już z racyi aktualności ich w treści i symbolistyce niezrozumiałych, jak np. niektóre plansze Goi, albo *Songes drolatiques* Rabelais'go. Przyrównać głowy groteskowe Leonarda raczej można do masek japońskich: *kappa* (człowiek-żaba), *kitsue* (człowiek-lis),

sarou (małpa) i t. p., gdzie pęta potrzeb, pożądań i instynktów zwierzęcych wiążą człowieka z resztą stworzenia w sposób tak spoisty, iż powinowactwo to na rysach znamienem piętnem się kładzie.

Zbudowane wspaniale, kreacye owe są godnymi odpowiednikami pięknych dzieł Leonarda, jako wyraz i faktura. I tu i tam — ta sama linia giętka, posłuszna najmniejszym zboczeniom, zahaczająca się o najdrobniejszy szczegół anatomiczny, oddająca najbardziej niepostrzegalne płaszczyzny w bryle postaci ludzkiej.

Głowy groteskowe Leonarda dadzą się podzielić na dwie główne grupy: tragiczne i żałośno-komiczne, i na kilka typów gatunkowych niejako. Nie należy przez to rozumieć, iż się jedne drugim upodobniają. Stanowią one kilka kategorii okazów, powiązanych ze sobą w jedną jakoby rodzinę wspólną ekspresją lub znamieniem tak, jak ludzi tej samej rasy, podobnych instynktów, wspólnego kalectwa łączą: to samo pochodzenie, ten sam charakter, ta sama anormalność budowy. Mają one wspólne cechy charakterystyczne, ale różnią się indywidualnie, jak jeden garbus np. od drugiego się różni.

Głowa starcza o nosie, który czubkiem się kładzie na ustach, ostrym narysem przeciętych, o podbrodziu wielkiem, mięsistem, pod którym czuć zuchwy bestyalne, o oku zapadłem ryby śniętej, obramowanem ociężałą powieką, łopusiastem uchu, o podgardlu sfałdowanem, ochlapłem — powtarza się najczęściej ¹⁾. To typ pośredni między Tartuffem a Harpagonem.

Inna grupa: twarz tłusta a obwisła i sflaczona, dolna warga wydatna, zmysłowa, łakoma; język gruby smakosza ukazuje się między szparami brakujących zębów — coś z Gorenflota, a coś ze spaślej, lubieżnej baby starej. ²⁾

¹⁾ Do tej grupy zaliczyć można następujące głowy: głowę, podznaczoną № I w Albumie, wydanem w Paryżu przez E. Rouveyre'a (*Les Têtes grotesques de L. de Vinci*, reprodukującym głowy groteskowe ze Zbiorów Windsorskiego Zamku), a noszącą № 60 (Katalogowy), jedną z głów z № II (№ katalogowy 8), głowę № III, № IV (№ katalogowy 22), № X, № XIII; do tejże kategorii należy jedna z głów starczych (bez numeru) ze zbioru *I Disegni di Leonardo da Vinci*, wydanego w Turynie (Torino, 1888, in folio) i w. i.

²⁾ Ibidem, №№ XVI, XVIII i jedna z głów w kompozycji, podznaczonej № XXV, ze Zbiorów turyńskich rysunek, podznaczony № 98 i opatrzony podpisem L. da Vinci.

Typ, ¹⁾ który potem karykatura Romantyzmu powtarza w rozmaitych Hiroux, Robert Macaire i t. p.

Typ inny: wąły zarost, mądre oczodoły, usta w poważny kwas i przesył zaciśnięte, czaszka okrągła, omszała wątłym, rzadkim włosom suchotniczym, sępie spojrzenie a wyraz inkwizytora ²⁾.

Profil o podnosiu i podbródku olbrzymich w proporcjach twarzy; czoło nikłe ginie wobec nadmiernego rozwinięcia dolnej jej części, nozdrza krótkiego, raptownie uciętego nosa, ściągnięte ku dołowi, usta wzdęte, wole martwą skórą zwisłe, wyraz ściśniętej głupoty i zmysłowości ³⁾.

Maska Danta ⁴⁾, zryta smutkiem, zrobaczała, zda się mólami pocięta; inna ⁵⁾ — rzymska, Trajana w karykaturze.

Zaznaczone tu pokrótce głowy kojarzą się w grona i klasy, a mają pozór familijny, wspólny; ileż wszelako fizyognomij oderwanych, niedających się podporządkować pod żadną z wymienionych rubryk, jak np. to oblicze skowyczące rozpaczliwie, wściekle, dziko, o oczach rozpalonych gniewem i nienawiścią, utkwionych z podełba we wroga niewidzialnego ⁶⁾; lub inne ⁷⁾ o śpiczastym, małym nosku a wielkiej brodzie, uśmiechnięte, rade czemuś, spoglądające ślepiem, wystrzelonem kędyś, w dal z ciekawością i żądzą.

Gdzie atoli prawda staje się okrucieństwem, olówek się zmienia w rylec złowrogi i żłobi maskę człowieczą z całą bezwzględnością ślepa żywiołu i kazi ją — jak ospa, i wykoszlawia — jak konwulsye; gdzie resztki już nawet smutne piękna ludzkiego pierzchają, gdzie nie zostaje już nic, okrom bolesnej, przedzgonnej obrzydły—to w groteskowych głowach kobiecych ⁸⁾.

¹⁾ Jak np. w *Albumie* Rouveyre'a jedna z głów z № IV (kat. 36), № XIV (kat. 65), XV, XII (kat. 39) i w i.

²⁾ Np. № VII (kat. 20) *Alb. Rouveyre'a*, lub studyum z *Muzeum Uffici* z datą 1478.

³⁾ №№ (*Album Rouveyre'a*) XVI, XX (N. kat. 29), XXII (kat. 31), XIII i w. i.

⁴⁾ № XXI (kat. 63) № XXIII (kat. 54), jedna z głów kompozyceji № XXV, *ibidem*.

⁵⁾ № XI (katalogu 9) w *Albumie Rouveyre'a* i ta np. z kolekeyi Malcolm'a, nosząca tytuł: „Portret Rycerza“ (*British Museum*), № V (katal. 7) *Alb. Rouveyre'a*.

⁶⁾ № XVIII (kat. 62) *Alb. Rouveyre'a*.

⁷⁾ № XX (kat. 29) *Alb. Rouveyre'a*.

⁸⁾ Patrz np.: № VIII (kat. 59) *Alb. Rouveyre'a*, № IV (kat. 36) i w. i.

Tam Leonardo, który uzczył urok i cudność kobiety w Giocondzie i w niej stworzył dzieło o tak wielkiej mocy magicznego piękna, że tylko słowa Goete'go:

Das Unbeschreibliche,
Hier ist es gethan;
Das Ewig-Weibliche
Zieht uns hinan

komentarzem być mogą — spłodził Giocondy brzydoty, rozlązłe, galaretowate cielska, mogliłą ropą ociekle.

Żaden z tych, co się nad urokiem kobiecym znęcali, ani Goya, ani Breughel, ni Bosch, ni snycerze średniowiecza—nie doszli do takiego superlatywu w szpetocie.

Te zalotne, ustrojone staruszki Leonarda o ramionach obnażonych a rozmiękłych i ułęgłych, o szyjach obrosłych tłuszczem, o żyłach i ścięgnach napiętych, jak cięciwy, o kośćcu, przeglądającym tu i owdzie po przez żelatynowe ciało, o piersiach obwisłych, o liniach niepewnych, topniejących starczego rozkładu — gzią się, kokietują i wabiają; a zdają się one być graficznym wyrażeniem myśli, wypowiedzianej w *Traktacie Malarstwa*: „*cosa bella mortal passa.*“

Stworzone są one wszakże, jak i reszta głów groteskowych, nie gwoli jakiejś tezie moralnej, systemowi filozoficznemu, tendencji jakowejś. Nie szukać w groteskowości Leonarda metafizyki, ni satyry. Karykaturalne postaci te,—to poprostu stwierdzenia i obserwacye genialnego fizyognomisty, śledzącego ze „szkiełkiem mędrca“ a z poczuciem artysty przejścia i ewolucyje formy: od Piękna do Brzydoty, od potęgi młodości do starczego niedołęstwa.

I tą właśnie drogą doszedł Leonardo da Vinci do niebывałego poznania natury we wszelkich jej objawach, kształtowaniach, kaprysach nawet; żadnym elementem nie pogardził, bo wszystkie one: i Uroda i Nieurodziwość, Sędziwość i rzeżki Wiek Młody, Zdrowie i cherlawa Niemoc z jednej macierzy-natury zrodzone.

Zarówno drogim mu był miękki, słodki, wabny a zdradliwy uśmiech Mony Lizy, jak i burleskowość grymasu starczego, miód Piękna, jak i Brzydoty gorycz.

ROZMAITOŚCI.

I.

Wystawa międzynarodowa w Medyolanie.

Można stwierdzić z zupełną szczerością, że wystawa międzynarodowa w Medyolanie miała dotąd rzeczywiste i duże powodzenie, powodzenie dobrze zasłużone, bo wszakże to pierwsza wystawa międzynarodowa we Włoszech zjednoczonych politycznie, pierwsza uroczystość pracy we wszystkich jej objawach: święto sztuki, przemysłu, rolnictwa i handlu.

Medyolan, uznany za moralną stolicę Włoch, urządza poraz trzeci w ciągu dwudziestu pięciu lat wystawę dla swoich współobywateli i dla cudzoziemców. Wystawa, projektowana z powodu przebicia Simplonu, miała być w pierwotnym pomysle tylko skromnym pokazem wszelkich sposobów przewożenia zarówno najdawniejszych, jak współczesnych. W wykonaniu jednak dodawano stopniowo coraz nowe oddziały i tym sposobem w chwili inauguracji, dokonanej w kwietniu roku bieżącego w obecności włoskiej rodziny panującej, ministrów, posłów, deputowanych, senatorów, publiczność znalazła się wobec wspaniałej wystawy, jakiej Włochy dotąd nie oglądały.

Wszystkie niemal narody świata reprezentowane są na tej wystawie, dorównywającej prawie swoim obszarem wystawie paryskiej z 1900 r. Ze względu na rozległość zajmowanego miejsca, podzielono ją na dwie części, połączone z sobą koleją elektryczną, która zachwyciła króla rumuńskiego podczas jego odwiedzin.

*

*

*

Część pierwsza, położona w pobliżu starożytnego zamku książąt Sforzów (z których pochodziła królowa Bona), zajmuje cały prawie dawny park miejski. Tu właśnie znajdowały się cudowne pawilony sztuki zdobniczej włoskiej i węgierskiej, zniszczone pożarem 3 sierpnia. Pawilony te są dziś odbudowane, świadcząc o dzielności i ruchliwości przemysłu włoskiego i węgierskiego. Niedaleko od nowych pawilonów znajdują się: wielki i majestatyczny pałac koncertowy, który służył również na bale i konferencje; małe i pełne wdzięku pawilony sztuk pięknych (malarstwa, rzeźby i budownictwa) z pięciu przeszło tysiącami obrazów, posągów i t. d., ze wszystkim co najlepszego stworzył w ostatnich latach geniusz artystyczny Włoch. Wyznaczono też miejsce malarzom zagranicznym, ale nie znalazł się tam ani jeden malarz polski. A szkoda, bo malarstwo polskie byłoby się tu spotkało z wielką sympatyą. Kanada, Szwajcarya, Rosya, Holandya, Grecya, Hiszpania, Turcya, Japonia, Węgry — mają w parku własne pawilony lub oddziały. Kanada, Węgry i Rosya żywo zajmują zwiedzających różnaitością swoich tworów i odrębnością ich od naszej produkcji.

Są nadto pawilony Przewrotności i Wzajemności miasta Medyolanu, Towarzystwa Pokoju, Telegrafu Marconiego, pawilon Złotników, niesłychanego bogactwa, i Akwaryum dla ryb wód słodkich i morskich, wielce uczęszczane przez publiczność. Nader zajmującym pod względem historycznym jest wielki pawilon środków transportowych, urządony metodą retrospektywną, prawdziwe i kompletne muzeum, gdzie widzieć można powozy wszelkiego gatunku i wszystkich czasów: sanie, rydwany, lektyki, wozy, dyliżanse, karety galowe panującej rodziny Sabaudzkiej, Papieża i różnych innych sławnych rodzin włoskich.

Bramę tryumfalną wystawy stanowią dwa wejścia do tunelu simplońskiego przedziwnie naśladowane, w których kierunku ciągnie się 300 metrów galeryi, zawierającej maszyny i narzędzia, jakie służyły do przewiercenia góry. Dodać tu winienem, że ta imitacya tunelu budzi zachwyt wszystkich zwiedzających wystawę.

*

*

*

Druga część wystawy znajduje się na miejscu dawnego Placu Broni i zajmuje większą niż park przestrzeń. Tu mieszcza się

najobszerniejsze pawilony, jak np. Galerya Pracy (Galleria del Lavoro), gdzie śledzić można olbrzymie i szybkie postępy, jakie w ciągu ostatnich lat uczyniły Włochy we wszystkich gałęziach przemysłu, handlu i rolnictwa. Istne to objawienie, zaszczyt przynoszące Włochom. Pawilony Francyi, Anglii, Belgii, Austro-Węgier, Niemiec i Bulgaryi wynurzają się w różnych punktach, każdy w swoim odrębnym stylu, niby białe czarodziejskie pałace. Wszystkie te narody przedstawiły najlepsze swoje twory, najznakomitsze wynalazki przemysłowe, a Francya i Niemcy na pierwszy plan wysuwają się w tem współzawodnictwie. Bardzo ciekawie wygląda pawilon marokański; każdy kto go zwiedza, przypomina sobie epizod w Algéciras. Zwraca też uwagę pawilon rzeczypospolitych łańskich Ameryki Południowej: Meksyku, Argentyny, Brazylii, Chili, Kolumbii, Ekwatora i t. d., oraz pawilon Czerwonego Krzyża. Dużo publiczności przyciąga pawilon samochodów, w którym Włochy pierwsze po Francyi zajmują miejsce.

Jest jeszcze olbrzymia galerya maszyn, galerya kolei żelaznych włoskich, francuskich, niemieckich, belgijskich, austriackich, szwajcarskich, węgierskich, angielskich, prawdziwy rynek wagonów wszelkiego rodzaju. Niemniejsze zajęcia budzą pawilony włoskiej marynarki, wojny i handlu. Do rzędu wystawców należą także: ministeryum spraw wewnętrznych i ministeryum skarbu, z oddziałem przedstawiającym włoskie wyroby tytoniowe. Tłumną frekwencją cieszą się pawilony w wielkim stylu rolnictwa i przemysłu jedwabnego, gdzie Włochy występują ze swoją wyraźną przewagą, bo Medyolan wyprzedził Lugdun w tej produkcji.

Nie będę zajmował czytelnika wyszczególnianiem innych mniejszych pawilonów firm handlowych włoskich i cudzoziemskich, które rozmaitością artystyczną swoich fizyognomij nadają całej wystawie wyraz zajmującego ożywienia.

Piękna bardzo reprodukcya dzielnicy Kairu, z autentycznymi Arabami; wioska nubijska ze swymi mieszkańcami hebanowej barwy; wieś eretryjska z łądniami *uscari*, najwięcej gromadzą Włochów i cudzoziemców, zakochanych w egzotyzmie. Nie brakuje też zabaw, kawiarni, restauracyj, ani wreszcie koncertów wszelkich narodowości, których jest mnóstwo i gdzie słyhać wśród publiczności języki całego świata. Słusznie też mówią, że wystawa medyolańska podobna jest trochę do wieży Babel.

*

*

*

W bardzo oryginalnym pawilonie *Włochów za granicą* (Gli-Italiani all'Estero), otoczonym drzewami i kwieciami, mieści się mały oddział, poświęcony Polsce, w przysionku głównego wejścia. Kiedy Komitet wystawy z senatorem Mangili na czele postanowił rozszerzyć działy wystawy, wytworzył się natychmiast podkomitet i podał doskonałą myśl wybudowania pawilonu, przeznaczonego na twory handlowców i artystów włoskich, którzy znajdują się na obczyźnie i w koloniach włoskich w Afryce. Nie dość na tem: inicjatorowie zapragnęli przedstawić wielkość sztuki włoskiej w przeszłości i stąd powstał zbiór fotografii, reprodukujących pomniki wszelkiego rodzaju, kościoły, pałace, posągi, obrazy i t. d., wykonane przez artystów włoskich zagranicą od wieków średnich począwszy aż do roku 1850. Kolekcya ta, jakkolwiek zamknięta w granicach rzeźby, malarstwa i budownictwa przedstawia się teraz wspaniale. Geniusz artystyczny Włoch jaśnieje w niej w całym blasku!

Polska zajmuje w zbiorze jedno z najważniejszych miejsc, a dzieła stamtąd pochodzące budzą w życzliwej publiczności żywe zainteresowanie zarówno pod historycznym, jak i artystycznym względem. W wielkich ramach, z napisem *Polonia*, wystawiono tam fotografie, zgromadzone ze wszystkich zakątków Polski. Świadczą one o umiłowaniu Polaków do sztuk pięknych, o węzłach bratnich, jakie łączyły zawsze Włochów i Polaków. Warszawę reprezentuje w zbiorze: posąg króla Zygmunta III-go, Klemensa Milusa z Bolonii; gmach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, pałac Paca, wzniesione przez budowniczego Henryka Marconiego; kościół Świętego Krzyża, dzieło inżyniera Bellottiego; kościół Kapucynów, zbudowany przez Augustyna Locci; pałac dawnej Komisji Skarbu, Antoniego Corazzego, znanego w Polsce twórcy innych także gmachów: jak Teatr Wielki, pałac Staszica, Bank Polski i t. d.

Bogaciej sztukę włoską przedstawia Kraków. Nadesłano stamtąd w reprodukcjach: grób króla Jana Olbrachta, dzieło Franciszka Muratora Italusa; Zamek, zbudowany w części przez Franciszka della Torre i Barłomieja Borezzi w najczystszyim stylu Odrodzenia; wnętrze kościoła S-tej Anny, przez Baltazara Fontanę, bardzo cenionego artystę, który pracował także w Austrii; cymboryum w kościele Panny Maryi przez rzeźbiarza Mossa, zwanego Padewczykiem. Ten sam artysta stworzył jeszcze Sukiennice, grób Piotra Boratyńskiego w Katedrze i grób biskupa Tomickiego, dzieła, które przekazały jego imię do potomności. Z twórców artysty Sante Guggi są groby Anny Jagiellonki i męża jej króla Stefana Batorego w kościele katedralnym, wielce wspaniale, przypomina-

jące nieco motywami zdobniczymi groby w klasztorze Kartuzów w Pawii; grób Władysława Jagiellończyka, Ciniego i Bereciego; grób Filipa Buonacorsi, zwanego Kalimachem i jeszcze kilka innych prac, jak np. kaplica zwana Zygmuntofską.

Poznań dał bardzo niewiele. Spotykamy w zbiorze: Ratusz, dzieło G. B. di Quadro; pomnik Adama Konarskiego, przez G. Canovesi; pomnik grobowy rodziny Górków w kościele katedralnym, przez tego samego Canovesiego, który widocznie pracował wiele w tem mieście. Obie fotografie przysłał Jego Ekscelencya Likowski, biskup poznański.

Lwów równie skąpo jest reprezentowany. Przedstawił mianowicie w reprodukcjach dom rodziny Alberti, wybudowany przez Piotra Ciasso (fotografia p. doktora Batowskiego), klasztor Benedyktynek, gmach wzniesiony przez architekta Paolo Dominici Romano, który budował również kościół Bernardynów; nadto kościół Wniebowzięcia Matki Boskiej i dom Korniakta, który należał niegdyś do króla Jana III Sobieskiego, przez Piotra di Borbona, którego dzieł nie znają wcale Włochy.

Z Lublina nadesłano dwie tylko fotografie: gmach municipalny, przez budowniczego Merliniego i katedra (dostarczył je prof Łopaciński). Nadto figurują w kolekcji: pałac króla Jana Sobieskiego w Wilanowie, dzieło budowniczego Bellottiego; pałac króla Stanisława Augusta Poniatowskiego w Łazienkach, wybudowany przez architektów Merliniego i Fontanę (dar O. F. Tencajolego z Medyolanu); teatr i posągi z parku Łazienkowskiego, przez M. Rigi; portret Stanisława Augusta przez Marcelego Bacciarellego. Jest też kilka innych fotografii z obrazów tego malarza, między innymi: Zygmunt I nadający inwestyturę Prus Wschodnich Albertowi Brandeburskiemu i t. d. Nadmienimy wreszcie o reprodukcjach z portretów: króla Władysława IV, królowej Cecylii Renaty Austryackiej, malowanych przez Dolabellę (dar M. O. Tencajolego), i z wizerunków pięknej Maryi Ludwiki Gonzagi, dzieło artysty włoskiego (dar hr. Izydora Czosnowskiego); księżnej Teresy Lubomirskiej, przez Józefa Grassego, i zakończmy wzmianką o dwóch obrazach Lampiego, oraz o modelu żelaznym ratusza poznańskiego na stole z drzewa dębowego, pochodzącym *ex Museo Societatis Litterariae Posnaniensis*.

*

*

*

Zasługa doskonałego powodzenia tej kolekcji należy się kawalerowi Hektorowi Verga, dyrektorowi archiwów miejskich w Medyolanie, który wykazał w tej pracy godną wszelkiej pochwały dobrą wolę. Zapewne, że zbioru kompletnym nazwać nie można, brak jeszcze fotografii wielu pomników i mnóstwa obrazów, stworzonych w Polsce przez artystów włoskich, ale zdobycie tych reprodukcji trudnem jest z różnych powodów. Cieszyć się jednak wypada i z takiego wyniku, bo Polska, jak to już zaznaczyłem, zajmuje wybitne miejsce w zbiorze, który zwrócił uwagę Włochów i cudzoziemców, a zwłaszcza Polaków, rezydujących we Włoszech i zwiedzających licznie wystawę.

Hołd intelektualny, jaki sobie wzajemnie złożyły Włochy i Polska, przyczyni się do zacieśnienia węzłów przyjaźni, łączących od kilku wieków dwa wielkie bratnie narody.

OREST FERD. TENCAJOLI.

II.

Kongres socjalistów włoskich w Rzymie.

Pomimo jednej wspólnej nazwy, socjaliści włoscy dzielą się na trzy frakcje, różniące się silnie między sobą w poglądach na taktykę i cele stronnictwa. Umiarkowaną frakcją, prawicę partji, stanowią „reformiści;“ godzą się oni z istniejącą we Włoszech formą rządu i dążą do poprawienia losu proletaryatu drogą stopniowych reform; oportunizm ich sięga tak daleko, że w swym programie parlamentarnym przewidują możliwość popierania burżuazyjnego rządu, zajmującego się polityką socjalną, wobec czego nie jest dziwnem, że wódz reformistów, deputowany Turati, miał już sobie kilkakrotnie proponowaną tekę ministeryalną; organami tej frakcji są: „Critica Sociale,“ „Tempo“ i parę innych gazet. Radykalny odłam stronnictwa, skrajną lewicę, przedstawiają tak zwani teraz „syndykaliści,“ dawniej „rewolucyoniści;“ nie uznają oni reform pokojowych, lecz wierzą jedynie w skuteczność środków gwałtownych, jak bezrobocie i w ogóle rewolucya; za kierowników tej frakcji można uważać Arturo Labriola, Enrico Leone, Walter'a Mocchi, a za organ „Divenire sociale.“ Pomędzy reformistami i syndykalistami, jako centrum partji, stoją „integraliści,“ t. j. dążący do utrzymania całości partji, których program jest pośrednim

dwóch poprzednich; wodzem integralistów jest Enrico Ferri, redaktor „Avanti,” oficjalnego organu całego stronnictwa.

Liczebny skład stronnictwa nie jest wielkim i wzrost jego postępuje wolno; według ogłoszonego niedawno sprawozdania, w r. 1902 w całych Włoszech było 990 zorganizowanych związków socjalistycznych z 36,052 członkami; obecnie zaś stronnictwo liczy 1252 związków i 42,860 członków.

Na poprzednim kongresie w Bolonii, przed 2 $\frac{1}{2}$ laty, zarysowały się już wyraźnie różnice walczących między sobą w łonie stronnictwa kierunków: umiarkowanego i nieprzejednanego, przy czem obydwa kierunki były reprezentowane prawie przez jednakową liczbę głosów. Od tego czasu różnice zaostrzyły się jeszcze bardziej; rewolucyoniści zmienili swą nazwę na syndykalistów i przyjęli za zasadę, że zorganizowane związki robotnicze (syndykaty) mają prawo, na własną rękę, prowadzić samodzielną akcyę na korzyść proletaryatu. Zgodnie z tą zasadą i wbrew wyraźnemu postanowieniu zarządu partyi, były urządzane tak liczne w ostatnich czasach we Włoszech bezrobocia, które, trzeba to zaznaczyć, nie przyczyniły się do wzmocnienia stronnictwa, lecz przeciwnie otworzyły oczy wielu robotnikom na szkodliwą działalność ich przewodców, odsunęły od socjalizmu lud wiejski i wogóle osłabiły w społeczeństwie sympatyę dla doktryn socjalistycznych; dowodem jest fakt, że liczba członków zapisanych do związków socjalistycznych, zmniejszyła się z 45,800 w r. 1904 do 42,860 w chwili obecnej. Niepopularną też okazała się propaganda antymilitaryzmu, rozpoczęta przez syndykalistów, na wzór prowadzonej we Francyi przez Hervégo i jego zwolenników; nawet w szerszych kołach socjalistycznych nie znalazła ona poparcia; na ankietę, rozpisaną przez „Avanti,” otrzymane były odpowiedzi dla propagandy nieprzychylne; tak np. profesor Loria wyraził się, że Włochy, pod groźbą śmierci, powinny utrzymywać swe siły zbrojne; zdaniem drugiego profesora, Coletti, słabe militarnie Włochy nie unikną wojny, owszem, prędzej ją wywołają i nakoniec znany publicysta włoski, Malagodi, nazwał propagandę tę po prostu: „fałszywą, niebezpieczną i brutalną.”

Przeciw podobnej, samodzielnej polityce syndykalistów występowały bardzo stanowczo organy prasy reformistów; w „Critica sociale” Turati niejednokrotnie zarzucał syndykalistom, że porwawszy się za zaśnieżoną i tępą broń bezroboci, częściowych i ogólnych, zamienili socjalną walkę klasową na szereg bezmyślnych, niezorganizowanych napaści na ludzkie społeczeństwo wogóle, że nadali tem socjalizmowi włoskiemu karykaturalne formy,

które ośmieszyły go tylko w oczach całego społeczeństwa, pozba-
wiły przyjaciół i poparcia mas ludowych; więcej nie mogłyby po-
wiedzieć i wróg socjalizmu.

W atmosferze ogólnego rozdrażnienia rozpoczął swe posie-
dzenia kongres Rzymski w. dn. 7-go października; na przewodni-
czącego wybrano deputowanego Costa i na samym wstępie po-
stanowiono wyrazić sympatyę kongresu rewolucyoniŝtom rosyj-
skim; następnie przystąpiono do obrad nad zadaniami i taktyką
stronnictwa. Obrady trwały trzy dni i były dalszym ciągiem
poprzednich sporów między przedstawicielami rozmaitych kierun-
ków, przyczem dochodziło nawet do oddzielnych bójek i powszech-
nego zamętu na posiedzeniach. Charakterystycznem było to, że
członkowie kongresu odmawiali sobie nawzajem prawa do nazwy
socjalisty; Turati, nie uznając istnienia integralistów, jako osob-
nej frakcyi socjalistycznej, o syndykalistach wyrażał się, że nie
są socyalistami, lecz anarchistami; natomiast syndykaliŝci żądali
usunięcia reformistów ze stronnictwa, nazywając ich monarchista-
mi; nieprzejednane ich doktrynerstwo wywołało trafną uwagę
jednego z mówców, że syndykaliŝci zgodziliby się patrzeć na
śmierć głodową robotników, aby tylko mieć przyjemność demon-
strowania swych teoryj. Na ogół przeważały przemówienia umiar-
kowane; wypowiadano nawet zdanie, że socyalizm włoski nie był,
nie jest i nie będzie nigdy marksizmem (Morgari); że stronnictwo
socyalistyczne włoskie jest tylko stronnictwem robotniczem reform
socyalnych (Turati); że monarchiczna forma rządu we Włoszech
nie jest przeszkodą ani dla szerzenia socyalistycznych idei, ani
dla polepszenia losu proletaryatu (Vergnanini) i t. d. Okazało
się w toku obrad, że od czasu Bolońskiego kongresu, integraliŝci
wzrosli znacznie w liczbę i zapożyczwszy dla swego programu
od reformistów to, co ci mają stosunkowo radykalnego, a od syn-
dykalistów, co ci mają stosunkowo umiarkowanego, stali się
spójnią i przeważającą w stronnictwie siłą; bronią oni, jak się
wyraził Ferri, reform od reformistów i syndykatów od syndy-
kalistów.

Ostatecznie, każda z trzech frakcyj stronnictwa przedstawiła
swój program, określający stosunek do rządu i dalszy sposób po-
stępowania partyi. Przed głosowaniem reformiŝci oświadczyli,
że przyłączają się do programu integralistów i ten został przyję-
ty większością 26,947 reprezentowanych na kongresie głosów;
program syndykalistów pozyskał tylko 5,578 głosów. Przyjęty
program nie jest zupełnie jasnym, gdyż miał on na celu pogodzić
powstałe sprzeczności i niedopuścić do rozpadnięcia się stronni-

ctwa; wskazuje on przede wszystkim na konieczność jedności w stronnictwie, aby usiłowania tegoż, skierowane ku polepszeniu warunków proletaryatu, mogły być skutecznymi; zaleca stronnictwu w swej działalności stosować się do istniejącej formy rządu i ustroju społecznego i posługiwać się środkami legalnymi, a do gwałtownych uciekać się tylko w tym razie, jeżeli organy rządowe paraliżować będą użycie środków legalnych; następnie potępia ogólne bezrobocie, jako szkodliwe i nie prowadzące do celu i na koniec zaznacza wrogie stanowisko stronnictwa względem militarystyki i klerykalizmu.

Oczywistą jest rzeczą, że połączenie się integralistów i reformistów przechyliło na kongresie szalę zwycięstwa na stronę umiarkowanych żywiołów i faktem jest, że większość kongresu odrzuciła na przyszłość anarchistyczno-rewolucyjną metodę działania. Syndykaliści, t. j. przedstawiciele związków robotniczych, którzy we Włoszech, naodwrot jak w Niemczech, są dotychczas zwolennikami gwałtownych środków walki, przyjęli wyniki głosowania burzliwymi oznakami niezadowolenia; pozostali jednak w znacznej mniejszości i można się spodziewać, że rezultaty kongresu Rzymskiego przyczynią się do złagodzenia walki socyalnej we Włoszech i do wewnętrznego uspokojenia kraju.

M. Ł.

Włodzimierz Spasowicz.

Po czteroletnim pobycie w Warszawie, dokąd przeniósł się był z Petersburga w 1902 r., zmarł w naszym mieście w dn. 29 października r. b. Włodzimierz Spasowicz, uczony jurysta wielkiej miary, pisarz znakomity, człowiek nieposzlakowanej prawości, charakter z jednej sztuki. Działalność zmarłego była już w naszym piśmie przedmiotem obszernej analizy; śmierć wydobywa dziś z tego życia pracowitego i pełnego zasług na polu nauki i literatury syntezę, którą zajmie się w „Bibliotece“ powołane ku temu pióro. Tymczasem poprzestajemy na zanotowaniu suchych dat biograficznych, komu innemu zostawiając ich oświetlenie.

Urodzony w 1829 r. w Rzeczycy w gub. mińskiej, Spasowicz ukończył studia prawne w Petersburgu, poczem zajął katedrę prawa kryminalnego w tantejszym uniwersytecie, gdzie wykładał aż do r. 1862, kiedy wybuchły zaburzenia studenckie, wskutek których usunął się z wszechnicy i poświęcił się adwokaturze. W charakterze obrońcy zasłynął wkrótce, jako mówca pierwszorzędny; obrony, zwłaszcza w pamiętnym procesie Nieczajewa, zjednały mu europejski rozgłos. Niebawem też dał się poznać w studiach historycznych, pisanych po rosyjsku, jako gruntowny znawca dziejów Polski; czynnie współpracował w czasopiśmie „Słowo“; redagował też z Kostomarowem *Wiestnik Jewropy*, brał udział w wydaniu Ohryzki *Voluminów legum*, wydając nadto w języku rosyjskim mnóstwo prac z dziedziny prawnej. Podjąwszy wspólnie z Pypinem wydanie „Przeglądu historii literatur słowiańskich“, opracował do tego dzieła dzieje piśmiennictwa polskiego (przetłumaczone później na język polski przez S. Czarnowskiego i A. G. Bema). Krytykę literacką chętnie opierał na motywach społecznych, co Warszawa miała sposobność ocenić, słuchając rozgłoszonych nie-

gdyś odczytów Spasowicza o Wincentym Polu. Założywszy później w Warszawie miesięcznik *Ateneum*, który znacznym nakładem do r. 1901 podtrzymywał, jednocześnie prowadził w Petersburgu powstałe przy jego udziale pismo tygodniowe „Kraj,” gdzie był gorliwym współpracownikiem w dziale politycznym i literacko-krytycznym. „Życie i polityka margrabiego Wielopolskiego, epizod z dziejów kwestyi rosyjsko-polskiej“ jest dziełem, krystalizującym poglądy Spasowicza na stosunek Polski do społeczeństwa i państwa rosyjskiego. Poglądy te wyznawał z nieugiętą konsekwencyą, przeprowadzał je w teorii i praktyce; ukształtowały się one w duszy Polaka, ogarniętego atmosferą rosyjską, w ideę przewodnią, której pozostał wierny do ostatniego tchnienia. Idea miała wyznawców i wrogów, a głosiciel jej podzielał losy idei. Śmierć zabrała Spasowicza w późnym wieku, ale za wcześnie w stosunku do chwili, w której umierał, a której może sędzono wyrzec ostatnie słowo „dziejów kwestyi rosyjsko-polskiej.“

PIŚMIENNICTWO.

WACŁAW TOKARZ. *Ostatnie lata Hugona Kołłątaja (1794—1812).*

W przedmowie autor wyznaje, że okres życia Kołłątaja przedstawiony w jego pracy, ma niewątpliwie znaczenie drugorzędne dla jego biografii. W ciągu tych 18 niespełna ostatnich lat życia — przez 9 jest Kołłątaj zupełnie odcięty od kraju i społeczeństwa, znajdując się bądź w więzieniu austriackim, bądź też w Moskwie, a po za tem, czy to w czasie pobytu na Wołyniu, czy w Księstwie Warszawskim do tego stopnia nie bierze udziału w życiu publicznem, że ze wzmiankami o nim spotkać się dosyć trudno w literaturze pamiętnikarskiej, a nawet i korespondencyi współczesnej. Cała jego działalność w tym okresie redukuje się do rozmiarów bardzo skromnych. Występuje on w roli doradcy tych ludzi, którym warunki dały możność działania, pracuje naukowo, pisze broszury polityczne, a przedewszystkiem memoryały, w których podaje rozliczne projekty, a głównie krytykuje ludzi stojących u władzy, przeciw którym do końca życia walczy i intryguje. Jego rola, jako doradcy, była często mało widoczną, tak że niejednokrotnie współcześni nie oceniali jej wcale. Publicystyka Kołłątajowska z tego czasu jest też robotą nie tyle działacza politycznego, ile malkontenta. Mamy tu naogół do czynienia z działalnością człowieka złamanego przeciwnościami, odsuniętego w pełni sił od wszelkiego współdziałania w pracy publicznej.

Z tem wszystkim warto poznać Kołłątaja nawet w tym okresie zawodów i rozgoryczenia, miał bowiem w swej umysłowości pewne dane do spokojnego i trafnego ocenienia epoki Napoleońskiej, nie przywiązywał się on zbyt mocno do pewnych, stałych programów politycznych, miał więcej od innych zdolności do oceniania korzyści każdej sytuacji i żadnej z dróg pracy nie odrzu-

cał z góry, a zawsze miał coś do powiedzenia społeczeństwu. Jego jasna umysłowość nie uległa zmianie aż do końca życia; wydaje on ciągle prace publicystyczne pierwszorzędnej wartości, lub sądy, obserwacye i projekty godne zastanowienia. Schorowany, złamany pozostał on zawsze samym sobą i śmierć nawet zaskoczyła go przy robocie. Źródła, na których autor oparł swą pracę, są przeważnie rękopiśmienne. Znajdują się one w Bibliotece Jagiellońskiej, w zbiorach Akademii Umiejętności, w archiwum Andrzeja hr. Potockiego, w bibliotece ordynacyi Zamoyskich, Krasieńskich, w zbiorach Dzieduszyckich i Czartoryskich, w archiwach austriackiego ministerium spraw wewnętrznych, w Staats-Haus i Hof-Archiv w Wiedniu, w Rapersvylu i w Paryżu.

Nasamprzód przytoczył autor wszystko to, co Kołłątaj podał w obronie swojej przeszłości. Kołłątaj zaś mógł słusznie powołać się na prawdę, iż złorzeczenia i wyrzuty w nieszczęściu, przemieniają się na błogosławieństwa i uwielbienia w powodzeniu. Kołłątaja czyniono odpowiedzialnym za wszystko, co się działo w r. 1794. Tymczasem Śniadecki usprawiedliwiał go, twierdząc, że gdy Kołłątaj wystąpił na scenę rozpaczy ginącego narodu, gdzie wszystkie wysilenia rozumu bez nadzwyczajnego w sztuce wojennej talentu są próżne i daremne, musiał spotkać wyrok twardego przeznaczenia, skazujący go na pastwę zawziętości i zemsty. Wchodził tylko dzielnie do gwałtownych lekarstw ratunku, mylił się i zawodził, kiedy się prawie wszyscy mylili i zawodzili, i najwięcej za te pomyłki odpokutował. Najzacieklejsze zarzuty spotykały Kołłątaja ze strony Stanisława Augusta. Król posądzał Kołłątaja o spisek na życie Kościuszki i o zaprowadzenie assygnat w tym celu, aby mógł zagarnąć monetę brzęczącą, Kołłątaj nawzajem oskarżał Stanisława Augusta, że w r. 1767 zażądał od Repnina wywiezienia senatorów. Zerwanie stosunków z Kościuszką, Stanisławem Małachowskim, Stanisławem i Ignacym Potockimi przemawiało daleko silniej przeciw Kołłątajowi. Nawet Tomasz Ostrowski, chociaż pomagał Kołłątajowi w staraniach o odzyskanie majątku, nie obdarzał go dawnem zaufaniem. Linowski wreszcie wystąpił z broszurą, w której zamieścił wszystkie zarzuty przeciw Kołłątajowi. Pierwszą próbą rehabilitacyjną Kołłątaja była książka: „O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3 maja“ i t. d. Wogóle przyznać trzeba, że jego stosunki z Targowicą i Bułhakowem, aczkolwiek spowodowane po części jego widokami osobistymi, nie były nawiązane bez zgody emigracyi, ani pozbawione względu na dobro ogólne kraju. Współcześni osądzili też Kołłątaja sprawiedliwiej, poznawszy po za maską

awanturnika, skłonnego do demagogii, warcholstwa i chciwości, wyższe zdolności i dane na męża stanu: niezrównany talent organizacyjny, zdolność do systematycznego, porządnego przeprowadzenia każdej pracy, którą mu powierzono, a przede wszystkim najrealistyczniejszą, najjaśniejszą wśród współczesnych unysłowość i wyjątkową znajomość swego społeczeństwa. Ale wyrozumiały głos Niemcewicza, Wodzickiego i Śniadeckiego były to sądy późniejsze, wypowiedziane przy spokojnem spojrzeniu w przeszłość, z zapanowaniem nad jej walkami, oskarżeniami i bólami, gdy Kołłątaj dawno był już zeszedł ze sceny dziejowej. Kołłątaj jednak pozostał pod wrażeniem, że własni rodacy wydali go w ręce władz austriackich, że jego uwięzienie przyjęto w pewnych kołach jaknajlepiej, a za czasów Księstwa nie powołano go do życia publicznego. Kołłątaj pod wpływem gorczy zawodu pisał swą obronę, a ta okoliczność skłaniać musi zawsze do wyrozumiałego jej traktowania.

Opuuszczając Warszawę d. 4 listopada 1794 r., Kołłątaj zatrzymał się w Kozienicach. Z Kozienic wyjechał d. 4 listopada i pod przybranem nazwiskiem Jastrzebskiego udał się w Sandomierskie, gdzie w majątku Węgleńskiego znalazł bezpieczny przytułek. Kołłątaj wywoził z Warszawy jakąś ważną korespondencję, której poszukiwały władze rosyjskie, trzeba więc było ją przede wszystkim zabezpieczyć. Dość długo ukrywał się Kołłątaj w schronieniu Węgleńskiego, aż nagle rozeszła się wieść o jego uwięzieniu w Przemysłu. Rząd austriacki uwięził Kołłątaja na żądanie Rosyi. Już Suworow i Razumowski motywowali żądanie uwięzienia go tem, że jestto najniebezpieczniejszy z powstańców 1794 r. Kołłątaj też zaraz po uwięzieniu zwrócił się z prośbą do cesarza, aby go nie wydawał Rosyi. Władze austriackie skłonne były do łagodniejszego traktowania Kołłątaja, ale Thugut na powtarzające się żądania Rosyi, zalecał szczególną surowość. Rada nadworna wojenna podejrzewała Kołłątaja, że zeznania jego co do spalenia papierów wywiezionych z Warszawy są wykretem i nakazała rewizyę u matki i brata jego oraz u Węgleńskiego w Chełmskiem. Z Przemysła przewieziono Kołłątaja w grudniu 1794 r. do Ołomuńca. Na utrzymanie przeznaczono dla niego po 3 zł. dziennie, ale w d. 10 lutego 1795 r. przewieziono go razem z Ignacym Zajączkiem do twierdzy Josephstadtu, gdzie byli traktowani łagodniej. W twierdzy nudził się Kołłątaj kapitalnie, pisywał też studia o podagrze, o widzeniach sennych, czytywał nudne romanse niemieckie, których mu dostarczali oficerowie załogi, lub jedyni prócz nich posiadacze książek w twierdzy,

kucharz i piwowar, dopóki po licznych prośbach nie przysłano mu z Ołomuńca Herodota, Tucydysesa i Diodora.

Zaraz po śmierci Katarzyny II wystosował Kołłątaj list do cesarza austriackiego, którego silny i pełen godności ton zwrócił uwagę arcyksięcia Karola, później jednego z najgorliwszych rzeźników jego uwolnienia. Tymczasem w końcu kwietnia 1798 r. Bernadotte przedstawił Thugutowi notę domagającą się uwolnienia Kołłątaja z więzienia, który to krok miał dla uwięzionego jaknajgorsze następstwa. W lipcu bowiem 1798 r. przewieziono go z powrotem do Ołomuńca, umieszczono w kazamacie, gdzie światła słońca nie widział i w dodatku poddano go pod dozór bardzo ścisły. Wtedy to, w epoce bardzo dla niego męczącej, kasztelanowa Czetwertyńska, przejeżdżająca przez Ołomuniec, przypomniała mu, że ma teraz chyba czas do przebłagania Boga za to, że kazał zabić jej męża. Ten drobny akt zemsty, chociaż prawdopodobnie nie doszedł do wiadomości uwięzionego, sprawił mu znacznie więcej przykrości, niż mogła przewidywać kasztelanowa. O fakcie tym doniesiono bowiem odrazu radzie wojennej i Thugutowi, który zażądał dochodzeń i powiększenia dozoru nad Kołłątajem. Jeszcze w r. 1798 rodzina więźnia wniosła podanie do cesarza, domagając się, aby, jeżeli popełnił zbrodnię polityczną, poddano go sądowi, a bez wyroku sądowego nie pozbawiano go majątku i godności. W odpowiedzi otrzymano reskrypt cesarski, stwierdzający, że Kołłątaj nie jest zatrzymany jako winny, ale pozostaje tylko pod najłaskawszą opieką rządu, a jeżeli nie może być uwolniony zaraz, to są tego przyczyny. Jego zaś posiadłości świeckie i beneficja zostały mu odjęte nie za karę, ale w myśl ogólnie obowiązujących przepisów.

Kołłątaja trzymano w kazamatach Ołomunieckich przez cały kwartał. Gdy jednak zdrowie jego znacznie się pogorszyło, pozwolono mu na spacer, na wyjazdy za miasto i na korzystanie z bogatej biblioteki pojezuickiej. W r. 1801 Kołłątaj zawiązuje korespondencję z organizacją spiskową w Warszawie utworzoną, t. j. z tak zwanem naówczas Towarzystwem republikańców polskich. Horodyski w ich imieniu zaproponował mu ucieczkę z więzienia, Kołłątaj odpowiedział, że zrujnowane zdrowie czyni go niezdolnym do takiej imprezy. W tym czasie wnoszono do pierwszego konsula usilne instancje, aby wstawił się w Wiedniu za Kołłątajem, który miał się przenieść do Francji. Austria wymawiała się jednak tem, że nie może Kołłątaja wypuścić na wolność, dopóki na to nie pozwoli Rosya. Kołłątaj napisał także list do pierwszego konsula, ale tak złą francuszczyzną, że miano wątpli-

wości, czy go można doręczyć. W Ołomuńcu tymczasem nawiązał Kołłątaj stosunki z biskupem sufraganiem hr. Kolowrathem, który przychodził mu we wszystkim z pomocą w czasie ostatnich lat jego więzienia. W r. 1802 Razumowski z polecenia rządu rosyjskiego wniósł notę w sprawie uwolnienia Kołłątaja. Rząd austriacki jednak robił jakieś nadzwyczajne trudności, aby tylko przewlec sprawę. Ostatecznie Franciszek II w reskrypcie z 9 października 1802 r. polecił wypuścić Kołłątaja na wolność, ale równocześnie kazał mu raz na zawsze opuścić kraje dziedziczne swego domu. Odstawiono go niezwłocznie do komory pruskiej w Piltzch, nieokazując mu żadnej względności, chociaż Austria utrzymywała stale, że go więzi jedynie na życzenie Rosyi.

Do Warszawy przybył Kołłątaj 3-go grudnia 1802 r. Widok Warszawy, pisał Kołłątaj, wycisnął mi łzy i więcej uczułem smutku, niż gdy wjeżdżałem w granice Polski. Gubernator von Köhler uwolnił go od obowiązku meldowania się w formie wizyty i pozwolił mu dłużej zatrzymać się w mieście. W końcu i Fryderyk Wilhelm III odpowiedział na list Kołłątaja, wysłany do niego z Huty pod Częstochową, zaznaczając, że Polacy powinni wiedzieć, iż zapomniał już o r. 1794, że pozwala na jego dłuższy pobyt w Warszawie i prosi Boga, aby dał spokój i zdrowie na resztę życia Kołłątajowi. W Warszawie nieprzyjaciele zamaniestowali na wstępie niechęć do Kołłątaja. Właściciel zajazdu na Miodowej odmówił przyjęcia Kołłątaja, a w mieszkaniu Dmochowskiego, w którym się zatrzymał, wybito szyby. Dawni współpracownicy, z doby sejnu czteroletniego, jak St. Potocki, Małachowski, a nawet Ostrowski, przyjęli go oziębłe. Jedynymi ludźmi, którzy go powitali z otwartymi rękami, byli republikanie polscy. W tych nowych sprzymierzeńcach musiało wiele rzeczy Kołłątaja razić, zwłaszcza ich „Kantyzm,“ gdyż był on stanowczym przeciwnikiem filozofa królewieckiego i obawiał się rozpowszechnienia jego nauki w Polsce.

Z Dubna w r. 1803 napisał Kołłątaj do cesarza Aleksandra I, składając najgorętsze podziękowanie za uwolnienie go z więzienia i udzielenie gościnności. W tymże roku, w kościele Franciszkanów w Krzemieńcu, złożył przysięgę na wierność, wobec licznie zgromadzonego obywatelstwa, żdziwionego potrosze tym aktem. O powołaniu Kołłątaja do Petersburga nie było jednak wcale mowy i nawet zażądano od niego pewnych zapewnień, iż nie będzie brał udziału w życiu publicznem na Wołyniu. W r. 1804 pozostawał Kołłątaj pod skrytym dozorem i wtedy to pisał do Czackiego, iż przyjdzie mu chyba zamknąć się w jakim klaszto-

rze. Stosunki jego majątkowe na Wołyniu nie były tak złe. Wydawał 127 dukatów miesięcznie, ale co prawda pieniędzy dostarczała rodzina. W społeczeństwie tej dzielnicy był jakby odosobniony i tylko nieliczne grono szlachty oraz kilku profesorów z Łucka i Krzemieńca należało do jego zwolenników. Kołłątaj stwierdzał, że szlachta wołyńska naówczas była mocno zadowolona z rządów rosyjskich, które ją popierały kosztem chłopów. Niezadowolone było tylko duchowieństwo katolickie i unickie, mieszczaństwo oraz Żydzi. O obywatelstwie wołyńskim nie miał Kołłątaj wielkiego wyobrażenia, wysoko tylko stawiał Tadeusza Czackiego i generała Kniaziewiczza, któremu radził powierzyć dowództwo w razie powstania. O Adamie Czartoryskim i Strojnowskim pisał on, iż największą mają stąd pociechę, że utrzymali całe prawie systema Komisji Edukacyjnej. Ponieważ ks. Adam działał w zmienionych warunkach, przeto Kołłątaj opracował nowy plan reorganizacyjny szkolnictwa, który najzupełniej aprobował Śniadecki. Kołłątaj pierwszy zaproponował, aby na mocy pełnomocnictwa Czackiego, stworzyć na kresach drugą Szkołę Główną w Krzemieńcu, a gdy Czacki zauważył, że nie jest to możliwe, podał drugi plan utworzenia w Krzemieńcu przynajmniej wszechnicy w miniaturze.

W r. 1805 stosunek Czackiego do Kołłątaja oziębia się, głównie z powodu w sekrecie przed Kołłątajem zaprowadzonego sądu uczniowskiego, który tenże uważał za pomysł dziwaczny, psujący dyscyplinę szkolną i wprawiający młodzież do pieniactwa. W r. 1806 Kołłątaj ciężko zaniemógł na podagrę i nie wstawał prawie z łóżka, wtedy właśnie rząd rosyjski kazał go przewieźć do Moskwy i to w chwili, gdy miał tylko 29 dukatów w kieszeni. Władze rosyjskie obchodziły się z nim jaknajgrzeczniej, otrzymał nawet pensję od rządu, wynoszącą 250 rb. miesięcznie. Bałaszew, ówczesny gubernator wojenny Petersburga, tytułował zawsze Kołłątaja hrabią. W Moskwie przebywał Kołłątaj od kwietnia 1807 r. do kwietnia, a może i początków maja 1808 r. Tam to opracował on memoriał o położeniu politycznym Rosyi dla marszałką Davout. W nim to zauważył, że Księstwo-Warszawskie jest solą w oku dla wszystkich Rosyan, że nie tylko o jego rozszerzeniu, ale i o jego istnieniu dłuższemu mowy być nie może. Wreszcie, w r. 1808, powracając z Moskwy, wstąpił Kołłątaj do Krzemieńca i usłyszał tam wyrzekania na konstytucję Księstwa Warszawskiego, zaprowadzającą zniesienie poddaństwa, na demokratyczny kodeks Napoleona i pobór powszechny do wojska.

Traktat Tylżycki sprawił na Kołłątaju wielkie wrażenie. Wkrótce potem napisał on memoriał p. t. „Uwagi nad położeniem Saksonii i Polski z nią zjednoczonej,” przeznaczony dla króla saskiego, a napisany pod wpływem pierwszych wiadomości o dziele Tylżeńskim. Jest to jedna z najciekawszych prac Kołłątaja. Nigdy nie było mu danem wypowiedzieć się tak szczerze i tak bezinteresownie do króla saskiego słowami wypowiedzianymi niegdyś przez Zygmunta, że najbezpieczniejszem dlań schronieniem jest pierś każdego Polaka. Zastanawia przedewszystkiem, jak Kołłątaj ze swego wygnania dobrze orientował się w sprawach krajowych, podnosząc energicznie plan uzyskania Śląska, będący planami wszystkich naszych polityków zaraz po Tylży. Fryderyk August stale bywał zniechęcany do Kołłątaja listami St. Potockiego do Brezy i systematycznie odsuwał republikanów polskich od wybitniejszych godności w Księstwie. W czerwcu 1808 r. Kołłątaj przybył do Warszawy. Davout razem z Serrą złożyli mu wizytę i namówili go, aby przygotował memoriał dla cesarza o stosunkach rosyjskich i aby pisywał do Davouta. Oprócz tego Kołłątaj wystosował list do Napoleona w sprawie indemnizacji od rządu austriackiego, ale na ten list nie odebrał żadnej odpowiedzi.

W r. 1809 wydał Kołłątaj książkę p. t. „Nil desperandum.“ Z każdego wiersza przebijają tu obawy o losy Księstwa Warsz., rzuconego między trzy mocarstwa, jak gdyby jabłko niezgody. Polityka francuska, zdaniem Kołłątaja, miała dla narodu polskiego wartość tak kapitalną, że o wyborze pomiędzy nią a polityką rosyjską mowy być nie mogło. Śniadecki nazywał tę książkę romanssem czy też snem politycznym, ale swoją drogą broszura Kołłątajowska pozostanie jedynym pomnikiem — nadziei i obaw, złudzeń i wątpliwości, jakie wstrząsały duszami polityków Księstwa. W r. 1809 Kołłątaj udał się do księcia Józefa z memoriałem, omawiającym braki dotychczasowej organizacji zarządu Galicji, ale doznał zawodu, gdyż ks. Józef nie chciał się nawet widzieć z nim. Wkrótce po nieudanej próbie krakowskiej napisał Kołłątaj do wspólni z generałem Zajączkiem memoriał p. t. „Notice sur l'état actuel de la Galicie,” przeznaczony dla Napoleona, a dotyczący przedewszystkiem roli księcia Józefa w wypadkach r. 1809. Kołłątaj w tym memoriale oświadczył się za wice-królestwem, proponując, aby je król powierzył któremu ze swoich braci. Zdaniem jego, rada ministrów nie ma racji bytu, skoro nie może zmienić nic w robocie jednego ministra. Przeciw radzie ministrów oświadcza się Kołłątaj z powodu nieodpowiedzialności ciała zbiorowego. Prócz tego żądał on wprowadzenia do konstytucji

paragrafów o rejencji, zabezpieczających samodzielność Księstwa, o wychowaniu polskiem następcy tronu, stawiając wreszcie żądanie popularne naówczas, aby minister sekretarz stanu był zarazem ministrem spraw zagranicznych księstwa. W końcu żądał on poważnych zmian w składzie ministerjum Księstwa, znosząc ministerja sprawiedliwości i policji, a zaprowadzając natomiast nowe ministerjum religii, oświecenia, pomocy i ratunku.

Co się tyczy kwestyi oświaty w Księstwie, to Kołłątaj radził powrót do tradycji komisji edukacyjnej. Można pracować, jak twierdził, nad dalszem wydoskonaleniem ustaw Komisji, ale byłoby rzeczą haniebną one odrzucać. Jest to księga, jak niegdyś Xizistra, która przetrwała klęskę potopu. Został nam tylko jeden środek łączenia w jedną całość przez zasady edukacji i komunikowanie sobie nawzajem pożytecznych wyobrażeń. Izba edukacyjna wyrosła z dozoru nad liceum warszawskiem i odstąpiła od zasad Komisji. Opozycja więc Kołłątaja przybrała charakter zasadniczy, oparła się na obronie dzieła Komisji. Izba edukacyjna za Księstwa była jedynie utrzymaniem pruskiego „status quo,” co do władz naczelnych szkolnictwa. Kołłątaj, dawny uczeń szkoły głównej (krakowskiej), pierwszy przytem jej reformator, chciał znowu wprowadzić ją ze stanu nicości, w jaki wpadła po dymisji Niemców, oraz przywrócić jej dawną świetność, uczynić prawdziwem centrem oświaty dla całego Księstwa Warszawskiego. Przeciwno Kołłątajowi wystąpił stanowczo Stanisław Potocki, dowodząc, że już dawna organizacja Kołłątajowska, czyniąc szkołę główną ciałem administracyjnem i sądowniczem, oddając jej dozór nad całym szkolnictwem prowincyi, odsunęła ją od właściwego zadania—nauki, rzucając ją w wir ciągłych zajęć administracyjnych i obrad biurowych. Stąd mimo wszelkich usiłowań Komisji edukacyjnej, do końca istnienia Rzeczypospolitej, Rzeczpospolita przedstawiała smutny obraz walk partyjnych, intryg i zupełnego zaniedbania obowiązków naukowych. W lutym 1810 r. Towarzystwo Ksiąg Elementarnych stanowczo odrzuciło pracę Kołłątaja p. t. „Porządek fizyczno-moralny” i czyniono mu nawet trudności w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Wkrótce jednak Kołłątaj wszedł w bliższe stosunki z ministrem Senfftem i za jego pośrednictwem przywrócony został do łaski królewskiej. Pojechał więc osobiście do Dreznia, aby tam przeprowadzić swe reformy edukacyjne. W Dreźnie przyjęto Kołłątaja jaknajlepiej, ale nie mógł przeprowadzić stworzonego przez siebie stanu rzeczy w Krakowie.

Przedstawiono również w 1810 r. Kołłątajowi projekt konkordatu, prosząc go o opinię w tym względzie. Kołłątaj dostrzegł

od razu, że jest to sprawa drażliwa, która go może narazić zarówno Napoleonowi, jak i Fryderykowi Augustowi. Jego zdaniem, konkordat wymaga pierwszego nieodzownego warunku, wolności papieża, o której podówczas nie mogło być mowy. Duchowieństwu Księstwa w pomysłach konkordatu nie chodziło tyle o ugodę z Rzymem, ile o zrzucenie ze swego karku konstytucyi i kodeksu Napoleona. Sądził też, że do zaradzenia w pewnej części złemu, wystarczy decyzja samego króla i dobra wola duchowieństwa polskiego, które nie powinno mu robić żadnych trudności. Duchowieństwo występuje w Księstwie przeciw postanowieniom kodeksu Napoleona co do małżeństw cywilnych, ale niech król każe opisać biskupowi krakowskiemu, jak, co do tych spraw małżeństw i rozwodów, było za Austryaków, a przecież nie nastąpiło zerwania Rzymu z Austryą. Duchowieństwo Księstwa powinno zawsze pamiętać o tem, że nie społeczeństwo dla religii, ale religia istnieje dla społeczeństwa. Kołłątaj domaga się dla króla „placetum regium,” chce, aby korespondencya biskupów z Rzymem szła przez ministerjum wyznań, aby wszystkie beneficya należały do kolacyi królewskiej. W szerokim wywodzie historycznym starał się Kołłątaj przekonać monarchę, że posiadłości duchowne w Polsce nie służyły tylko na utrzymanie kleru, ale na ogólne cele narodowe: kultury i dobroczynności. Był też za zachowaniem duchowieństwu ziemi, gdyż ta przywiązuje je do kraju.

W r. 1810 Fryderyk August przyjął Kołłątaja na audyencyi i przyrzekł zbadać sprawę powrócenia mu majątku duchownego i świeckiego. W sprawach Księstwa ważniejszych uważano go i nadal za stałego radcę poufnego, nie dopuszczając go do niczego oficjalnie. W r. 1811 zaczynały już Kołłątaja opuszczać siły. Pracowitość nie opuszczała go ani na chwilę i śmierci czekał z zupełnym spokojem, uważając ją za największe dobrodziejstwo, jakie Opatrzność zapewniła żyjącym. W grobie, jak mawiał, odpocznie tylko, zwłaszcza, że sumienie cieszy go widokami dobrze odbytej przeszłości. Oświadczył w końcu, że w wierze, w której był zrodzony i wychowany, żył, i w niej pragnie umrzeć, że do utrzymania jej czystości przykładał się rzetelnie, że wszystkie w tej mierze dysputy i wątpliwości uważał za próżne, za szkodliwe w towarzyskiej spokojności, że wiara wreszcie nie była nigdy ciężarem dla jego rozumu i przed zgonem też dopełnił wszystkich obowiązków chrześcijanina. Po śmierci stworzyła się zaraz kampania za i przeciw Kołłątajowi. Dopiero w 1817 r. Badeni, na posiedzeniu Towarzystwa naukowego krakowskiego oddał należyty hołd jego pamięci.

Praca D-ra Tokarza odtworzyła nam postać Kołłątaja z epoki upadku, zgnębienia i rozgoryczenia, z której naprawdę nie miał się już nigdy w pełnem tego słowa znaczeniu podźwignąć. Literatura nasza nie odtworzyła znowu Kołłątaja z epoki młodości i męskiej, z której pozostały „Listy“ Anonyma, jako wspaniałe dowody płomiennej miłości kraju i niezwykłego rozumu politycznego. Czytając dzieło D-ra Tokarza, uczułem rzetelny, szczerzy żal, że autor nie ogarnął całej postaci Kołłątaja i nie stworzył portretu historycznego, z którego byśmy poznali działalność uczoną i polityczną całego Kołłątajowskiego żywota. Żal mój, że nie mamy całkowitego, lecz, że się tak wyrażę, połowicznego tylko dzieła, wypływa stąd, że praca D-ra Tokarza napisana została z gruntownością wzorową i z wyzyskaniem bogatego materiału źródłowego, dotychczas spoczywającego w nieprzerwanym archiwalnym spokoju. Do historii Księstwa Warszawskiego, zwłaszcza od roku 1809, t. j. od chwili przyłączenia Galicji, studjum D-ra Tokarza zawiera niezwykle duży interes. Sądy jego krytyczne zawsze spokojnie wyrozumowane, nie ujawniają żadnych podmiotowych uprzedzeń czy niechęci i przemawiają do nas przekonywająco i zdobywająco w imię prawdy i sprawiedliwości. Postać Kołłątaja z epoki upadku, tak, jak ją D-r Tokarz odtworzył, zdobywa nasz szacunek i wstrząsa nami do głębi z powodu twardej doli, jaką mu losy zgotowały. Widzimy przy Kołłątajowskiem łożu śmierci tę samą pracowitość i tę samą wysoką, wspaniałą inteligencyę, któreśmy podziwiali w dobie jego wieku męskiego. Kołłątaj w epoce zgnębienia, zastanawiał głębokim zmysłem i rozumem politycznym z kolei: marszałka Davout, Napoleona, Fryderyka Augusta i wielu innych, tak samo, jak w epoce wielkiego sejmku zdumiewał wszystkich i podnosił serce całego narodu. Praca D-ra Tokarza rzuca wiele światła na stosunki porozbiorowe naszego kraju i zasługuje, jako studjum historyczne, na wysokie uznanie i wdzięczność.

A. R.

STANISŁAW CHEŁCHOWSKI. *Rolnictwo w organizacji samorządu.* (Odczyt wygłoszony w seceyi rolnej 15 czerwca 1905 r.). Warszawa, 1906.

Autor zaznacza we wstępie, że pięć lat upływa od chwili, gdy zorganizowane Towarzystwa i Stowarzyszenia rolnicze rozpoczęły w Królestwie swą działalność. Na zasudzie więc pięciolet-

niego doświadczenia, zdolni jesteśmy odczuć i wskazać te wady, jakie tkwią w ich organizacyi i wskazać te strony życia rolniczego, których potrzeb Towarzystwa nigdy zaspokoić nie będą w stanie. Najpierw zaznaczyć należy, że Towarzystwa i Stowarzyszenia rolnicze nie są rzeczywistą reprezentacją interesów rolniczych narodu. Cenzus pieniężny łączy małą część ludności rolniczej. Stowarzyszenia i Towarzystwa rolnicze obejmowały w r. 1894 zaledwie 2835 rolników, a więc nie mieściły nawet połowy przedstawicieli większej własności. Z usług zaś kooperacyi rolniczej korzystało nie więcej, jak 1% ogółu rolniczego. Towarzystwa rolnicze obecne można jedynie uważać za reprezentacje interesów większej własności. Wprawdzie Towarzystwa starały się bezstronnie interesa większej własności reprezentować i to należy uważać za ważny zadatek na przyszłość, ale w każdym razie jest to nie-naturalna obrona i rzecznictwo interesów tych warstw, które przy zajmowaniu się ich losem, świecą nieobecnością i głosu nie zabierają. Mnóstwo spraw agrarnych pierwszorzędowego dla rolnictwa znaczenia, omawiane jest i rozstrzygane w sferach rządowych bez najmniejszego ze strony Towarzystw udziału. Towarzystwa korzystają tylko z prawa inicjatywy w kwestyach dotyczących ustawodawstwa agrarnego, a nie mają zabezpieczonego w rozległym znaczeniu i zrozumieniu prawa krytyki. Wskutek tego kompetencya ich nie jest dostatecznie wyzyskana, a ogół rolniczy nie wciągnięty w wir prac z tego zakresu, obojętnie i niedostatecznie uświadamia się w najżywotniejszych dla rolnictwa sprawach.

W zakresie pracy pedagogiczno-dydaktycznej i techniczno-rolniczej, Towarzystwa są również niezdolne do podjęcia szerokiej akcji, gdyż są zbyt ubogie. Budżet ich powstający z corocznie zbieranych składek nie przenosi 2000 — 6000 rb., z których lwia część pochłania administracya. Środki więc Towarzystw są tak skromne, że żadna poważniejsza i na dłuższy okres czasu obliczona praca nie może być przedsięwzięta nietylko wśród włościan, lecz nawet dla zaspokojenia większej własności. Skutkiem tego wytwarza się dodatkowa ofiarność, która nie jest w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb, jakie przez Towarzystwo załatwiane być powinny. Każde Towarzystwo załatwia swe zadania dorywczo i ułankowo, aby nie wyjść z obowiązków ciężących na instytucyach tego rodzaju. Praca Towarzystw rolniczych w innych krajach była daleko wdzięczniejszą i owocniejszą. Towarzystwa powyższe w innych krajach miały dłuższą historję, a w dodatku ilościowo silniej rozwinięte mogły potrzeby rolnictwa lepiej zaspokajać. Wielkie Towarzystwo rolnicze angielskie funkcjonuje

od r. 1751. Turgot we Francji zakłada w r. 1761 podobne Towarzystwo, w r. 1769 powstaje w Danii Królewskie Towarzystwo rolnicze, a w latach między 1762—1780 budzą się do życia Towarzystwa rolnicze w Saksonii. W obecnej chwili kooperacja rolnicza najwięcej jest rozwinięta w Belgii. W r. 1900 liczone w Belgii 1) związków rolniczych 626, 2) stowarzyszeń do zakupów narzędzi, nasion i nawozów sztucznych 731, 3) spółek mleczarskich 459, 4) kas Raiffeisena 264, 5) stowarzyszeń wzajemnego ubezpieczenia była 641. Budżety centralnych Towarzystw dochodziły setek tysięcy rubli a ciała kierownicze mogły z pożytkiem szerszą akcyę rolniczą podejmować i prowadzić.

Doświadczenie życiowe wykazało, że dla rozstrzygnięcia spraw w zakres administracji agrarnej wchodzących, ani władze administracyjne państwowe (jak to ma miejsce we Francji i na Węgrzech), ani też instytucje ogólno-autonomiczne nie wystarczają. Do prowadzenia tej gałęzi prawodawstwa i administracji agrarnej niezbędne są: fachowa znajomość rzeczy, duży zapas doświadczenia i znajomość miejscowych zwyczajów i warunków, możność wejścia w porozumienie i powołania do pomocy w wykonaniu istniejących stowarzyszeń zawodowych. Dlatego też władze państwowe i autonomiczne, widząc w rolnictwie podstawę bogactwa narodowego i chcąc mu przyjść z istotną pomocą, dążą do wytworzenia specjalnych organizacyj zawodowych rolniczych w postaci odrębnych, niezależnych, samorządnych agrarno-politycznych urzędów, lub też wyłaniają w organizaciji autonomicznej specjalne komisye i departamenty do zajmowania się sprawami rolniczymi. Anglia w r. 1862 wytworzyła specjalne organy rolnicze w postaci miejscowych Izb rolniczych, które oparte na samopomocy i dowolności należenia rolników, nie pobierają żadnych opłat stałych, jako dodatków do podatków. Izby zaś rolnicze prowincjonalne łączą się w jedną centralną. W Danii Towarzystwa rolnicze pobierają znaczne zasiłki od państwa. W Austrii Towarzystwa te korzystają z zapomóg rządowych i krajowych. W Niemczech sprawy rolnicze leżały oddawna w rękę stowarzyszeń. Ogarniając cały kraj nadzwyczajną ilością zrzeszeń zawodowych, instytucje te uprzystępniały należenie każdemu rolnikowi. Mimo całej organizaciji zawodowej, opartej na idei zrzeszenia i inicjatywie prywatnej, rolnicy niemieccy nie uważali, aby ich interesa były dostatecznie zabezpieczone. W skutek tego sejm pruski uchwalił w r. 1894 ustawę o izbach rolniczych, instytucjach korporacyjno-zawodowo-rolniczych, przedstawiających samoistną organizacyę samorządu rolniczego, pozbawioną charakteru agitacyjno-polity-

cznego. Izby rolnicze, nosząc charakter związków zawodowych przymusowych, są w istocie organami administracji agrarnej, zastępując Centralne Towarzystwa Rolnicze w ich pomnażanym zakresie działania. Za przykładem Prus uchwały Izby rolnicze niektóre państwa rolnicze. Inne zaś zorganizowały rady rolnicze, rady kultury rolniczej, które nietylko rolę doradczą, lecz również funkcje wykonawcze spełniają.

Izby rolnicze w Prusach obejmują w swej działalności prowincje i są zakładane, o ile zażąda tego sejm prowincjonalny. Członkowie izb obieralni są na lat 6, zmieniając się w połowie co lat 3. Zbierają się raz na rok, wybierają zarząd na lat 3, uchwalają budżet, zamykają i kontrolują rachunki oraz mają prawo otwierać w izbie specjalne oddziały. Izbie rolniczej służy prawo opodatkowania ludności rolniczej za pomocą dodatku do podatku gruntowego, nie przenoszącego $\frac{1}{2}\%$ dochodu kadastralnego. W razie potrzeby wyższego opodatkowania niezbędnym jest pozwolenie ministerjum rolnictwa. Izby rolnicze mają za zadanie zajmowanie się interesami rolnictwa, leśnictwa, do podniesienia których mogą dążyć wszelkimi środkami. Przedewszystkiem więc są reprezentacją urzędową lokalną interesów rolniczych, mogą występować z wnioskami w sprawach dotyczących rolnictwa, popierać je rzeczowym, faktycznym materiałem. Rząd ma obowiązek przedstawiać do opinii izb projekty prawodawcze przed wniesieniem ich do parlamentu. Z czynności jednak izb wyłączona jest agitacja. Prowadzą one pracę wychowawczą, pouczającą, informacyjną drogą: szkół, kursów, wykładów, wydawnictw. Dzięki dobrej organizacyi izby wywierają dodatni wpływ na stosunki rolnicze, koncentrując wszystkie środki w kierunku pedagogicznym i podniesienia rolnictwa w kierunku ekonomicznym. Towarzystwa centralne, o ile nie było przeszkód natury politycznej, przeważnie zwały się z izbami, wnosząc dużo elementu obywatelskiego, który do pracy specjalnej w wydziałach został zużytkowany. Izby rolnicze starają się wnikać we wszystkie potrzeby rolników i zaspokoić je radą, wskazówkami i pomocą techniczną lub materialną. Dają inicjatywę do postępu w asocjacyi i gospodarstwach pojedynczych rolników. Wpływ ich wzrasta corocznie i nawet początkowo nieżyczliwie usposobieni rolnicy przekonywują się o ich użyteczności i potrzebie.

Sprawy rolnicze w Austrii dopiero od 30 lat, ze zmianą poglądów w rządzie i radzie państwa, znalazły gorętsze poparcie w organizacyach autonomicznych. W Galicyi sejm krajowy, w pierwszych latach swego istnienia, mało zajmował się admini-

stracą rolniczą. Dopiero po 15 latach w r. 1876 uchwalono pierwszą ustawę rolniczą o ochronie własności polowej, a w r. 1878 kraj przejął na siebie utrzymanie szkoły rolniczej w Dublanach i w Czernichowie. W r. 1881 przyznano pierwsze subwencje dwóm Towarzystwom rolniczym: krakowskiemu i lwowskiemu. Od r. 1889 sejm zaczął traktować sprawy rolnicze ściślej i dokładniej, wnikając w potrzeby rolnictwa. Przytem sejm utworzył „stałą komisję krajową do spraw rolniczych,“ jako fachowy organ doradczy wydziału krajowego we wszelkich czynnościach, mających na celu ochronę, tudzież prawidłowy rozwój wszelkich gałęzi gospodarstwa wiejskiego i przemysłu rolnego, zwłaszcza zaś podnoszenie i szerzenie wiedzy rolniczej. Na dalszą działalność sejmu wpłynęła konferencya agrarna z r. 1897. Przeważny ciężar i obowiązek zajęcia się sprawami rolniczemi w Galicyi spada dotychczas na instytucję centralną, t. j. na departament 3-go wydziału krajowego. Mimo całej pracy w Centralnych Towarzystwach rolniczych, organach autonomicznych i korzystania z pomocy państwowej, z pożytkiem dla rolnictwa prowadzonych, działacze społeczno-rolni odczuwali i zaznaczali potrzebę wytworzenia zawodowej organizacyi, jako umiejętniejszej i skuteczniejszej w reprezentowaniu interesów rolnictwa. W r. 1878 krakowskie towarzystwo rolnicze uchwała projekt ustawy izby rolniczej, następnie przez sejm odrzucony. W r. 1879 kongres rolniczy w Wiedniu oświadczył się za tymże projektem. Należy też oczekiwać niezadługo wprowadzenia w Galicyi zawodowych organizacyj, które na ożywienie życia rolniczego i poprawę bytu warstw rolniczych stanowczo wpłynąć i oddziaływać winny.

Autonomia gospodarcza w Rosyi oparta jest na ustawie o samorządzie ziemskim z r. 1864 i ustawie miejskiej z r. 1870, które uległy zmianom w kierunku większej ingerencyi władz państwowych kontrolujących, wyrażonej w ustawie z r. 1890. Zdawało się, że organizacye ziemskie w Rosyi wyzyskują należycie swą kompetencyę na korzyść rolnictwa. W rzeczywistości jednak przez 30 lat wszystkie inne sfery pracy społecznej rozwinęły się w gospodarce ziemskiej szerzej, ze szkodą dbałości o potrzeby rolnictwa. Jednostronny kierunek pracy w ziemstwach zwrócony ku zaspokojeniu potrzeb pedagogiczno-dydaktycznych i humanitarnych z pominięciem zadań dążących do zwiększenia produktywności kraju, trwałby prawdopodobnie stale, gdyby następstwa głodowe w r. 1891—92 nie zwróciły uwagi na wadliwość rozwoju i nie wywarły wpływu na zwrot w kierunku gospodarki ziemskiej. Szybszy rozwój zajęcia sprawami rolniczemi w ziemstwach zata-

mowała t. zw. fiksacya poborów i budżetów ziemskich, na zasadzie której budżet może być zwiększony tylko o 3% rocznie. Przyczyn słabego rozwoju starań ziemskich o potrzeby rolnictwa szukać należy w złej organizacji tej sprawy, w gospodarce ziemskiej. Pozostawiona uznaniu niższych ogniw organizacji, nie posiada władzy kierowniczej, o ile zaś ujmowały ją w swe ręce organizacje gubernialne, nie rozporządzały dobrymi drogami wykonawczemi. Dopiero później ziemstwa gubernialne z doradczeni ciałami rolniczemi zajmują stanowisko kierownicze, ujednostajniają dążenia i program pracy w powiatowych ziemstwach, nadają jej jednolitość i ciągłość, zaopatrują w środki. Nie brakuje również usiłowań ku zespoleniu pracy rolniczej wszystkich ziemstw. Podejmowane jednak starania nie wyszły ze sfery informacyjno-doradczej. W r. 1891 zwołany został specjalny zjazd w Moskwie działaczy pomocy agronomicznej, który skupił najprzedniejsze siły z pośród działaczy ziemskich na polu rolnictwa. W obecnym momencie organizacya rolnicza ziemstw wychodzi już z fazy prób przygotowawczych i przybiera bardziej skonsolidowane kształty. W ostatnich czasach powstają organizacje centralne dla zakupu przedmiotów rolniczych dla kilku gubernij. Składy wogóle idą dobrze i opłacają się. Dostarczając narzędzi tańszych i wypróbowanych, popierają przedewszystkiem wyroby miejscowe.

Zwracając się do potrzeb rolniczych w Królestwie Polskiem, autor zaznaczył, że w naszym kraju wymaganem jest połączenie niższych organizacyj ziemskich w jedno ciało centralne. Powiaty są u nas nie tak wielkie, a jest ich tak znaczna liczba, że organizacya w każdym z nich zarządu i rady powiatowej ziemskiej, pociągnęłaby znaczne wydatki na administracyę, które z większym pożytkiem na cele produkcyjne skierować można. Następnie wydatki na podniesienie rolnictwa łożone, muszą nosić podwójny charakter. Jedne, przeznaczone na instytucye dobra publicznego, a więc wychowanie zawodowe, stacye doświadczalne, pomoc społeczno-rolniczą, muszą być pokrywane z corocznych budżetów, jako wydatek społeczny. Po za tem jednak istnieje obszerniejszy dział tych potrzeb, które jako wyraz żądań jednostek lub aspiracyj, wymagają pomocy materialnej dla zwiększenia produktywności i intensywności pracy. Nieracjonalnem byłoby pokrywać je, jako mające charakter osobisty ze środków ogólnych. Jest jednak słuszną przyczyną żądania, aby kraj okazywał pomoc jednostkom i kooperacyom w niesieniu rady fachowej i korzystaniu ze środków materialnych dla lepszego wyzyskania warunków gospodarczych. Dla tego też niezbędnem jest, aby w kraju przy kie-

rolniczym organie samorządu ziemskiego funkcjonował bank dla rolnictwa i przemysłu rolnego. Fundusz zakładowy banku rolniczego ziemskiego powinien powstać z jednorazowych ofiar i corocznych procentowych odliczeń z budżetów ziemskich. Po za tem w banku powinny być lokowane wszelkie kapitały rezerwowe ze specjalnych przedsięwzięć przez samorząd ziemski zorganizowanych, a więc z wzajemnych ubezpieczeń od ognia i gradu, kas wparé i t. d.

Prócz tego autor wykazuje, jak szerokie pole przedstawia się u nas dla działalności samorządu ziemskiego. W każdej sferze interesów rolniczych inicjatywa fachowa i pomoc organów samorządu może wywołać zmiany na lepsze. W każdym razie żywotność, jakiej objawy ludność rolnicza u nas składa, wskazuje, iż nie tyle inicjatywy, ile pomocy fachowej i materialnej udzielać nam potrzeba będzie. Przy racjonalnej obsłudze ta droga działania podniesie produktywność naszych warstw rolniczych i na podniesienie ich dobrobytu wpłynie. Nadmienić należy, że istnienie organizacji zawodowych przymusowych, które wszystkie sfery rolnicze obejmują i podejmują pracę dla dobra ogółu rolniczego, nie wpływa na osłabienie działalności ciał kooperacyjnych, lecz je wzmacnia i do bicia w nich żywszego tętna pobudza. W teorii więc i w praktyce organizacja rolnicza w samorządzie gospodarskim i stowarzyszenia wzajemnie się uzupełniają i wzmacniają, nie wytwarzając sprzeczności i nie paraliżując się. Kooperacye podnosić powinny i uzasadniać potrzebę zajęcia się nowymi sprawami, dostarczać do nich materiału. Organizacja samorządna zaś oblecze je w realne kształty, a projektom nada żywotne formy. O ile w normalnych warunkach, ożywione chęcią wspólnego dobra gospodarka ziemska i kooperacya mogą być uważane jako serce w organizmie i naczynia roznoszące krew ożywczą po całym ciele, o tyle w razie wypowiedzania sobie posłuszeństwa, tylko zaniedbanie interesów rolniczych spowodzić są zdolne, wzajemnie paraliżować się będą i zamiast pożytku rolnictwo na straty narażą. Zdaniem autora, to uregulowanie stosunków wzajemnych jest trudnem zadaniem, ale wykonalnem, a do tego w społeczeństwie naszym miłości kraju i dobra ogólnego nie brakuje. Spodziewać się więc należy, że pewnem i śmiałym okiem w przyszłość oczekiwanych urządzeń ziemskich patrzeć możemy, a one, o ile ich organizacya na znajomości naszych warunków oparta będzie, oczekiwań naszych zawieść nie powinny.

W odczycie swym autor opracował przedmiot badany gruntownie i zastanowił się szczegółowo nad tem, w jakiej formie

i w jakim zakresie powinien on znaleźć zastosowanie w Królestwie Polskiem. Nietylko wykształcenie teoretyczne, ale i zmysł praktyczny widnieje z każdej stronicy jego rozprawy sprawie rolnictwa w organizacyi samorządu poświęconej. Ze względu też na szczególny interes, jaki sprawa powyższa dla ziemiaństwa przedstawia, rozprawa p. St. Chełchowskiego oddaje społeczeństwu naszemu rzetelną usługę.

A. R.

Kronika miesięczna.

Pierwszy rok konstytucyi. — Legalizacya sekty maryawitów. — Nasz ruch kulturalny: Towarzystwo wyższych kursów naukowych i Uniwersytet ludowy Polskiej Macierzy Szkolnej.

Dnia 30 października minął rok od chwili, kiedy pamiętny Manifest Cesarski zwiastował ludom, podległym berłu rosyjskiemu, początek nowej ery.

Słowa, które padły z wysokości Tronu, brzmiały poważnie, niosąc z sobą zapowiedź gruntowych réform w dziedzinie rządów biurokratycznych. *Poddani* uzyskiwali *prawa obywatelskie*, oparte na zasadach rzeczywistej nietykalności osób, wolności sumienia, słowa, zebrań i stowarzyszeń. Samowola administracyi ustępowała miejsca stosunkom praworządnym, zbliżonym do tych, jakie panują oddawna w Europie Zachodniej, Manifest Najwyższy ustalał bowiem zasadę, na której mocy „żadne prawo nie może uzyskać siły obowiązującej, bez zatwierdzenia go przez Dumę państwową,“ wobec czego wybrańcy narodu otrzymywali możność rzeczywistej kontroli nad prawnością postępowania władz rządowych.

Te prawa zasadnicze, stanowiące rdzeń wszelkich konstytucyj, powitane zostały wybuchem ogromnej radości na całym obszarze państwa, pogrążonego dotąd w mroku niewoli. Radość to była jednak krótkotrwała. Światło nie przyszło odrazu. Mrok nie ustąpił na jedno skinienie różdżki czarodziejkiej. Rozpoczęło się powolne i krwawe zmaganie się z sobą dwóch potęg—ustępującego porządku starego z porządkiem, opartym na nowych zasadach. Walący się ustrój biurokratyczny wytworzył w łonie rządu chaos i bezład, podobnie, jak ruch wolnościowy, skierowany przez agi-tację socyalistyczną na bezdroża, przybrał charakter ruchu nihilistycznego, tak swoistego kulturze rosyjskiej. Wybuchnęły jedno-

czesnie dwie anarchie—u góry, w sferach rządowych i na dole—wśród proletaryatu. Zapełniły się więzienia, zakrzypiały szubienice, wolność utonęła w potokach krwi, zamiast rządów konstytucyjnych, rozpoczęły się rządy wojskowe, zbliżone do dyktatury militarnej. Państwo zachwiało się w swoich posiadach, a społeczeństwo znalazło się w kleszczach, zaciskających się coraz silniej i tamujących swobodny oddech.

Taki stan rzeczy trwał przez cały rok ubiegły. Nie zmieniła go nawet Duma państwowa po 72 dniach istnienia, zakończonego słynną deklaracją wyborską.

W kraju naszym, który siłą rzeczy musiał przeżywać wspólnie z Rosją wszystkie jej wstrząśnienia, rok ten odbił się bardzo niepomyślnie na całokształcie życia. Pograżył on nas również w odnęt anarchii, sprowadził na nas szereg klęsk, osłabił nas materialnie i pod niejednym względem wypaczył naszą myśl polityczną, uzależniając ją od ruchu rosyjskiego, który nie mógł i nie chciał liczyć się z odrębnością kulturalną Polski, mającej inne tradycje wolnościowe i dążenia odmienne. Nadto wszelkie represye, stosowane w Rosyi, u nas stosowane były w formach daleko ostrzejszych i dla społeczeństwa uciążliwszych, bo więcej paraliżujących jego swobodę działania.

O tem wszystkim niejednokrotnie mieliśmy sposobność pisać na tem miejscu, omawiając wybitniejsze zdarzenia pierwszego roku „konstytucyjnego.“ Nie będziemy więc powtarzali rzeczy znanych, zwłaszcza, że bilans naszych klęsk i niedoborów jest aż nadto widoczny, aby nie rysował się w umyśle każdego obywatela, miłującego istotnie ojczyznę i szczerze pragnącego dla niej odrodzenia.

Zastanović się raczej należy nad tem, czy i gdzie są nadzieje, pozwalające nam z otuchą patrzeć w przyszłość, zakrytą obecnie krwawemi oparami roku nieszczęść i niedoli.

Przedewszystkiem—rękojmią tych nadziei jest sam Manifest październikowy, który, mimo wszystko, istnieć nie przestał. Na jego mocy odwróciła się karta dziejów państwa i niema słusznych zasad do mniemania, że prawa, przez ten Manifest zapowiedziane, zostaną cofnięte. Nie weszły one w życie, nie sprowadziły błogich następstw, nie unormowały stosunków, jak tego po nich oczekiwano, ale w sile swej trwają, mimo obecnego zawieszenia wszelkich, wpływających z nich swobód.

To, co się stało, zaszło nie jako przypadek, ale dokonało się na podstawie konieczności dziejowej, która z nieubłaganą siłą dąży naprzód, ściera z oblicza ziemi kształty przeżyte i na ich miejsce wznosi budowle nowe.

Ustrój państwowy rosyjski przeżył się. Obaliła go nie wojna japońska, nie agitacya, prowadzona przez fanatyków tej lub innej partyi, nawet nie torsya rewolucyjna narodu, zrywającego się do nowego życia. Zgryzło go i przetrawiło samo życie, które jest potęgą, stojącą ponad wszystkim. Ono szuka dla siebie form właściwych i te formy znaleźć musi. Weiśnięte w ramy sztuczne i nieodpowiadające jego sile ekspansywnej — ramy te rozsada i raz rozsadziwszy, nie powraca do nich, nie cofa się z drogi, na którą weszło.

Pomimo więc chwilowego tryumfu reakcyi, pomimo krwawego jej pochodu i żelaznych rękawic, któremi stara się zdusić nowe, kiełkujące życie—zwycięstwo nie będzie po jej stronie.

Ostry paroksyzm minie i wówczas wyłoni się potrzeba zagwarantowania wszystkim ludom państwa tego, co gwarantował im Manifest Najwyższy.

Zresztą, jakkolwiek uprawnieni jesteśmy całkowicie do tego, aby pesymistycznie patrzeć na stosunki, panujące obecnie, to jednak zaprzeczyć się nie da, że nawet te okrucy wolności, jakie padły już na nasz grunt, wydały pewne owoce

Konstytucyi niema. Samowola biurokracyi istnieje po dawnemu, nietykalność osób i mieszkania jest fikcją, a przecież stosunki obecne ani dadzą się porównać z tem, co było przed 30 października roku ubiegłego.

Przedewszystkiem — wolność sumienia pozostała zdobyczą o tyle trwałą, że praca elementów reakcyjnych, zmierzających do jej ograniczenia i występujących np. u nas w lubelskiem i w siedleckiem pod sztandarem „uciskanego prawosławia,“ nie może liczyć na powodzenie. Tysiące unitów, sprawosławionych ukazami dawniejszymi, wróciło na łono kościoła katolickiego i faktu tego nie już nie cofnie. Dziesiątki i setki tysięcy ludzi odetchnęły swobodniej i uzyskały prawo wyznawania tej religii, jaką dyktuje im przekonanie wewnętrzne. Świeża legalizacya sekty maryawitów, acz z innych względów dla nas wprost niekorzystna, jest jednak dowodem, że ukaz o tolerancyi, mimo wszystko, wszedł w życie istotnie.

Drugą zdobyczą, z jakiej, bądź co bądź, w pewnej przynajmniej mierze korzystamy, jest ta względna swoboda prasy, jaką przyniosło z sobą zniesienie cenzury prewencyyjnej i skierowanie przestępstw prasowych do sądów, bezwarunkowo o wiele względniejszych i rozumniejszych od ołówka przeciętnego urzędnika, sprawującego do niedawna obowiązek uwłaczający kontrolera my-

śli i uczyć publicystów, służących swemu narodowi, zgodnie z powołaniem i przekonaniem o tej a nie innej prawdzie.

Dziś, nawet pod grozą stanu wojennego, obejmującego prawie całe państwo, prasa rosyjska przemawia tak, jak nie przemawiała przedtem, a i prasa polska, aczkolwiek w gorszym jest położeniu, niema już ust zakneblowanych tak mocno, jak to miała do niedawna. Chociaż więc nowe przepisy pozostawiają jeszcze wiele do życzenia i bynajmniej nie gwarantują nam istotnej wolności słowa, to jednak nie ulega wątpliwości, że wolność ta jest przed nami i że myśl publicystyczna nie wróci już do dawnego jarzma.

Równie głębokiej uległy zmianie stosunki, panujące w dziedzinie *niewoli* stowarzyszenia się i urządzania jakichkolwiek zebrań. Nie otrzymaliśmy jeszcze wprowadzić w tym kierunku tej swobody, jaka wypływa z Manifestu, ale—jeżeli dawniej nie wolno nam było urządzić żadnego zebrania, a zawiązanie najzwyczajszego klubu towarzyskiego lub sportowego napotykało przeszkody nie do przewyciężenia, to obecnie—wyłom został już uczyniony i przynajmniej stowarzyszenia, mające na celu sprawy kulturalne, mogą powstawać i rozpoczynać swoją działalność.

Rok ubiegły przyniósł nam cały szereg takich stowarzyszeń, które są niewątpliwą zdobyczą naszego życia, że wymienimy *Macierz szkolną*, *Towarzystwo opieki nad zabytkami sztuki i kultury polskiej*, *Towarzystwo miłośników historii*, *Towarzystwo biblioteki publicznej*, *Towarzystwo opieki nad dziećmi*, *Towarzystwo wyższych kursów naukowych* i t. d.

Wszystkie te instytucje nawet pod brzemieniem stanu wojennego istnieją i dają ujście energii społecznej, rwącej się do czynu.

Na podstawie Manifestu październikowego dokonało się też u nas zorganizowanie partyj i stronnictw, a życie polityczne, którego nurty dawniej płynęły pod ziemią i trudne były do ujęcia dla tych, co stali poza obrębem konspiracji, poniekąd ujawniło się i przybrało formy, dostępne dla obserwacji przedmiotowej.

Wybory, przez które już raz przeszliśmy na wiosnę, a przez które niebawem przejdziemy ponownie, dały nam obraz wzajemnego ustosunkowania się naszych stronnictw, zaznajomiły z ich siłą i z ich słabością, pozwoliły zorientować się w kierunku tej linii, po której pójdzie rozwój polityczny i społeczny narodu, sprowadzonego przed laty 75-ciu, to znaczy od chwili rozwiązania ostatniego Sejmu Królestwa Kongresowego, z drogi normalnego życia.

Przez ten rok chaosu i anarchii, nauczyliśmy się wiele, poznaliśmy wiele braków, wiele błędów i ran, otwartych na naszym organizmie zbiorowym. Zobaczyliśmy przede wszystkim, że niewola i transfuzya minowiedna kultury obcej, idącej ze wschodu, nie przeszły bez śladu, że zamąciły one w wielu umysłach sąd trzeźwy, dotyczący spraw na wskroś polskich, że uczyniły z nas społeczeństwo rozbite i zatamizowane, pozbawione poczucia wspólności interesów i wydające najdroższe sobie rzeczy na łup bezmyślnego barbarzyństwa.

Wszystko to są korzyści niewątpliwe, te korzyści, jakie przyniósł nam z sobą pierwszy, stłumiony przez reakcyę, powiew nowego życia.

Byłoby więc niesprawiedliwością wielką, gdybyśmy nie zwrócili na to uwagi i zastanawiając się jedynie nad klęskami, jakie sprowadził na kraj nasz i naród ciężki poród ery konstytucyjnej w Rosyi, przeoczyli całkowicie te drgnienia dodatnie, jakie zanotował samopiszący barometr życia, przeciwstawiającego się obur przemocom—biurokratycznej i proletaryacko-nihilistycznej, obu terrorom—białemu i czerwonemu.

Nie wynika jednak z tego, abyśmy godzili się z łatwością na taki stan rzeczy i nie pochylali raczej ze smutkiem głowy nad nieszczęściami, których widownią była i jest Polska od dn. 30 października roku ubiegłego aż po dzień dzisiejszy. Przeciwnie. Wobec jednak pesymizmu, jaki ogarnął i ogarnia coraz szersze koła, wobec upadku nadziei w pewnych kołach, uważaliśmy za konieczne oświetlić drugą stronę kwestyi i wskazać na to, co do nadziei uprawnia.

Dzieje uczą nas, że wielkie reformy polityczne i społeczne nie dokonywały się nigdy odrazu, że zawsze towarzyszyły im wstrząśnienia nieprzewidziane i nie dające się obliczyć z góry, że równocześnie z wolnością występowała na scenę reakcyja—jej tłumicielka, ale że zawsze zwyciężyło to, co więcej odpowiadało życiu, co było samorzutniejszym jego wytworem.

Cywilizacya zna jeden tylko ruch — ruch naprzód. Koła jej obracają się u jednych narodów szybko, u innych powoli, u jednych grzęzną w błocie, u innych we krwi, ale obracają się zawsze i nieustannie. Zwycięski pochód postępu z zachodu ku wschodowi nie ulega wątpliwości. Państwo rosyjskie, które przez wieki sztucznie hodowało u siebie zabytki wschodniego bizantynizmu, znalazło się w przededniu zmian radykalnych w swoim ustroju wewnętrznym i — zmiany te dokonać się muszą. Rosya będzie, bo musi być państwem cywilizowanym w rozumieniu współcze-

niem. Tego wymaga od niej życie i czas. A w takim razie i nasz stosunek do tego kolosu mocarstwowego z dawnego, opar- tego na zaborze i przemocy, przekształcić się może w zgoła inny. Nie nastąpiło to z wczoraj na dziś, nie nastąpi z dziś na jutro, ale *nastąpić może*.

Dla tego też w rocznicę Manifestu konstytucyjnego, acz nie wprowadzonego w życie, nie wahany się wyrazić słów nadziei.

To, co się dokonało już w idei, dokonać się musi i w życiu. Wolność obywatelska zbliża się do nas i niesie nam z sobą zapowiedź istotnego odrodzenia. Wytrwajmy więc na placówkach i śmiało spoglądajmy przed siebie.

*

*

*

Wspomnieliśmy powyżej o legalizacji sekty maryawitów. Przez taką legalizację należy rozumieć przyznanie maryawityzmo- wi praw, jakie państwo przyznaje religiom wogóle, a więc prawa tworzenia gmin kościelnych, prawa swobodnego wyznawania swej nauki, sprawowania kultu według przyjętych zwyczajów, zakładania domów modlitwy, odprawiania w nich nabożeństw, wyboru i utrzymywania osób duchownych i t. d.

Rozpatrzywszy się w tem wszystkim bliżej, dojdziemy ła- two do wniosku, że mamy tu do czynienia z faktem dla naszego życia doniosłym.

Prasa polska dotychczas faktu tego nie podkreśliła należycie. Przeciwnie. O ile w początkach ruchu maryawickiego podniosła wielką wrzawę i nie szczędziła zapału w kierunku zdarcia osłon z tajemnic maryawityzmu, o tyle w następstwie, kiedy te osłony już opadły, zapomniała niemal całkowicie o tym fermentie religij- nym, jaki w społeczeństwie naszym rozpoczął się w ostatnich ła- tach. Tymczasem ferment ten bynajmniej nie osłabł. Z chwilą zaś legalizacji nabierze on niewątpliwie nowych sił i wypowie się w nowych starciach sekciarzy z prawowiernymi.

Przeciw samej legalizacji nic mieć nie można. Powierzcho- wnie przynajmniej, nie sięgając do pobudek politycznych, jakimi mógł się kierować Petersburg w załatwieniu tej sprawy, jest ona faktem dodatnim. Ale—rzecz to wiadoma, że nawet i fakty do-

datnie—mają swoje strony odwrotne. Na tę więc stronę odwrotną „ulegalizowanego maryawityzmu“ chcemy tu zwrócić uwagę.

Już samo powstanie maryawityzmu było dowodem, że organizacja kościoła rzymsko-katolickiego w Polsce nie jest organizacją wolną od wewnętrznego fermentu. Jak i kiedy ferment ten zdołał do niej przeniknąć—tego na razie nie poruszamy, gdyż sumienne rozważenie tej sprawy wymagałoby bardzo gruntownego i obszernego studyum. Dość, że maryawityzm powstał i rozwinął się, jako objaw tego fermentu.

Nie jest to sekta, wytworzona samorzutnie przez jakieś aspiracje tajemne i głębokie, nurtujące duszę religijnego wieśniaka polskiego, który, jak tego uczy doświadczenie długich wieków, nawet w stosunku swym do Boga był zawsze realistycznie usposobionym i szczególnych skłonności do mistycyzmu nie objawiał. Nie. Maryawityzm, jak o tem pisaliśmy niegdyś, wyłonił się z mrzonki sfanatyzowanego kapucyna, przekształcił się następnie w umyśle zhysteryzowanej dewotki w jakiś dziwoląg religijny i przez sprytnych, a odrywających się od kościoła prawowiernego księży, został wyzyskany dla celów, do niedawna im tylko jednym wiadomych. Oni to — ci księża — zamyślający dziś wcale niedwuznacznie o budowaniu nowego kościoła, niezależnego od Rzymu, stworzyli właściwą sektę i pociągnęli ku niej ciemny, nie zdający sobie sprawy z kierunku drogi, na którą go wprowadzają, lud wiejski i małomiejski. Kapłani-maryawici wiedzieli dobrze, że ten lud da im dopiero *siłę*, że da on im ten substrat, na którym będą się mogli oprzeć i wówczas dopiero wystąpią do jawnej walki z władzą swoją.

Wszystko to stało się. Siew wydał owoce. Kraj był widownią doraźnego wybuchu fanatyzmu, o napięciu bardzo wysokiem. Leszno, Stryków, Sobótka, Błonie zapisały się w dziejach ostatniego roku, jak zapisali się i moralni sprawcy i prowodyrowie tego ruchu religijnego, noszący obecnie „riasy“ z szerokimi rękawami, *ojcowie* Cyryl i Metody.

Obecnie mamy do czynienia z faktem już dokonany. Mocna i spoista budowa kościoła rzymsko-katolickiego u nas została rozsadzona. Pierwszy klin został wbity. Obok tego kościoła powstaje sekta, oddzielająca się od niego, szukająca własnych dla siebie dróg.

Dotąd była ona tylko dyskredytowana. Z ambon padały słowa o odszczepieństwie, katolicy prawowierni czuli, że sekta jest nowotworem nielegalnym. Dziś warunki się zmieniają. Stosunek ludu do sekty łatwo też może uleść zmianie, zwłaszcza, że ma-

ryawici znaleźli sobie najlepszą drogę do *realnej* duszy chłopskiej— w postaci pozornej *bezinteresowności*. Wieśniak, który jest ubogi i niechętnie wydaje grosz nawet na Mszę św., będzie odtąd widział w maryawityzmie kościół, dający swoim wyznawcom opiekę duchową i zaspakajający ich potrzeby religijne *za darmo* i nie spostrzeże się, że *opłata* zostanie od niego ściągnięta w inny sposób, pod postacią dobrowolnych ofiar i składek na cele kultu.

Chwila dzisiejsza jest chwilą ze wszech miar ciekawą i—niebezpieczną. Powiew rewolucyi przeszedł przez cały kraj i niema dziś okolicy, w której nie pozostawiły po sobie takich lub innych śladów. Wiele sił, drzemiących dotąd w duszy ludu, obudziło się. Wśród tych sił są dodatnie i są ujemne.

Zyjemy w epoce, kiedy ruchy masowe dadzą się rozbudzić łatwo, bo psychika zbiorowa skłonna jest do przyjęcia i poddania się hasłom wszelkiego fermentu. Takich nastrojów zbiorowości ludzkiej nie można mieć na zawołanie. Trzeba na nie wieki nieraz czekać.

Otóż niewątpliwą jest rzeczą, że twórcy maryawityzmu i jego przewodnicy obecni zdają sobie z tego sprawę. Mając ręce rozwiązane, mając za sobą sankcyę prawa, a więc i przyznaną racyę istnienia, będą się starali rozpuścić zagony po całym kraju i jednać owce dla nowego kościoła z gorliwością jeszcze większą, niż jednali dotąd.

Zbyt dalecy jesteśmy w tej chwili od przypuszczenia, że duchowieństwo nasze naporu tej fali nie potrafi odeprzeć. Zastanawiając się jednak nad możliwością ruchu religijnego na szerszą skalę, nie możemy taić, że ze stanowiska narodowego byłby on dla nas obecnie ruchem niepożądanym, ruchem wprost bardzo szkodliwym.

Przypuszczalnie J. E. ks. Arcybiskup Metropolita warszawski wyda w tym względzie podwładnemu sobie klerowi odpowiednią instrukcyę—dla tego nie uważamy siebie za powołanych do wypowiadania tu wskazówek i pouczeń. Zaznaczamy tylko fakt, który, zdaniem naszym, zarysował się poważnie na horyzoncie chwili obecnej.

*

*

*

Do najświeższych naszych zdobyczy kulturalnych należą dwie instytucje ogromnego znaczenia dla rozwoju oświaty w kraju. Jedną z nich jest Towarzystwo wyższych kursów naukowych, drugą - Uniwersytet ludowy, powołany do istnienia, jako specjalne Koło Polskiej Macierzy Szkolnej.

O wyższych kursach naukowych już pisaliśmy na tem miejscu w chwili, kiedy ta myśl zaczęła przybierać kształty rzeczywiste. Zaznaczyliśmy wówczas, że wobec zamknięcia uniwersytetu warszawskiego, stworzenie tego wolnego ogniska nauki narzuca się w danej chwili, jako konieczność, społeczeństwu, posiadającemu dość sił żywotnych na to, aby się nie pozwolić zepchnąć z dróg rozwoju. Dziś więc możemy tylko zaznaczyć, że ówczesne nadzieje i przewidywania nasze były słuszne. Dzięki ludziom dobrej woli instytucja zorganizowała się szybko, dobrze i oto w miesiącu ubiegłym rozpoczęła już swoją działalność.

Po raz pierwszy od wielu lat na katedrach zabrzmiał język wykładowy polski, język ze wszech miar powołany do tego, aby mógł służyć nauce i prawdzie, której ta nauka poszukuje. Po raz pierwszy od lat wielu przed słuchaczami Polakami stanęli profesorowie Polacy, aby nieść im światło, wolne od jakiegokolwiek zabarwień narzuconych.

Zgrzyty, tak często odzywające się w uniwersytecie „urzędowym,” rosyjskim, który wśród grona swoich „sił naukowych“ posiadał takich „bojowników idei,” jak profesorowie Amalickij, Filewicz i Kułakowski, do dziś dnia występujący jeszcze pod przyłbicami i bez przyłbic w obronie idei rusefikacyjnej, która nietylko w społeczeństwie rosyjskim, ale nawet w samem ministerjum oświaty zaczyna już tracić grunt pod nogami—zgrzyty te umilkły.

W pięknym pałacu Kazimierowskim, gdzie od czasu przemianowania Szkoły Głównej na uniwersytet, warsztaty pracy naukowej zamienione zostały na kuźnię polityczną, gdzie przez ciąg trzydziestu kilku lat nietylko dla nauki polskiej, ale dla nauki wogóle nie uczyniono nic, gdzie panowała atmosfera, jakiej nie zna żadna uczelnia wyższa w Europie—zaległa teraz cisza.

Na dziedzińcu porasta trawa. Młodzież, która opuściła te mury, rozsypała się po świecie i w trudnych warunkach walczy o swoją przyszłość, wyczekując rozwiązania palącej kwestyi od przyszłej Dumy.

Nie wszyscy jednak mogli wyjechać i nie wszyscy mogą czekać. Dla tych właśnie Towarzystwo kursów naukowych otworzyło podwoje swoich sal wykładowych. I zaroilo się w tych salach

od młodzieży płci obojej. Szczególnie młodzież żeńska, oddawna żadna światła, a niedopuszczana dotąd do uniwersytetu, napłynęła obficie na wykłady z zakresu wszystkich niemal nauk.

Gorliwość i zapał są tak wielkie, że, jak twierdzą niektórzy, zachodzi nawet obawa, czy studia, rozpoczynane tak gorączkowo, nie będą na razie chaotyczne. Długo bowiem tamowany przystęp do wiedzy wytworzył głód, nie liczący się z siłami. Apetyty słuchaczek są tak wielkie, że pragnęłyby one odrazu posiadać wszystko i wskutek tego zapisują się jednocześnie na wykłady, nie mające z sobą nic wspólnego. Ekonomia polityczna, historia, literatura obok biologii, chemii, antropologii—to naraz zawiele.

Przy dzisiejszej specjalizacji nauk, przy rozległości każdej dziedziny poszczególnej, w studiach konieczna jest pewna planowość, pewien z góry zakreślony porządek, pewne stopniowanie w przechodzeniu od rzeczy jednych do drugich.

W uniwersytetach nad metodą i porządkiem studiów czuwają z jednej strony programy poszczególnych wydziałów, z drugiej — sami profesorowie, którzy, z dziekanem wydziału na czele, nie szczędzą uczniom początkującym rad i wskazówek. W programach wymieniane są przedmioty *główne*, obowiązujące każdego i przedmioty drugorzędne, nadobowiązkowe. Nadto są tam t. zw. *collegia publica*, mające charakter ogólniejszy i dostępne dla wszystkich. Profesorowie zaś poza obrębem wykładów pracują jeszcze razem z uczniami w t. zw. *seminaryach* i tam zaprawiają chętniejszych do samodzielnej, metodycznej pracy w zakresie danej specjalności. W ten sposób praca ma swoje określone łożysko, swój prąd zasadniczy.

Naturalnie, takiej organizacji nie można wymagać od stawiającego pierwsze dopiero kroki Towarzystwa kursów naukowych. I tam jednak powinna być odrazu zwrócona uwaga na to, aby zapał i ochota słuchaczy nie szły na marne, to znaczy, aby studia, nieumiejętnie pokierowane, nie zniechęcały do samej nauki, aby przeciążenie i rozpierzchnięcie się na strony, nie sprowadzały z drogi właściwej.

Poruszamy tę sprawę, bo poruszano ją już w naszych dziennikach. Czynimy to jednak przez życzliwość dla kursów i przez pragnienie, aby pożytek, jaki osiągnie z nich ucząca się młodzież, był jaknajwiększy. Trzymając się zaś zasady, że każde studia naukowe muszą być *celowe*, że nie idzie w nich o chwytywanie luźnych wiadomości z rozmaitych dziedzin, ale o przygotowanie umysłu do pracy samodzielnej, badawczej i konstrukcyjnej w jednej dziedzinie obranej—nie możemy patrzeć obojętnie na zazna-

czający się pośród słuchaczyw prąd dyletantyzmu naukowego, z którym społeczeństwo nasze powinno i musi zerwać jaknajrychlej.

Nie wątpimy też, że zarząd Kursów, stojąc na tem samym stanowisku dołoży starań, aby zapewnić słuchaczom, a zwłaszcza słuchaczkom, nie tylko wolną naukę, ale także i pewien niezbędny *kierunek*, bez którego ta nauka zamiast płynąć nurtem, pogłębiającym się nieustannie, łatwo może się stać szeroko a płytko rozlaną wodą. Wiadomo tymczasem, że wszelkie cenniejsze perły i rzadsze muszle kryją się w głębinach.

Tyle o kursach naukowych.

Przechodzimy teraz do drugiej instytucji, przeznaczonej dla warstw szerokich, upośledzonych dotąd, odgradzonych od świata zdobyczy naukowych murem niedostatecznego przygotowania.

Chcemy mówić o pierwszym w naszej dzielnicy Uniwersytecie ludowym, założonym przez Polską Macierz Szkolną.

Historya uniwersytetów ludowych (University extension) dobrze jest znana. W Szwecyi, Norwegii, Danii, w Anglii, we Francyi, w Niemczech, wszędzie mają już one swoje dzieje. Nawet w Galicyi założony w r. 1898 Uniwersytet ludowy im. Mickiewicza, aczkolwiek zszedł na manowce, dzięki zagospodarowaniu się w nim żywiołów socjalistycznych, czyniących z nauki narzędzie agitacji politycznej, a z sali wykładowej — arenę popisów krasomówczych dla wysłanników partyjnych — nawet ten uniwersytet, powtarzamy, nie jest bez zasługi dla sprawy rozwoju kulturalnego warstw robotniczych i ludowych.

U nas tylko dotychczasowe warunki nie pozwalały nawet marzyć o takiej instytucji, mimo, że Warszawa oddawna była już ogniskiem, w którym istnienie powszechnych wykładów uniwersyteckich narzucało się opinii społecznej, jako konieczność. I kto wie? Gdyby światło mogło być rozniecane wcześniej i łatwiej, gdyby ręce nasze nie były tak skrepowane, a warunki istnienia nie tak zabójcze—być może, czasy obecne nie byłyby dla nas czasami tak smutnymi. Robotnik światlejszy nie szedłby może tak łatwo na lep agitacji zgubnej dla niego samego i dla kraju, hasła anarchistyczne nie byłyby przez niego utożsamiane z hasłami rewolucyjnymi, a doba obecna nie zapisałaby się tak krwawo w życiu zbiorowem i w sumieniach jednostek poszczególnych.

Z tem większą jednak uwagą, dziś, kiedy powstał u nas pierwszy Uniwersytet ludowy, zwracamy się ku niemu i pytamy, co nam przyniesie?

Firma Polskiej Macierzy Szkolnej naturalnie jest w tym względzie rękojmnią wystarczającą. Zapewnia ona mianowicie, że

Uniwersytet będzie tem, czem być powinien, to znaczy instytucją *ponadpartyjną*, niezależną od innych prądów politycznych chwili, poświęconą jedynie szeroko pojętym zadaniom oświatowym.

Jak się z tych zadań instytucya wywiąże — o tem będziemy sądzili w przyszłości, na razie dzielimy się z czytelnikami tem, że praca została już rozpoczęta, że Uniwersytet ludowy już działa.

Wykłady rozpoczęte w nim zostały dn. 15 października, są więc obecnie w pełnym biegu.

Z liczby zapisanych około 1,800 osób stawiło się na urządzane przez Sekcyę egzaminacyjną w różnych punktach miasta egzaminy i zostało zakwalifikowanych do odpowiednich kompletów 1495 osób, jak na początek—liczba dość znaczna.

Ogółem utworzono 102 komplety, a z tego: 42 komplety języka polskiego i literatury, 33 arytmetyki, algebry i geometryi, 10 historii Polski w połączeniu z powszechną, 5 geografii, 4 rysunków, 2 nauk społecznych (gospodarstwo społeczne i prawodawstwo), 2 przyrody (fizyka i chemia), 2 nauk technicznych (mechanika i elektrotechnika), 1 anatomii w połączeniu z fizyologią i higieną i 1 rachunkowości handlowej.

Ogólny kierunek pedagogiczny, polegający na opracowywaniu programów, dobieraniu prelegentów i kontroli pedagogicznej nad wykładami, spoczywa w rękach *sekcji pedagogicznej*, która rozpada się na podsekcye, stosownie do wykładanych przedmiotów.

Wykłady w kompletach odbywają się w dni powszednie, pomiędzy 7^{1/2} a 9^{1/2} wieczorem i w niedziele, pomiędzy 1 a 5^{1/2} po południu, w 27 lokalach, przeważnie szkolnych, bezinteresownie przez właścicieli szkół użyzonych.

Stroną administracyjną urządzania wykładów kieruje odpowiednia sekcyja, która powołała z grona członków koła opiekunów, czuwających nad oddzielnymi uczelniami, ci zaś mają do pomocy w każdym komplecie gospodarza, wybieranego z pośród słuchaczy.

Każdy słuchacz zaopatrzony został w matrykulę, dającą mu prawo wstępu na odpowiednie wykłady, na odczyty, przez Uniwersytet urządzane, oraz do czytelni i wypożyczalni książek, znajdujących się w lokalu biura Uniwersytetu ludowego.

Czytelnia i wypożyczalnia mają na celu ułatwianie słuchaczom korzystania z czasopism codziennych i tygodniowych, oraz utrwalenie wykładów za pomocą odpowiedniej lektury. Wypożyczalnia liczy obecnie przeszło 1000 dzieł różnej treści. Niewystarczająca to ilość, to też Sekcyja czytelniiana usilnie dążyć musi do

skompletowania posiadanej biblioteki, zarówno pod względem ilościowym, jak i jakościowym.

Jednocześnie, chcąc obok nauki zapewnić słuchaczom przyjemną i nauczającą rozrywkę, Koło urządza w ich gronie chóry, przedstawienia amatorskie, wspólne wycieczki, zwiedzanie muzeów i wystaw i w tym celu powołano nawet specjalną sekcję, wyłączenie temu poświęconą.

Oprócz wykładów, wygłaszane będą bezpłatne popularne odczyty na tematy ogólniejsze.

Wszystkie te prace, podjęte na dość szeroką skalę, pociągną za sobą wydatki znaczne.

I tak przewidywana suma na rok bieżący wynosi około 6,000 rb., czego ani opłata od słuchaczy, pobierana w stosunku 10 groszy za wykład, ani składki członków Koła, liczącego obecnie 150 osób, pokryć nie mogą. Potrzeba tu więc stałej i zorganizowanej pomocy społecznej.

Pomoc ta równolegle w trzech powinna iść kierunkach. Przede wszystkim Koło Uniwersytetu ludowego musi liczyć dziesiętko tyłu członków, ilu ich liczy obecnie, a wtedy przy niewielkiej nawet opłacie fundusze Koła wzrosną i umożliwią mu rozszerzenie swej działalności nie tylko na Warszawę, ale i na pobliskie miasta prowincjonalne, jak Grodzisk, Skierniewice, Łowicz, gdzie w dni świąteczne mogłyby się doskonale odbywać wykłady prelegentów, przybywających na kilka godzin z Warszawy.

Powtórnie w społeczeństwie powinien się przyjąć zwyczaj przekazywania Uniwersytetowi ludowemu drobnych chociaż legatów pieniężnych, czy to w postaci ofiar jednorazowych, czy w postaci zapisów testamentowych.

Pod tym względem u nas panuje pewne nieporozumienie. Utało się mianowicie, że opinia publiczna oczekuje takich zapisów zazwyczaj od ludzi bogatych, cała natomiast zamożna część narodu w opinii tej jest jakby wolna od tego rodzaju ofiar. Tymczasem w Czechach np. jest inaczej. Tam każdy poczuwa się do obowiązku legowania jakiejś niewielkiej kwoty ze swego niewielkiego majątku na rzecz instytucyj narodowych i nie wstydzi się zapisać w testamencie skromnej kwoty 50 lub 100 koron *Maticy* czeskiej. Z tych drobnych legatów tworzą się jednak sumy przerastające owe wielkie zapisy, na które u nas niejedna instytucja czeka na próżno dziesiątki lat. Gdyby więc ten zwyczaj przyjął się i u nas — Uniwersytet ludowy miałby nigdy nie wysychające źródło dochodów.

Trzeciego wreszcie rodzaju pomocą jest pomoc w naturze— w książkach i w materyałach naukowych, które nieraz zamknięte w prywatnej bibliotece leżą bez użytku, a ofiarowane P. M. S. mogłyby wzbogacić bibliotekę Uniwersytetu ludowego.

Instytucya, w której się będzie kształcił lud polski, która otworzy nowe światy przed umysłem robotnika, a z czasem i przed umysłem wieśniaka, nie może być obojętna dla czującego i myślącego ogółu.

Ogół ten musi zdawać sobie sprawę z tego, że obok potrzeb kulturalnych wyższego rzędu, obok ofiar, łożonych na zakładanie muzeów, pracowni naukowych, akademii umiejętności, przybytków sztuki i t. d. istnieją potrzeby mniejsze, a o wiele pilniejsze.

Narody bogate i oświecone mogą z całą swobodą myśleć o wyższych piętrach gmaclu swojej kultury, o nadbudowach i ornamentacyi. Narody tak ubogie i tak w rozwoju swoim cofnięte, jak nasz, za swój najpierwszy obowiązek muszą uważać noszenie i składanie drobnych cegieł pod budowę tego, co dopiero wspólnym trudem wszystkich ramion i wspólnem ukochaniem sere wszystkich stanie powoli, wzniesie się stopniowo i stopniowo dosięgnie tych wyżyn, jakich sięga gdzieindziej.

Zapewne dumą naszą byłoby, abyśmy już dziś mogli dorównać innym, ale obowiązkiem naszym jest skupiać się obecnie w pracy przy zakładaniu fundamentów. Dobra szkoła elementarna, szkoła na wskroś polska, chowająca dzieci w duchu narodowym, dobra szkoła średnia i dobry uniwersytet ludowy, dostępny dla szerokich, łaknących światła mas i masy te prowadzący ku ideałom obywatelskim—oto nasz program na dzień dzisiejszy, program, od którego wykonania zależy przyszłość narodu.

Walka z ciemnotą, walka z anarchią, walka z temi pierwiastkami rozkładowemi, jakie w duszy polskiej wyhodowała długoletnia niewola, musi się odbywać pod jednym tylko sztandarem, na którym wypisane jest hasło jednakowo popularne wśród wszystkich partyj i stronnictw, hasło oświaty, rzucającej dobre ziarna w umysły, siejącej prawdę i miłość tam, gdzie dotąd fałsz i obłuda, kłamstwo i nienawiść tak łatwo miały przystęp.

Dusza ludu polskiego jest jak pole porastające chwastami. Będzie ono polem rodzajem i rozzłoci się „zbożem rozmaitem,” jeżeli wyrwiemy z niej te chwasty i uprawimy ją starannie.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Akademia Umiejętności w Krakowie wydała tom XI-ty SPRAWOZDAŃ z CZYNNOŚCI POSIEDZEŃ pod redakcją sekretarza generalnego, Bolesława Ulanowskiego, ze współudziałem sekretarza wydziału. Tom ten zawiera w zeszycie pierwszym:

(Styczeń). Bibliografia. I. J. Tretiak: O nieznanym pamiętniku Mikołaja Malinowskiego, jako ważnym przyczynku do historii przesładowania Filaretów w Wilnie; — II. Fr. Bujak: W sprawie kartografii historycznej; — L. Sternbach: Rerum Slavicarum fontes Byzantini; — K. Potkański: Studya nad XIV w., zajęcie Wielkopolski przez Łokietka; — III. T. Browicz: Topografia dróg żółciowych śródzrakowych w normalnej wątrobie ludzkiej; — E. Janczewski: Species generis Ribes, II subg. Ribesia et Coreosma; — St. Niementowski: Oksychinakrydyna i florochinyli; — L. Marchlewski i A. Korczyński: O składn. korzeni Datisca cannabina; — G. Gittelmacher-Wilenko: O hippokoprosterynach; — J. Siemiradzki: Fauna warstw paleozoicznych Podola; — P. Łoziński: O budowie histologicznej serca u małży; — B. Sabat: Wpływ promieni radu na przewodnictwo elektryczne elektrolitów; — A. Wrzosek: Znaczenie dróg oddechowych, jako wrót zakażenia w warunkach prawidłowych.

W Zesz. 2, luty. Bibliografia. I. J. Kallenbach: Nieznane artykuły A. Mickiewicza w Tribune des peuples; — J. Rozwadowski: Słownik narzecza cygańskiego w Zakopanem; — W. Klinger: Ambrozya i Styks, a woda żywa i martwa; — II. Fr. Piekosiński: Polska w w. XVI pod względem rozsiedlenia się szlachty; — M. Rostworowski: Prawno-administracyjna strona budżetów Król. Kongresowego 1816—1830; — III. H. Zapałowicz: Krytyczny przegląd roślinności Galicyi; — St. Niementowski: O azoacetanilidzie; — J. Brzeziński: *Myzomonas betae*, pasorzyt buraka; — W. Friedberg: Zagłębie miocenne Rzeszowa, cz. II; — W. Żłobicki: Pomiar napięcia powierzchniowego metodą małych baniek.

W Zesz. 3, marzec. Nekrologia. Bibliografia. I. J. Rozwadowski: Krytyczne uwagi o praojęzyźnie Słowian (studya nad nazwami wód słowiańskich,

cz. II);—T. Sinko: Studya Nazianzenica I. De collationis apud Gregorium Nazianzenum usu et de Terrae et Maris contentione quadam Pseudo-Gregoria-na;—A. Brückner: Projekt ustalenia pisowni polskiej;— II. Stanisław Krzyżanowski: Przyczynki do literatury politycznej XV wieku;— Fr. Papée. Metryka Koronna w Warszawskim Archiwum głównem i jej znaczenie dla historii XV wieku;— Józef Siemiński: Organizacya sejmiku ziemi Dobrzyńskiej;— Ł. Czubek: Pisma polityczne z czasów pierwszego bezkrólewia;—III. M. Radwańska: Przednie serce limfatyczne żaby;— M. Smoluchowski: O średniej drodze cząsteczek gazu i o związku jej z teorią dyfuzji;—B. Namysłowski: Wielopostaciowość *Colletotrichum Janczewskii*.

— TOWARZYSTWO OPIEKI NAD HISTORYCZNYMI PAMIĄTKAMI I ZABYTKAMI SZTUKI I KULTURY POLSKIEJ W WARSZAWIE. Dnia 27 października w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa odbyło się pierwsze organizacyjne zebranie Towarzystwa. Przybyło na zebranie osób 81. Po zagajeniu zebrania przez jednego z głównych inicjatorów Towarzystwa, mec. Wł. Powichrowskiego, zaproszono na przewodniczącego p. Adama Bonieckiego, który ze swej strony powołał pp. Al. Kraushara, ks. rektora Kakowskiego, Eug. Phulla i Br. Pruszyńskiego, a na sekretarza mec. Powichrowskiego.

Po gorącym przemówieniu o potrzebie Towarzystwa poświęconego konserwacyi zabytków w kraju tutejszym i o zasługach organizatorów, przewodniczący dał głos p. Powichrowskiemu, który dał następujące sprawozdanie z dotychczasowych organizacyjnych czynności Towarzystwa:

Po przedwstępnych, prywatnych naradach, omawiających potrzebę i konieczność jaknajrychlejszego założenia Towarzystwa konserwacyi naszych narodowych pamiątek, prawie rok temu, bo w dniu 4 listopada 1905 r., odbyło się pierwsze posiedzenie, obradujące nad szkicem ustawy. Ustawa została wypracowana, nie przedstawiano jej jednak do legalizacyi w oczekiwaniu zmiany procedury prawnej, dawniej wielce utrudnionej. Dopiero po ogłoszeniu nowego prawa dn. 8 czerwca r. b. zwołane zostało zgromadzenie dla podpisania ustawy, a 28 czerwca r. b. ustawa nasza została zatwierdzoną przez komisję gubernialną warszawską i wniesioną do rejestru stowarzyszeń i związków pod № 8.

Czas feryj letnich obrócono na pozyskanie członków dla naszego Towarzystwa. Organizatorowie z przyjemnością zaznaczają, iż powstanie naszego Towarzystwa przyjęte zostało we wszystkich dzielnicach Polski z gorącą sympatją i uznaniem, a życzenia powodzenia ze wszech stron towarzyszyły naszym pracom organizacyjnym. Na skutek poroższyłanych zaproszeń zapisało się w biurze tymczasowem Towarzystwa 163 członków; gdy jednak wielu przyszych członków-korespondentów Towarzystwa, którzy szczególnie okazują zainteresowanie się naszą instytucją, dotychczas nie przysłało wykazów pozyskanych członków, można się spodziewać, iż liczba członków w obecnej chwili wynosi co najmniej paręset. Z powyższej liczby 163 członków, na członków założycieli, z wkładem jednorazowym co najmniej 100-u rubli zapisało się osób 14, na członków-protektorów osób 46, na członków zwyczajnych osób 66.

Prócz tego zapisało się na członków Towarzystwa, bez ściślejszego określenia do jakiej kategorii życzą sobie być zaliczeni, osób 37. Fundusze, wpłacone już przez członków Towarzystwa, wynoszą rb. 1132, zadeklarowano funduszków na sumę rb. 1044;—ogółem wpłacono i zadeklarowano rb. 2176.

Organizatorowie uważają za swój smutny obowiązek wspomnieć o ciężkiej stracie, jakie nasze, choć jeszcze niezorganizowane, Towarzystwo poniosło przez śmierć zasłużonych naszych historyków ś. p. Aleksandra Rembowskiiego i Hieronima Łopacińskiego, którzy z całą gotowością przyrzekli swój czas i pracę poświęcać Towarzystwu. Nielitościwa śmierć niedozwolila im spełnić swych obietnic, za które, choć niespełnione, winniśmy wyrazić im naszą wdzięczność: wzywamy Panów do uczczenia ich przez powstanie.

Niezależnie od sumy rb. 2176, która wyobraża obecny majątek Towarzystwa, pospieszyło kilku członków z darami na rzecz Towarzystwa w formie dzieł przez siebie wydanych, objętych oddzielnym spisem, a nadto otrzymało Towarzystwo nader szacowny dar, mianowicie muzeum wykopalisk i różnego rodzaju starożytności, ofiarowane przez pana Antoniego Barszczewskiego, kilkunorgowego gospodarza z Drohiczyna, gub. Grodzieńskiej. Za to obywatelskie serce, okazane przez włościanina polskiego naszej narodowej instytucyi, składamy panu Barszczewskiemu serdeczne podziękowanie i tuszymy sobie, że i Szanowne Zgromadzenie uczucia nasze podzieli.

Dar ten, ofiarowany przez biednego, w pocie czoła pracującego rolnika, to piękny zadatek naszej jedności i solidarności narodowej. W pracy publicznej iść razem wszyscy, ramię przy ramieniu, winniśmy — ku wspólnemu, wzniosłemu i szlachetnemu celowi odrodzenia ojczyzny.

Instytucya nasza ma zająć skromną w tej pracy placówkę: *konserwacyi zabytków przeszłości*. Pięknemi słowy umiłowanie przeszłości wyraził, jeden z trójcy poetów, Krasiński: „Przeszłość im dalsza, tem urodziwsza: im urodziwsza, tem od serc ludzkich kochańsza.“ Instytucya nasza powstaje właśnie na gruncie głębokiego umiłowania przeszłości, jej pomników i zabytków. Milezące ruiny i zwaliska zameczysk, grobowce w zbroicach zakutych rycerzy, mroczne świątynie średniowieczne—mają dla naszych serc niewypowiedziany urok; płynię z nich, jakby wiekuista pieśń tryumfu, radości i sławy narodowej, lub jęk bólu i rozpacz. To też, jak czuła matka troskliwie pielęgnuje swą dźwiatwę, by ją zachować w zdrowiu moralnem i fizyecznem, i dzieci byłyby niewdzięczne, gdyby jej nieodpłaciły wzajemną miłością i sercem, tak i my niebylibyśmy godnymi synami tej naszej Matki, Ojczystej ziemi, gdybysmy nie uszanowali jej pamiątek, jej sztuki i kultury. Zachowywanie naszych narodowych pomników, zabytków sztuki i kultury, tak prahistorycznych, jako też i nowszej epoki, zabezpieczenie od zagłady i zniszczenia, zinwentaryzowanie ich, by naród wiedział, jakie skarby posiada, mimo zmiennych kolei losu i spustoszenia, jakim ojczyzna nasza uległa, możliwe gromadzenie zabytków sztuki i kultury, aby w przyszłości w Warszawie, w tem sercu naszej ojczyzny, otwarte było na użytek publiczny Muzeum Narodowe, naukowe opracowanie pomników historycznych i zabytków, jako przyczynek do dziejów naszego życia politycznego, kulturalnego i cywilizacyjnego — stanowiąc będzie naszą

pracę twórczą, kulturalną, którą najlepiej i najskuteczniej przysłużymy się sprawie publicznej.

Do pracy tej wzywamy wszystkich bez różnicy płci, wieku i poglądów politycznych i ośmielamy się twierdzić, że nikt nie może i niema prawa wyłączać się od współdziałania w Towarzystwie i jego pracach. Ustawa, pisana w duchu pozyskania dla Towarzystwa najszerszych kręgów społecznych, oznacza minimum składki członkowskiej (rubla), dzięki czemu przystąpienie do Towarzystwa jest możliwem dla każdego bez względu na jego położenie majątkowe. Każdy członek Towarzystwa od dnia dzisiejszego, jako dający ostatecznego ukonstytuowania się naszego, nieoglądając się na zarząd, powinien rozciągać opiekę nad pamiątkami historycznemi, zapobiegać w miarę możliwości, aby im się jakakolwiek szkoda i krzywda nie działa, sygnalizować zarządowi niebezpieczeństwo, grożące historycznym pamiątkom i zabytkom, propagować w społeczeństwie idee, cele i zadania Towarzystwa i dopiero przy takim zespoleniu moralnem i łączności duchowej członków Towarzystwa z jego zarządem, cele i zadania Towarzystwa mogą być osiągnięte. Dlatego założyciele proszą Was usilnie. Szanowni Panowie, abyście, przez uiszczenie składki członkowskiej i wybór na dzisiejszem zgromadzeniu członków zarządu, nie uważali swych obowiązków, jako członków naszego Towarzystwa, za spełnione, abyście tym sposobem nie zwałali na barki zarządu całej pracy, który pomimo najszczerzej chęci nie podołałby ogromowi pracy, lecz wybierając członków zarządu miejcie to na myśli, że wybieracie tylko kierowników, a pracownikami Wy sami jesteście i za owocną działalność tej instytucji będziecie Wy moralnie przed społeczeństwem odpowiadać. W tym względzie organizatorowie zwracają się przede wszystkim do Panów członków Towarzystwa, na prowincyi zamieszkałych, którzy, grupując się koło członków korespondentów w miejscowe kółka, wielkie usługi na polu pielęgnowania naszych pomników i zabytków kultury naszej oddać mogą.

W końcu organizatorowie uważają za obowiązek usprawiedliwić się, dlaczego wzywamy Was, Panowie, do pracy i powołujemy do życia Instytucję w tak ciężkich, jak obecne, warunkach? dlaczego nie odłożyliśmy utworzenia tej Instytucji do lepszych czasów?... Na to odpowiedź bardzo prosta... Dopóki trwała epoka, w której, jak obrazowo Słowacki mówi: „ciemność była moim towarzyszem i ciemność była moim krajem...“ gdy ciężki ucisk biurokratyczny skrępował i obezwładnił nas do wszelkiej akcyi publicznej, wtedy widok zapadających się w gruzy naszych wspaniałych zameczysk, baszt, pomników naszej wielkiej przeszłości, zatracanie i marnowanie się naszych narodowych, najdroższych pamiątek, przejmowało nas bólem bezmiernym i zgrozą, lecz skrępowani niewolnicy nie na to poradzić nie mogliśmy. Obecnie, po tyloletnim ucisku, ukazał się nam rąbek lepszej przyszłości i gdy okowy nieco zelzały i daną nam jest możność pracy kulturalnej, to dalsze wyczekiwanie byłoby grzechem przeciwko naszej godności i honorowi narodowemu, byłobyśmy karłami wielkich przodków, wyrodnymi ich synami! Oto pobudki, które kierowały założycielami i dodały im śmiałości odwołać się do pracy i ofiarności społeczeństwa, znajdującego się w tak ciężkich i trudnych

warunkach ekonomicznych i moralnych, a mimo to zniewolonego tyle naraz ponosić ofiar dla pracy społecznej, jaka zawrzała na wszystkich kierunkach i na wszystkich polach oświaty, kultury i bytu ekonomicznego. Kraj wybaczył organizatorom tę śmiałość, skupiły się w Towarzystwie siły naukowe i fachowe do wspólnej pracy, są i fundusze, które z każdym dniem wzrastać będą, dlatego Sz. Panowie zdążajmy wytrwale ku urzeczywistnieniu naszych ideałów, a zagrzani przykładem kniecia polskiego i nauką, jaką z jego daru wysnuć powinniśmy, pracujmy wytrwale dla tej nawskroś narodowej Instytucyi, której Sz. Panowie, wybierając zarząd dajecie życie i powołujecie ją do realnej, a skutecznej pracy ku odrodzeniu Ojczyzny...

Po tej przemowie, nastąpił wybór dziewięciu członków zarządu Towarzystwa. Wybrani zostali: pp. Tadeusz Korzon i Zygmunt Gloger (po 81 gł.), Erazm Majewski (78 gł.), Włodz. Powichrowski (74 gł.), Aleksander Kraushar, Józef Dziekoński i Władysław Mareoni (po 73 gł.), Franciszek Pułaski (64 gł.), hr. Adam Krasieński (63 gł.), Pius Weloński (60 gł.), Konstanty Wojciechowski (54 gł.), Kazimierz Broniewski (53 gł.), Adolf Jelowicki (47 gł.), Antoni Strzałcki (46 gł.) i Andrzej Rotwand (36 gł.).

Od tej chwili Towarzystwo zaczyna funkcyonować i należy przypuszczać, że poparte życzliwością społeczeństwa, rozwijać się będzie stale, wypełniając tak ważną pracę naukową i kulturalną.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

ARDANT GABRYELA: Papieże i lud. („Papes et Paysant“) Przech... Nowe wydanie poprzedzone listem jego eminencyi Kardynała Rampolli, sekretarza stanu jego świątobliwości Leona XIII. Warszawa, 1906. Nakład. księg. M. Szczechpowskiego. 8-o, form. podł., str. 98.

FISCHER KAROL JÓZEF, biskup tyt. malleński, sufragan przemyski: Kazania i przemowy pasterskie do ludu wiejskiego. Tom II, obejmujący czas od pierwszej niedzieli postu do Zielonych Świątek włącznie. Przemysł, 1906. Nakład. A. Juszyńskiego. 8-o, str. 482.

JĘŻ MATEUSZ, Ks.: Nauki wiary katolickiej. Podręcznik dla szkół średnich. Część I. Wydanie drugie. Kraków, 1906. Nakład. autora. 8-o, str. 135.

JEVONS STANLEY W.: Logika, objaśniona figurami i pytaniami. Przetłumaczył z upoważnienia rodziny autora Henryk Wernic. Wydanie trzecie. Warszawa, 1907. Bibl. Naukowa. 8-o, str. 182.

LEMAŃSKI JAN: Książnica polska. Tom 3. Nowenna czyli dziewięćdziesiąt dziewięć dytyrambów o szczęściu. Warszawa-Lwów, 1906. Druk Piotra Laskauera i Sp.

LUBECKI KAZIMIERZ, DR.: Matka Boska w cywilizacji polskiej. Lwów, 1905. Nakład. księg. polskiej B. Polonieckiego. 8-o, str. 16.

MORAWSKI MARYAN, Ks. T. J.: Celowość w naturze. Studium przyrodniczo-filozoficzne. Wydanie czwarte, niezmienione. Kraków, 1906. Nakład. redakcyi „Przeglądu Powszechnego.“ 8-o, str. 322.

TENŻE: Wieczory nad Lemanem. Wydanie czwarte niezmienione. Kraków. 8-o, str. 363.

SCHANZ PAWEŁ, DR.: Apologia chrześcijaństwa. Przekład Walerego Gosztonskiego. Z trzeciego wydania niemieckiego. Część II-ga. Bóg i objawienie. Tom II. Warszawa, 1906. Bibl. Dzieł Chrześcijańskich. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 211 + od 113 do 128.

STRASZEWSKI M., DR. PROF.: Wykłady psychologii. Kraków, 1906.

SYGAŃSKI JAN, Ks. T. J.: Monografia obrazu M. B. Pocieszenia... w kościele lwowskim O. O. Jezuitów. Lwów, 1906.

ZADANIA dzisiejsze... katolicyzmu w Polsce. Ankieta „Przeglądu Powszechnego.“ Kraków, 1906. Nakład. redakcyi „Przeglądu Powszechnego.“ 8-o, form. duży, str. XVI + 30 + 531.

H I S T O R Y A.

ASKENAZY SZYMON: Książę Józef Poniatowski, 1763 — 1813. Wydanie skrócone przez W. St. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 51.

BELFORT-BAX E.: Historia rewolucyi francuskiej. Przełożył z 3-go wyd. angielskiego A. T. Warszawa, 1906. Tom 7 Biblioteki społecznej. Skład główny w księg. Powszechnej. 8-o, str. 132.

BERG MIKOŁAJ, PROF.: Zapiski o polskich spiskach i powstaniach. Przekład z rosyjskiego. Cz. III. Warszawa, 1906. Bibl. Dz. Wyb. Nr. 448. 8-o, str. 115.

BUKOWIECKA Z.: Mała historia Polski. Kraków, 1906. 8-o, str. 150.

DĘBICKI LUDWIK: Portrety i sylwetki z dziewiętnastego stulecia. Z ilustracyami. Ser. II. T. I. Spółka Wyd. Polska, Kraków, 1906. 8-o, str. 319.

DEMBIŃSKI BRONISŁAW: Albert Sorel. Kraków, 1906. Skład głów. w księgarni G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 29.

DZIERŻANOWSKA MARYA: Dzieje ojczyste. Podręcznik do nauki na klasę I i II. Warszawa, 1906. Nakład. J. Fiszer. 8-o, str. 188.

GUMPLOWICZ LUDWIK: Z okazji „Szkiców“ Tadeusza Wojciechowskiego. Odbitka z „Przeglądu Historycznego.“ Warszawa, 1906. Skład głów. w księgarni E. Wende i Sp. 8-o, str. 32.

KOPFF WIKTOR: Wspomnienia z ostatnich lat Rzeczypospolitej krakowskiej. Wydał Stanisław Estreicher. Kraków, 1906. Nakład. Tow. Miłośników historii i zabytku Krakowa. Bibl. krakowska Nr. 31. 8-o, str. XXI + 158.

KORZON TADEUSZ: Historia nowoczesna (1788—1805). Przech... Zeszyt I. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. XII + 256.

TENŻE: Kościuszko. Biografia z dokumentów wysnuta. Dopelnienie przy wydaniu drugim. Kraków, 1906. Nakład. autora. 8-o, str. LXXXVI.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Nowe przyczynki do dziejów życia i spraw Olbrachta Łaskiego, wojewody sieradzkiego (1533—1605). Kraków, 1906. 8-o, str. 129.

ŁUNIŃSKI ERNEST: Księżna Tarakanowa. Opowiadanie na tle dziejów polsko-rosyjskich. Z ilustracyami i faksymiliami. Lwów, 1907. Polskie Tow. Nakładowe. 8-o, str. 366.

MUZEUM NARODOWE polskie w Rapperswilu. Z licznymi ilustracyami. Kraków, 1906. Nakład. Dyrekcyi Muzeum. 8-o, str. 108.

NIEDERSTETTER: Terroryzm Paskiewicza. Relacya Niederstettera, gen. konsula ruskiego w Warszawie z 20 września 1831 r. Wydał dr. Adolf Stern. Kraków, 1906. 8-o, str. 26.

NITMAN KAROL J., DR.: Tadeusz Kościuszko i jego sławna bitwa pod Raclawicami. Opowiedział... Wydawnictwo ludowe; rok XXV, książeczka IV. Lwów, 1906. Wyd. 2. Nakładem Komitetu wydawnictwa dzielek ludowych. 8-o, str. 64.

PLAGE KAROL: Monety bite dla prowincyj polskich przez Austryę i Prusy, oraz monety wolnego miasta Gdańska, Księstwa Warszawskiego i w obłęzieniu Zamościa. Kraków, 1906. 4-o, str. 39 + VIII.

ROCZNIKI Towarzystwa Naukowego w Toruniu, r. XI. Toruń, 1906. Nakładem Tow. Nauk. 8-o, str. 265.

— Rok XII, str. 129—466.

ROZPRAWY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI. Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II. Tom XXIII, ogólnego zbioru, tom 48. Kraków, 1906. Nakład. Akad. Umiej. 8-o, str. 322.

ZIELONKA JASTRZĘBIEC LUDWIK: Wspomnienia z Syberyi od roku 1863—1869. Kraków, 1906. Spółka wydawn. Polska. 8-o, str. 320.

HISTORIA LITERATURY.

BOBIN ROMUALD A.: O „Panu Tadeuszu” Adama Mickiewicza. Spostrzeżenia i uwagi z dołączeniem szczegółowej treści i charakterystyki osób dla młodzieży szkół średnich. Lwów, 1905. Nakład. księg. Köhlera. 16-o, str. 99.

BRZOWSKI STANISŁAW: Teodor Dostojewski. Z mroków duszy rosyjskiej. Lwów, 1906. Nakład. księg. H. Altenberga. 8-o, str. 120.

HAHN WIKTOR: Literatura dramatyczna w Polsce XVI wieku. Lwów, 1906. Nakł. Tow. dla popierania nauki polskiej. 8-o, str. 133.

KOSSOWSKI STANISŁ.: Brodzińskiego tłumaczenia pieśni ludowych. Przyczynę do dziejów zajęcia się twórczością ludową w literaturze polskiej. Lwów, 1906. Nakł. Tow. pryw. gimn. żeńskiego. 8-o, str. 45.

PRZEWÓSKA MARYA CZESŁAWA (HELIA): Eliza Orzeszkowa. Trzeci tysiąc. Lwów, 1906. Nakł. księg. H. Altenberga. 8-o, str. 100.

TARNOWSKI ST: Przemówienie przy otwarciu zjazdu naukowego im. Mikołaja Reja w Krakowie, dnia 1 lipca 1906 r. Kraków, 1906. Nakł. autora. Spółka Wydawnicza Polska. 8-o, str. 16.

WIEK XIX. Sto lat myśli polskiej Życiorys, streszczenia, wyjątki. Pod redakcją Ign. Chrzanowskiego, Henryka Galla, Stanisława Krzemińskiego. Tom I. Wypisy № 1—142. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. XVIII+480.

WOJCIECHOWSKI KONSTANTY, DR.: Zagadnienia społeczne w powieści polskiej w XVIII i początkach XIX w. Lwów, 1906.

F I L O L O G I A.

ARCHIV für slavische Philologie unter Mitwirkung . . . herausgegeben von V. Jagić, str. 128—138. Brückner, Geschichte der russischen Literatur, angez. v. Alexius Wesselofsky, str. 139—142. Brückner, Über Nikolaus Rej, Kritische Studien, angez v. W. Nehring, str. 142—145. T. Grabowski: Literarische Studien, ang. v. D. Prohaska, str. 145—150.

KRÓLIŃSKI KAZIMIERZ: Pisownia polska. Na podstawie podręcznika prof. A. Kryńskiego, tudzież uchwał komisji językowej Ak Um. i zjazdu Rejowskiego, zebrał . . . Lwów, 1907. Nakł. księg. Maniszewskiego i Meinharta. 8-o, str. 38.

MAŁECKI ANTONI. Gramatyka języka polskiego szkolna, wyd. dziesiąte. Lwów, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 286.

P R A W O.

DUBIEŃSKI AL.: Główna część w Statucie litewskim trzecim. Napisał . . . Studya nad historią prawa polskiego, wydawane pod redakcją Oswalda Balzera, t. II, zes. 3. Lwów, 1906. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 78.

ZOLL FRYDERYK (STARSZY), PROF. UNIW. JAG. Pandekta czyli nauka rzymskiego prawa prywatnego. T. I. Część ogólna w połączeniu z historią źródeł prawa rzymskiego. Wydanie drugie poprawione. Kraków, 1906. Nakł. Sp. Wydawn. Polskiej. 8-o, format duży, str. X+534.

S Z T U K A.

BIEGAS BOLESAW: Album. Paris, 1906. Louis Theuveny. Warszawa, księg. Naukowa. 8-o, str. 77.

KOZICKI WŁADYSŁAW, DR.: Św. Sebastian. Studium porównawcze z dziejów sztuki włoskiej (24 ilustracyj w tekście). Kraków, 1906. 8-o, str. 138.

MICHAŁ LITYŃSKI: Rys dziejów Sztuki Starożytnej. Lwów, 1906. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 8-o, str. 105.

SPRAWOZDANIA Komisji do badań Historji Sztuki w Polsce. Tom VII, zes. IV Kraków, 1906. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki wydawniczej Polskiej. 8-o.

SPRAWOZDANIE dyrekcji Muzeum Narod. w Krakowie za r. 1905. Nakł. Muz. Nar. 8-o, format duży, str. 33.

— grona c.-k. konserwatorów i korespondentów Galicji wschodniej. Te-ka tom III styczeń, kwiecień 1906. Lwów, 1906. 8-o, str. 5.

— wydawnictwa wydziału towarzystwa opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury za r. 1905. Kraków, 1906. Nakł. Towarzystwa. 8-o.

TAINÉ HIPOLIT: O Ideale w sztuce, z dzieła „Philosophie de l'art“, cz. V, streścił Stanisław Brzozowski. Warszawa, 1906. Wyd. M. Arcta. Książki dla wszystkich № 311. 1^f-o, str. 106.

ŻMIGRODZKI MICHAŁ, DR.: Historia sztuki w Polsce. Najkrótszy zarys. Wykłady na kursach im. Baranieckiego w r. 1905/6. Kraków, 1906.

N A U K I P R Z Y R O D N I C Z E.

ATLAS GEOLOGICZNY GALICJI: Tekst do zeszytu dziewiętnastego. Oprac. dr. Wilhelm Friedberg (z 5 rycinami). Kraków, 1906. Nakł. Akademii Um., Sp. Wyd. Pol. 8-o, str. 37.

MICZYŃSKI JÓZEF: Gospodarka przyrody. Wstępne wiadomości z kosmografii, fizyki, chemii i geologii. Dla młodzieży rolniczej ułożył . . . Nowy Sącz, 1906. Nakł. J. K. Jakubowskiego. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 176.

ZAPŁOWICZ HUGO: Krytyczny przegląd roślinności Galicji. T. I. Kraków, 1906. Nakł. Ak. Umiej. Spółka Wyd. Polska. 8-o, format duży, str. VIII + 296.

SPRAWOZDANIE Komisji fizyograficznej, obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu rok 1904, oraz materiały do fizyografii krajowej t. 38 (z 1 ryciną w tekście i 6 tablicami w osobnym zeszycie). Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiej. 8-o, format duży, str. XXVI + 83 + 196 + 27.

M E D Y C Y N A.

DOMAŃSKI STANISŁAW, DR. PROF. UNIW. JAGIELL.: O gruźlicy. Lwów, 1906. Nakł. Macierzy Polskiej. Skł. głów. w księg. G. Gebethnera i Sp. w Krakowie. 8-o, str. 91.

DROBA STAN., DR. I KUCERA PAWEŁ, DR.: Badania epidemii zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych w Galicyi w r. 1906. Opracowali dr. S. D., docent pryw. bakter. Uniw. Jag. w Krakowie i dr. P. K., doc. pryw. anatomii patol. uniw. we Lwowie. Kraków, 1906. 8-o, str. 125, tablic 5 i mapy 2.

SANATORYUM d-ra Maryana Hawranka w Zakopanem pod kierownictwem d-ra Brzezińskiego. Zakopane, 1906. Nakł. Sanatoryum. 8-o, str. 8.

P O W I E Ś C. — P O E Z Y A.

D'ANNUNZIO GABRIELE: Niewinny. Lwów, 1906. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. 8-o, str. 346.

BIEGAS BOLESŁAW: Owczarek. Lechit. Dwa obrazy dramatyczne, przez ... Warszawa, 1906. Skład głów. w księg. Naukowej. 4-o, str. 104.

BLIŹIŃSKI J.: Pan Damazy, komedia konkursowa w 4-ch aktach. Lwów, 1906. Nakł. księg. H. Altenberga. 8-o, str. 62.

COURTELIN JERZY: Spokój domowy, komedia w 1 akcie. Przekład Mary Finklówny. Lwów, 1906. Nakł. księg. H. Altenberga. 8-o, str. 26.

CZERBAK ADAM: Sokoły. Poemat dramatyczny w 1 akcie. Nowy-Sącz, 1905. 8-o, str. 105.

GORCZYŃSKI BOLESŁAW: Policzek (Fragment dramatyczny) w jednej odstonie. Warszawa, 1905. Nakł. M. Arcta. 16-o, str. 39.

HAJOTA: Śni mi się... Uśmiech. Psinka. Żyje. 30 września. Sen panny Joanny. Nowele. Lwów, 1906. Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, str. 262.

JELEŃSKA E.: Obrączka. Powieść. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 284.

KIERKEGAARD SÖREN. Dziennik uwodziciela. Przełożył z duńskiego Stanisław Lack. Lwów, 1907. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. 8-o, str. 208.

LANGE ANTONI. Rozmyślenia. Kraków, 1906. Nakł. Wacława Wiedigera. 8-o, str. 132 + 2 nl. 4.

LISTY, które go nie doszły. Przekład Jadwigi Miczyńskiej. Wydanie drugie. Lwów, 1906. Nakł. H. Altenberga. 8-o, str. 228.

MAETERLINCK MAURZYCY: Siostra Beatryks w 3 aktach. Z francuskiego przełożył Jan Kasprowicz. Lwów, 1907. Nakł. Tow. Wydawn. 4-o, str. 52.

NOWIŃSKI JÓZEFAT: Ku bytowi. Lwów, 1906. Skł. głów. w księg. H. Altenberga. 8-o, str. 65.

PRAŻMOWSKA TERESA: Na wyraj. Powieść współczesna. Warszawa, 1905. Nakład i druk St. Niemiry, Plac Warecki 4, Lwów, Księgarnia Narodowa. Tom I str. 320, tom II str. 290.

RODZIEWICZÓWNA MARYA: Ragnarök. Powieść współczesna. Warszawa, 1906. Jan Fiszer. Lwów, Księgarnia Narodowa. 8-o, str. 373.

SIENKIEWICZ HENRYK: Nowele. 2 tomy, wydanie poularne. Warszawa, 1905. Gebethner i Wolff. 8-o, t. I str. 308, t. II 314.

SŁOŃCZEWSKA KAROLINA: Studentki, powieść współczesna. Kraków, 1906. Nakł. A. Koziańskiego. 8-o, str. 200.

ZAPOLSKA GABRYELA: Menażerya ludzka. Lwów, 1907. Księgarnia Polska B. Połonieckiego. 8-o, str. 253.

— Rajski ptak. Powieść w trzech częściach. Warszawa, 1907. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 448.

ZBIERZCHOWSKI HENRYK: Baśnie (Poczye. Serya II). Lwów, 1906. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, skł. gł. E. Wende i Sp. 8-o, str. 132.

ZDZIECHOWSKI KAZIMIERZ: Przemiany. Powieść, tom I i II. Warszawa, 1906. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 346 i 347.

ŻUŁAWSKI JERZY: Eros i Psyche. Wydanie trzecie. Z portretem autora. Lwów, 1906. Nakł. H. Altenberga. 8-o, str. 267.

PEDAGOGIA. — PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

BRYL JAN: Archeologia w szkole. Na podstawie praktyki szkolnej. Spisał... Kraków, 1906. Nakład. Dyrek. pryw. wyższ. gimnazjum im. król. Jadwigi w Krakowie. 8-o, str. 34.

GALLE HENRYK: Wypisy polskie na klasę I-szą. Zebrał i ułożył... z 39-ma obrazkami. Warszawa, 1906. Nakład. M. Arcta. 8-o, str. 328.

ŁAGOWSKI FLORYAN: Wypisy polskie na klasę II-gą szkół średnich. Ułożył... Wydanie drugie. Warszawa, 1906. Nakładem M. Arcta. 8-o, str. 408.

NUSBAUM JÓZEF, DR.: Wiadomości z zoologii do klas niższych szkół średnich. Napisał... prof. uniw. we Lwowie ze współudziałem dr. Tadeusza Wiśniowskiego, prof. gimn. VI we Lwowie. Wydanie drugie, z licznymi rysunkami w tekście i ośmiu tablicami. Lwów, 1906. Nakład. K. S. Jakubowskiego. 8-o, str. IV+204.

OSTERLOFF WALDEMAR: Kurs metodyczny nauki języka niemieckiego dla szkół handlowych i przemysłowych. Uzupełnienie do stopnia IV, V i IV. Warszawa—Łódź, 1906. Nakład. księg. L. Fiszera. 8-o, str. 318.

POPLIŃSKIEGO gramatyka łacińska. Dla użytku szkół gmin. przerobił i poprawił dr. A. Dygas, prof. gimn. Wydanie dziesiąte. Poznań, 1906. Nakład. Józefa Jolowicza. 8-o, str. 271.

POTOCKI ANTONI: Wychowawcze zadanie ogółu. Szkolnictwo francuskie od 1870 do 1895. Rok dziecięcy. Lwów, 1907. Nakład. Tow. Wydawniczego. 8-o, str. 202.

SPORZYŃSKI KSAWERY: Fizyka do użytku szkół średnich z uwzględnieniem handlowych i technicznych, według Karstena i Kleibera. Opracował... Warszawa, 1906. Nakład M. Areta. 8-o, str. 433.

SPRAWOZDANIE dwunaste... Wydziału szkolnego zarządzającego uzupełniającymi szkołami przemysłowemi. Lwów, 1906. Nakład. wydz. szkolnego.

— Z działalności towarzystwa „Szkoły ludowej“ w Krakowie za r. 1905. Kraków, 1906. Nakład. Tow. Szkoły lud. 4-o, str. XXXI+80.

STRZESZYŃSKI ST.: Historia starożytna. Jako repertorium przedegzaminowe. Streścił... Nakład. autora. 8-o, str. 16.

TENŻE: Dzieje wieków średnich. Repertorium przedegzaminowe. Zestawił synchronistycznie... Duży arkusz.

TENŻE: Dzieje nowożytne. Repertorium przedegzaminowe. Zestawił synchronistycznie... Duży arkusz. Nakład. autora.

P U B L I C Y S T Y K A.

B. A. J.: Powszechno głosowanie. Bezpośrednie prawodawstwo ludowe. Kraków, 1905. Nakład. drukarni Narodowej. 8-o, str. 32.

BOUDOUIN DE CORTENAY J.: Autonomia Polski. Odczyt wygłoszony w sali Muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie 9 lipca 1906 r. Kraków, 1907. Nakład. Krak. Oddziału Uniw. Ludowego. 8-o, str. 39.

HLASKO STANISŁAW: Partye polskie wobec „Dumy“ 1906. Petersburg, 1906. Nakład. „Księgarni Polskiej.“ 8-o, str. 111.

JEZIERSKI J.: Sprawa agrarna w Królestwie Polskiem. Napisał... Warszawa, 1906. Nakład. autora. 8-o, str. 40+XVI.

KAUTSKY KAROL: Kwestya rolna w Rosyi. Przełożył S. Posner. Warszawa, 1906. Nakład. księg. Naukowej. 8-o, str. 45.

KOŚCIŃSKI KONSTANTY: Prawa narodowe Polaków w państwie pruskiem. Podręcznik dla ludu polskiego. Zebrał... Poznań, 1906. Nakład. autora. 8-o, str. 29.

LEDNICKI ALEKSANDER, poseł do dumy państwowej: Mowy polityczne. Kraków, 1906. Nakład. redakcyi „Świata słowiańskiego.“ Spółka Wydawnicza Polska. 8-o, str. 103.

LIMANOWSKI BOLESŁAW: Naród i państwo. Studium socyologiczne. Kraków, 1906. 8-o, str. 99.

POSNER S: Demokratyzacya Finlandyi. Warszawa, 1907. Skład głów. w księg. Naukowej. Biblioteka społeczna.

RZYMSKI TEODOR DR.: W sprawie katolickiej organizacji społecznej. Kilka uwag na czasie. Kraków, 1906. Odbitka z ankiety „Przeglądu Powszechnego.“ 8-o, str. 33.

TOŁSTOJ LEON HR.: Do działaczy politycznych. Przekład Kazińcza Juliana. Kraków, 1906. 8-o, str. 31.

WYSŁOUCH ANTONI MARYA O. KAPUCYN. W sprawie wieceu książki w Warszawie. Kraków, 1906. 16-o, str. 16.

